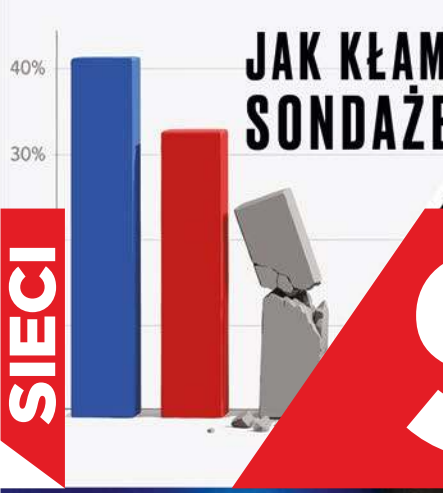


JAK KŁAMIĄ SONDAŻE



CIENKOWSKA: DRESIARA NA MINISTERIALNYM WYBIEGU

CZY POWINNIŚMY WYSYŁAĆ NASZYCH ŻOŁNIERZY POZA GRANICE POLSKI?



FILMOWA „LALKA": NIE SZKODA IŚĆ DO KINA

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

41 (723) 2026
5–11 października 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KŁAMSTWO I CHAMSTWO

ZDANIEM PROKURATURY LECH WAŁĘSA BYŁ „WTÓRNYM ANALFABETĄ" I DLATEGO NIE MÓGŁ PISAĆ DONOSÓW NA KOLEGÓW. PAŃSTWO TUSKA BRONI TW „BOLKA" W CORAZ BARDZIEJ KURIOZALNY SPOSÓB

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694 41
9 772544 269601
Numer w sprzedaży do 12 X 2026 r.



PODCZAS WYWIADU Z REPORTEREM wPOLSCE24 RAFAŁEM JARZĄBKIEM NOBLISTA NERWOWO I PO CHAMSKU REAGUJE NA WIDOK SKANÓW NAPISANYCH PRZEZ NIEGO DONOSÓW

eprasa.pl 8eeaf69eb0

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Kłamstwo, czyli milicyjna pała

Kto nie widział tego kilkuminutowego nagrania, powinien szybko nadrobić zaległość (rzecz łatwa do odnalezienia w internecie, np. na portalu wPolityce.pl). Redaktor telewizji wPolsce24 Rafał Jarząbek podjął próbę skonfrontowania Lecha Wałęsy z osądem prokuratury, według której pierwszy przewodniczący Solidarności nie mógł sam pisać donosów do SB na swoich kolegów, ponieważ w latach 70. był „wtórnym analfabetą".

Redaktor Jarząbek udał się więc na fetę z okazji 83. urodzin byłego prezydenta, która odbywała się w Muzeum Narodowym, podszedł do „legendy" z wydrukami donosów TW „Bolka" i grzecznie zapytał: „Tutaj mamy skany dokumentów, czy pan poznaje...?". Były prezydent, gdy już zorientował się, co to za dokumenty, stanowczo rzucił w kierunku reportera: „Pan sobie d... wytrzyj tym". „Dlaczego?" – dopytał dziennikarz. „Do tego to się nadaje" – odpowiedział Wałęsa. „Czy to jest pana pismo?" – nie ustępował redaktor Jarząbek, ale odpowiedzi już się nie doczekał. Zdenerwowany Wałęsa ruszył do swojego stolika. Później ignorował kolejne pytania, szarpał za mikrofon, a osoby, które towarzyszyły jubilatowi, stawały się coraz bardziej agresywne.

Zdaniem prof. Sławomira Cenckiewicza to nagranie ma wartość historyczną, ponieważ Lech Wałęsa niezwykle rzadko konfrontuje się z konkretnymi dokumentami. Z jego ust płyną tysiące słów, ale są to jego luźne bajania, krojone pod bieżące potrzeby, bez odwołania się do realnej twórczości „Bolka". Gdy Wałęsa widzi dokumenty, wpada w szał. Pierwszy raz zrobił to już lata temu, w trakcie rozmowy z Grzegorzem Braunem. Teraz mamy drugi przypadek, w którym były prezydent jest konfrontowany ze swoim dorobkiem. I również teraz jesteśmy świadkami wybuchu agresji z wulgarną okrasą.

Powstaje scena rzeczywiście hollywoodzka, gęsta, nasycona symboliką. Wielka gala w muzeum naszego narodu, pierwszy przywódca Solidarności witany oklaskami, niekryjący zadowolenia z siebie i tylko stare, żółte papiery sprzed ponad półwiecza psują piękny obraz. My oczywiście wiemy, że to nie tylko papiery, lecz także coś znacznie bardziej poważniejszego. To zdrada kolegów, ich namacalna krzywda, a później długi cień szantażu i gry ze strony komunistycznych władz. Cień, który naznaczył zarówno samą Solidarność, jak i prezydenturę Wałęsy.

Zawsze mnie ciekawiło, dlaczego obóz władców III RP z takim uporem chce zmusić cały naród do odrzucenia prawdy o Lechu Wałęsie. Tak, jest w tym chęć podtrzymania jego mitu, bo to mit politycznie i społecznie użyteczny. Można postawić pierwszego przewodniczącego Solidarności na wysokiej scenie i przesłonić politykę, która stoi w całkowitej sprzeczności z tym, o co walczyła Solidarność. Można używać go na scenie międzynarodowej, gdzie jego bełkotliwe wywody nie robią takiego wrażenia jak w Polsce, bo nikt ich nie rozumie. Można też pozwolić mu atakować tych, którzy na poważnie chcą zrealizować testament pięknej panny „S" i próbują budować poważne państwo poważnego narodu, a nie półkolonialnego potworka. Wałęsa robi to wszystko coraz mniej skutecznie, ale wciąż jest użyteczny. Wie również, że przewidziana dla niego rola sprowadza się do gry na scenie i nie zakłada wpływania na rzeczywistość. I te zasady ogólnie potulnie akceptuje.



Ale w tej walce o triumf kłamstwa – walce tak zażartej, że obrońcy wbrew faktom robią z Wałęsy „wtórnego analfabetę" i także kompletnego idiotę – chodzi o coś jeszcze: nasze ma być na wierzchu. Zmuszając struktury państwa do obrony oczywistej nieprawdy, pseudoelity III RP pokazują, że mogą wszystko i żadne fakty, ustalenia historyków, analizy prestiżowych instytutów nie mają najmniejszego znaczenia. Prawda nie istnieje, jest tylko przemoc instytucjonalna i narracyjna. Przemoc, która na obywateli wpływa tak samo jak kiedyś masowe pałowanie przypadkowych ludzi przez ZOMO: wywołuje przekonanie, że rządzący mogą zrobić z człowiekiem, co tylko zechcą. Mogą zgnieść, tak jak mrówkę na chodniku, jego przekonanie o tym, co prawdziwe, a co fałszywe. To dlatego kłamstwo o Wałęsie jest tak bardzo bronione: mieszkańcy Polski mają pamiętać, że nie znaczą wiele. I właśnie z tego powodu z tym kłamstwem trzeba walczyć z całych sił.

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI

spis treści



32 Co się stało w Jarosławiu?
Konrad Kołodziejski



51 Zabawa zapałkami, których działania nie rozumiemy
Z prof. Andrzejem Zybertowiczem rozmawia Maciej Wośko



57 Agnieszka nadal tu mieszka
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **PO CO NAM RZECZNIK PRAW DZIECKA?**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **RZĄD NA WYBIEGU**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ROZUM PRZYCHODZI PO CZASIE. BRUKSELA ODKRYWA RZECZYWISTOŚĆ**
Daniel Obajtek

13 **STRATEGICZNY PARTNER**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA ELŻBIETY RUMAN**
Michał Korsun

16 **UDANA ZMIANA OKUPANTÓW ROSYJSKICH NA NIEMIECKICH**
Jan Pietrzak

16 **ODBIERANE PRAWO DO DUMY I MARZENIE O ŁAPANKACH**
Samuel Pereira

17 **ZRABOWANE W POLSCE. CZY EUROPA POMOŻE JE ODNALEŹĆ?**
Arkadiusz Mularczyk

18 **CZY LECI Z NAMI PILOT?**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

19 **ANALFABETA CZYTAŁ MIŁOSZA**
Z dr. Józefem Orłem rozmawia Jerzy Szmit

22 **W OBRONIE LECHA WAŁĘSY**
Piotr Gontarczyk

KRAJ

24 **EPIDEMIA ŁŻESONDAŻY**
Stanisław Janecki

28 **KRAKOWSKA LEKCJA**
Piotr Gursztyn

32 **CO SIĘ STAŁO W JAROSŁAWIU?**
Konrad Kołodziejski

35 **DRESIARA NA MINISTERIALNYM WYBIEGU**
Marzena Nykiel

38 **CZY POLSKA POWINNA PRZYJŚĆ SOJUSZNIKOM Z POMOCĄ?**
Marek Budzisz

ŚWIAT

41 **PIELGRZYMKA, KTÓRA PRZYNIOSŁA NADZIEJĘ**
Goran Andrijanić

44 **RASIZM À REBOURS**
Aleksandra Rybińska

46 **OPUS DEI KONTRA BISKUP**
Grzegorz Górny

48 **ONZ – ORGANIZACJA NARODÓW ZWIEDZIONYCH**
Dariusz Matuszak

OPINIE

51 **ZABAWA ZAPAŁKAMI, KTÓRYCH DZIAŁANIA NIE ROZUMIEMY**
Z prof. Andrzejem Zybertowiczem rozmawia Maciej Wośko

HISTORIA

54 **„WARSZYC" WRÓCI DO ŁODZI? OBYWATELSKA WALKA O POMNIK**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

57 **AGNIESZKA NADAL TU MIESZKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

59 **ROMANTYZM WYSADZONY W POWIETRZE**
Maciej Walaszczyk

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

NATURA DLA LUDZI

65 **ODKRYCIE ROKU: POZNAJCIE TILCAYO**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

68 **MOJE SMAKI: „NAJLEPSZA OWSIANKA NA ŚWIECIE"**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **FABRYKA KREMÓW**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **ANTYPOLSKIE NUMERY PRZY ZIELONYM (ŻUŻLOWYM) STOLIKU**
Ryszard Czarnecki

74 **TRZY W JEDNYM**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 8eeaf69eb0

BRONISŁAW WILDSTEIN

Po co nam rzecznik praw dziecka?

Rzecznik praw dziecka Monika Horna-Cieślak jest ostatnią osobą, która funkcję tę powinna sprawować. Poważniejsze pytanie dotyczy sensu istnienia tej instytucji.

Uliczne spięcie wystarczyło, aby obecna rzecznik zaangażowała wszelkie dostępne jej środki, i to na pograniczu prawa, aby odebrać rodzinie dwoje małych dzieci. Podobno matka pokrzykiwała na to, które usiłowało wyrwać się na jezdnię, a dodatkowo niegrzecznie odpowiedzieć miała – nie, nie uwierzycie – samej pani rzecznik. Ta zwróciła się do policji. Funkcjonariusze nie widzieli podstaw do odebrania dzieci. Rzecznik przekonywała sąd. Jest to naruszenie zasady, która zakłada, że strona postępowania, jakim jest RPD, nie naciska na arbitra. Interwencja nie odniosła skutku, a sąd przekazał sprawę kuratorowi. Ten również nie uznał racji RPD, ale Horna-Cieślak nie ustępowała i bombardowała sąd kolejnymi monitami.

Zmianę decyzji udało się jej wymusić na policji. Funkcjonariusze z pomocą psa tropiącego (!) dokonali przeszukania mieszkania rodziny prześladowanej przez RPD i znaleźli w lodówce dwie zamknięte butelki piwa, co zostało uznane za okoliczność obciążającą. Trzy- i czteroletnie dzieci przekazano do domu dziecka, a rodzice otrzymali zakaz zbliżania się do nich i nakaz opuszczenia mieszkania.

Sąd zarządził natychmiastowe oddanie dzieci rodzicom. W uzasadnieniu czytamy, że działania RPO mogą świadczyć o „próbie wykorzystania autorytetu piastowanego urzędu do przeforsowania z góry założonej, na podstawie osobistego poczucia obrażenia przez matkę małoletnich, tezy o konieczności zabrania jej dzieci" oraz „mogą nosić wyraźne znamiona przemocy instytucjonalnej", a „machina państwowa i urzędowa została tu uruchomiona w sposób rażąco nieproporcjonalny do zaistniałego zdarzenia".

Opinia publiczna zainteresowała się Horną-Cieślak już wcześniej, kiedy ta wystąpiła z protestem przeciw ofiarowaniu przez cukiernię darmowych lodów uczniom szkoły podstawowej, którzy otrzymali świadectwa z czerwonymi paskami. Według RPD dyskryminuje to uczniów, którzy nie zostali wyróżnieni. Horna-Cieślak jest oskarżana przez podwładnych o przemoc i poniżanie. Typowa zatem reprezentantka ideologicznie motywowanego korpusu urzędników Tuska.

Polska na szczęście jest jeszcze relatywnie konserwatywna. Przestraszone dzieci wróciły do rodziny. Szansa powrotu zmalałaby radykalnie, gdyby wypadki te miały miejsce w Skandynawii, Kanadzie czy innym postępowym kraju. Liczba dzieci, które pod wątłymi pretekstami na zasadzie arbitralnej woli urzędników zostają tam pozbawione rodziny, jest zatrważająca. W postępowych państwach obrońcy tzw. praw dziecka okazują się zwykle rzecznikami samowoli biurokratycznej, która uderza w rodzinę, czyli podstawowe środowisko tych, o które mają się troszczyć i przynosi niepowetowane szkody zarówno dzieciom, jak i całemu społeczeństwu.

Zwolennicy RPD eksponują przypadki przemocy w rodzinie. Tyle że jest to margines patologii, od której nie jest wolna żadna instytucja. Gdyby przyjąć ją za punkt odniesienia ludzkich spraw, musielibyśmy je wszystkie zanegować i ogłosić upadłość cywilizacji. Swojemu powołaniu sprzeniewierzały się państwa, instytucje edukacyjne czy porządki prawa. Powinniśmy robić wszystko, aby zabezpieczyć się przed takim stanem rzeczy ze świadomością, że nigdy zagrożeń takich w pełni nie będziemy w stanie wyeliminować.

Rodzina jako pierwotna i naturalna instytucja stanowi kamień obrazy dla dominującej dziś ideologii emancypacji, która propaguje wizję wolnego wyboru jako jedyną zasadę relacji ludzkich. Rodzina dowodzi ograniczenia tego podejścia. Stosunek rodziców i potomstwa wyrasta z przedrozumowego, uczuciowego związku, które okazuje się najtrwalszym spoiwem każdej wspólnoty.

Inżynierowie społeczni sarkają na rzeczywistość, w której pozbawionym kwalifikacji rodzicom powierzone zostaje najważniejsze zadanie wychowania młodych ludzi. Protestują przeciw tej zasadzie i wskazują anomalie, od których nie jest wolny żaden ludzki układ. Kultura masowa, która jest wehikułem dominującej ideologii, zasypuje nas opowieściami o przemocy zakorzenionej jakoby w tradycyjnym, patriarchalnym modelu. Gdyby poważnie traktować prezentowany w niej obraz, to rodzina jest najniebezpieczniejszym dla dzieci środowiskiem. Rzadko trafiamy w niej na widok spustoszeń, jakie w psychice niedojrzałego człowieka czyni pozbawienie go rodzicielskiej opieki.

Realna przemoc w rodzinie jest penalizowana, jak każde inne przestępstwo. Zajmują się tym organa ścigania i wymiar sprawiedliwości. RPD nie posiada tego typu możliwości. Urząd ten wyrasta z uznania państwa za arbitra w relacjach między rodzicami a dziećmi i prowadzi do zasadniczego osłabienia rodziny. Przyczynia się do rozpadu więzi społecznych i problemów osobowościowych mieszkańców współczesnego Zachodu. W odpowiedzi postępowcy domagają się więcej tego samego.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8eeaf69eb0



Sygnalista nadaje

Głupie pretensje o to, że Pan Premier ***Donald Franciszek Tusk*** nie chciał amerykańskich baz, bo szkoda mu było na to pieniędzy. Takie plotki pojawiły się w mediach, powtarzane przez nieodpowiedzialnych dziennikarzy (a dokładniej osoby dziennikarskie identyfikujące się jako she/her). Co prawdziwy demokrata powinien na to odpowiedzieć? Po pierwsze, zaprzeczyć. To nie Pan Premier nie chciał, ale na pewno ten Nawrocki nie chciał. Albo Kaczyński z Żoliborza. Po drugie – no nie chciał. No i co z tego? Ameryka to Trump. A Trump to Putin (Tomek Piątek wam to rozrysuje). Poza tym obroni nas Unia Europejska.

Jeśli chodzi o pieniądze dla rządu Polski Uśmiechniętej, to jest apel do prawdziwych demokratów. Pijcie więcej! Więcej alkoholu. Okazuje się bowiem, że mieszkańcy Tenkraju ograniczyli spożycie napojów wyskokowych. W mediach piszą, że Tenkraj należy do unijnych liderów spadku spożycia alkoholu. Wielkie to pustki uczyniło ***Andrzejowi Domańskiemu*** w budżecie. Dzisiaj zaledwie 0,5 proc. ludności Polski Uśmiechniętej pomaga Andrzejowi w łataniu dziury budżetowej, pijąc codziennie. Aż 35 proc. nie chce zaś wspierać demokracji, bo w ogóle nie pije. PS Apel powinny wesprzeć autorytety moralne wiarygodne w tym temacie. Jesteśmy pewni, że osoby, takie jak Aleksander Kwaśniewski i Marcin Kierwiński, nie odmówią pomocy i chętnie wystąpią w spotach reklamowych wzywających do ratowania budżetu.

Jednocześnie zwracamy uwagę, aby nabyty alkohol wypijać, a nie trzymać w domu. Np. w lodówce. Szczególnie dotyczy to osób posiadających dzieci. Przypominamy, że zgodnie z zarządzeniem rzecznika (osoby rzecznickiej) praw dziecka dopuszczalna ilość piwa przechowywanego w warunkach domowych w zamkniętych butelkach wynosi jeden. Przekroczenie tej liczby, np. w postaci dwóch butelek w lodówce, oznacza rozpoczęcie procedury skierowania dzieci do specjalnych placówek wychowawczych oraz założenie Niebieskiej Karty rodzicom.

Wiadomości spoza Warszawy: Zwycięstwo moralne w Krakowie! Dzielnice centralne (oraz willowe) grodu pod Wawelem pokazały mieszkańcom blokowisk i peryferii, na kogo trzeba głosować. Oczywiście na Monikę Piątkowską, kandydatkę niezależną i bezpartyjną (skoro tak się przedstawiała, to znaczy, że tak jest). Teraz czas, aby peryferia zaludnione przez ludność przybyłą do Krakowa i aspirującą do wyższego statusu społecznego odpowiednio zachowały się w drugiej turze tych niepotrzebnych wyborów. Przy tej okazji zwracamy uwagę na niestosowne zachowanie jej konkurenta. Po ogłoszeniu wyników niejaki pan Gibała podziękował mieszkańcom Krakowa za oddane na niego głosy. Czysty populizm i tania demagogia! A następnie stwierdził, że chce zakończyć polaryzację partyjną i odsunąć polityków z Warszawy. Czyli czysty symetryzm i celowe nierozróżnianie demokratów od faszystów. Kandydatka demokratyczna pokazała klasę: ***Monika Piątkowska*** podziękowała Panu Premierowi Tuskowi i swo-

eprasa.pl 8eeaf69eb0

jemu sztabowi wyborczemu. Kim trzeba być, żeby tego nie rozumieć? Przecież bez uprzejmości Pana Premiera Tuska nie ma żadnej szansy na budowę metra. Z jego uprzejmością też nie ma tej szansy, ale – cytując klasyka – cóż szkodzi obiecać?



Wszyscy patrzą na ten Kraków jak na jakiś papierek lakmusowy. W tym sensie, że wynik tamtejszych wyborów pokaże, kto wygra w przyszłym roku, demokraci czy populiści. Ale to strata czasu. W ogóle nie wiadomo, czy będą jeszcze jakieś wybory. Czy one w ogóle są potrzebne? Komu przeszkadza to, iż rządzi Pan Premier Tusk? Ciekawe informacje w tym temacie przekazał wiceminister Irek Raś. To nie tylko wybitny znawca rynku najmu krótkoterminowego, lecz także osoba pochodząca z Krakowa (he/him, chyba że coś się zmieniło). Irek stwierdził, że do wyborów może w ogóle nie dojść. Mianowicie zależy to od decyzji pana Putina i tego, jak będzie postępował. Nazwał nadzieję dla demokratów ładnym słowem – eskalacja. Hm... Tyle osób wiesza psy na panu Putinie, a wygląda na to, że to zbyt surowe oceny.



Teraz sprawy naprawdę ważne. Marzyła o tym już wtedy, gdy była małą dziewczynką. Marzyła, gdy była nastolatką. Wreszcie udało się, gdy jest już starą babą. Ale to znak, że marzenia mogą się spełnić. Zwłaszcza za publiczne pieniądze. I to w sumie nieduże, bo nędzne 150 tys. zł. Za taką sumę wpłaconą dla jednej z fundacji ***Marta Cienkowska*** wystąpiła jako modelka na pokazie mody. Mówi, że jest z tego dumna, gdyż swoim występem mogła wesprzeć twórców, twórczynie i osoby twórcze z doświadczeniem migracji. Ładnie powiedziane. W stylu „Krytyki Politycznej", co zaprzecza złośliwym opiniom, że nikt już nie czyta KryPy. Poza jej twórcami, twórczyniami i osobami twórczymi. Jedyne zastrzeżenie do modelki Marty, jakie można mieć z pozycji postępowych, to że wystąpiła w bardzo konserwatywnym stroju. Bardzo staromodna suknia, aż do ziemi. Jedni tłumaczą to tym, że Marta uległa naciskom opresywnego patriarchatu, a inni tym, że ma grube nogi i wstydzi się je pokazywać.



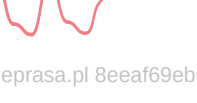
Jedna z najpiękniejszych twarzy mediów demokratycznych, osoba o nieprzeciętnej urodzie i umysłowości, Justa Dobrosz-Oracz (dla przyjaciół Multipla), zdradziła jedną z największych tajemnic III RP: „Pamiętam, jak kiedyś Giertych mi opowiadał, że dogadywali się z Millerem. Giertych robił ostre manifestacje po to, żeby Polska miała lepsze warunki wejścia do Unii Europejskiej". Ta cenna informacja całkowicie zmienia ocenę wydarzeń z ostatnich 36 lat. Młodzież Wszechpolska tak naprawdę była Młodzieżą Wszecheuropejską. Dzięki niej wielu młodych, zdolnych, lecz politycznie niewyrobionych ludzi po latach zasiliło takie organizacje demokratyczne jak ruch Silnych Razem. Rzeczywiście wtedy tak było, że wiele osób z powodu swej niechęci do ***Romana Giertycha*** głosowało za wejściem do Unii Europejskiej. I tak jest dzisiaj – z tego samego powodu jeszcze więcej osób chce z niej wyjść.



Polska Ludowa krajem nieograniczonych możliwości! To hasło, które powinien głosić lider Nowej Lewicy (która też jest trochę starą lewicą) Włodzimierz Czarzasty. A twarzą tego hasła powinien być Lech Bolesław Wałęsa. Dzięki wnikliwym badaniom – bynajmniej nie historyków i bynajmniej nie z IPN – Legendarny Przywódca był Legendarnym Analfabetą Funkcjonalnym, gdy pisał donosy na kolegów z zakładu pracy. Mimo, a może jednak dzięki funkcjonalnemu analfabetyzmowi Legendarny Analfabeta nadzwyczaj poprawnie wypełniał kupony totolotka, dzięki czemu za każdym razem trafiał najwyższe wygrane. Dodajmy, że dzięki temu wszystkiemu Legendarny Analfabeta otrzymał już 4 profesury honorowe i 100 doktoratów *honoris causa*. Nie wiemy, czy na liście uczelni, które wyraziły w ten sposób swoje uznanie Legendarnemu Analfabecie, jest Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu, czyli Alma Mater nieocenionej prof. dr hab. Mróz-Gorgoń Barbary. Jeśli jest na tej liście, to bardzo dobrze, jeśli nie, to czas nadrobić tę zaległość. Legendarny Analfabeta znakomicie będzie się komponował z profesor doktor habilitowaną.



To powinno być na początku, ale jakoś tak dajemy na końcu... Zgodnie z zapowiedzią Pana Premiera, jeśli chodzi o rozliczenia, to miał być nie tylko żurek, lecz także drugie danie i deser. No i jest! List żelazny dla Marcina Romanowskiego, który, jak się okazuje po raz kolejny, nie przebywa na terenie Naddniestrza.



Na sam koniec o sukcesach gospodarczych rządu Polski Uśmiechniętej. Wiceminister klimatu Ćwik Sławek radzi: idzie zima i jeśli nie macie pieniędzy na ogrzewanie, to obniżcie temperaturę w swoich mieszkaniach. To proste – wystarczy zakręcić kaloryfery lub nie palić w piecu. Zmianę zauważycie od razu. Wiceminister skrytykował także naród za to, że ma za ciepło w domach: „Gdy rozmawiamy ze wszystkimi, którzy np. byli w Anglii i kiedy porównują np. te zwyczaje, które mamy u nas, to mówią, że byli w szoku podczas pierwszej zimy w Wielkiej Brytanii, gdzie temperatury w domach są znacznie niższe" – stwierdził Ćwik Sławek.

Fot. Liudmyla Skwarczyńska, Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, M. Czutko

eprasa.pl 8eeaf69eb0

WIEŻA BAB

Rząd na wybiegu

Państwo ma tę irytującą właściwość, że jego problemy nie znikają tylko dlatego, że ktoś założy ładną sukienkę

Najpierw mieliśmy ministerstwo rolnictwa zamienione w wybieg. Teraz mamy minister kultury na wybiegu. Można odnieść wrażenie, że polska administracja państwowa odkryła właśnie swoją prawdziwą misję. Nie drogi, nie szpitale, nie szkoły, nie ceny energii, nie mieszkania. Moda. Bo skoro minister może być modelką, a ministerstwo może być salą pokazową, to być może czas przestać udawać, że państwo ma jeszcze jakieś inne, mniej efektowne zajęcia.

Szefowa resortu kultury Marta Cienkowska pojawiła się na wybiegu podczas finału programu ReFashioned. Wyszła w kreacji jednej z uczestniczek i – jak tłumaczy Fundacja Kraina – zrobiła to *pro bono*, społecznie, by wesprzeć początkującą projektantkę z Ukrainy. I tu nasuwa się pytanie: czy w Polsce naprawdę nie ma już nic ważniejszego, czym powinna się zajmować minister kultury?

Można oczywiście powiedzieć, że minister jest człowiekiem, a człowiek czasem wychodzi na wybieg. Tyle że minister nie jest po prostu człowiekiem z ulicy. Jest członkiem rządu. Reprezentuje państwo. I kiedy pojawia się publicznie, nawet w ramach „społecznego wsparcia", trudno całkowicie oddzielić jej obecność od sprawowanej funkcji. Zwłaszcza że mamy już pewną nową świecką tradycję.

Niedawno przez media przetoczyła się burza wokół pokazu mody zorganizowanego w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Resort, który z definicji powinien kojarzyć się z rolnikiem, gospodarstwem, żywnością, dopłatami, ASF, suszą i cenami skupu, na chwilę przeistoczył się w wybieg. Już wtedy pytałam: czy tego brakowało polskiemu rolnictwu? Teraz pytanie wraca, tylko w nieco innej wersji. Czy polskiej kulturze naprawdę brakowało ministerialnego modelingu?

Może mamy do czynienia z nowym kierunkiem polityki państwa? Resort rolnictwa będzie lansował modę dla rolników, resort kultury będzie chodził po wybiegach, a wkrótce minister infrastruktury zaprezentuje kolekcję „Jesień–zima na drogach krajowych". Minister zdrowia może wystąpić w stroju inspirowanym kolejkami do specjalistów, a minister edukacji – w kreacji „Podstawa programowa 2027".

A przecież minister może wesprzeć projekt na 100 sposobów. Może spotkać się z uczestnikami. Może powiedzieć kilka zdań. Może objąć wydarzenie patronatem. Może odwiedzić warsztaty. Może pogratulować projektantom. Może nawet kupić sobie coś z kolekcji, jeśli akurat ma taką potrzebę. Może też, jak w tym przypadku, wyłożyć na projekt 150 tys. zł, by móc zrealizować marzenie życia.

Fundacja Kraina pisze, że „nie rozumie, skąd ta kontrowersja". Organizatorzy są również „zaszczyceni", że minister zdecydowała się wyjść poza utartą rolę i „po prostu, po ludzku" wesprzeć debiutującą projektantkę z Ukrainy. I rzeczywiście, można patrzeć na to po ludzku. Tyle że można też spojrzeć na to z perspektywy podatnika, obywatela i człowieka, który oczekuje od państwa czegoś więcej niż kolejnych efektownych obrazków w mediach społecznościowych. Bo państwo ma tę irytującą właściwość, że jego problemy nie znikają tylko dlatego, że ktoś założy ładną sukienkę.

Cienkowska pokazała pewien styl sprawowania władzy. Styl, w którym pani minister coraz częściej chce być jednocześnie politykiem, celebrytką, influencerką, ambasadorką projektu, uczestniczką eventu i – najwyraźniej – modelką. A przecież czasem naprawdę wystarczy być ministrem. Zwłaszcza w kraju, w którym lista rzeczy do zrobienia jest zdecydowanie dłuższa niż lista kreacji na najbliższy sezon.

Może więc zamiast pytać, czy minister wyglądała dobrze na wybiegu, warto zadać inne pytanie: czy polskie państwo wygląda dobrze, kiedy jego ministrowie coraz częściej robią show, zamiast pisać projekty ustaw? Bo jeśli ten trend się utrzyma, to niedługo będziemy musieli zaktualizować definicję gabinetu politycznego. Gabinet? Oczywiście. Ale najpierw garderoba. I najlepiej od razu z wybiegiem.

Dorota Łosiewicz

Wtórni analfabeci



Ronald Kieł ze zdziwieniem patrzył na Waldemara Barszczyka. Minister sprawiedliwości stał wyprężony na baczność przed premierem rządu i patrzył przełożonemu w oczy z niezmąconym oddaniem.

Barszczyk wiedział, że jego los spoczywa wyłącznie w rękach Kła, który wyciągnął go z niebytu i w każdej chwili mógł z powrotem w niebyt zesłać. Gdyby jeszcze Barszczyk miał jakieś spektakularne sukcesy jako sędzia... Ale nic z tego. Waldemar nigdy nie był orłem Temidy, bo wiedza prawnicza za nic nie wchodziła mu do głowy. Luki w wykształceniu nadrabiał jednak aktywnością w stowarzyszeniach. W ten sposób zyskał sławę i uznanie wśród polityków uważających go za sędziowski autorytet. Dzięki temu awansował aż na ministerialny stołek. Teraz jego głównym zajęciem było stosowanie w praktyce dwóch powiedzeń: „Tisze jediesz, dalsze budiesz" oraz „Lepiej mądrze milczeć, niż głupio gadać". Tylko w ten sposób mógł przykryć swoją ignorancję. Bo już niejednokrotnie przekonał się, że kiedy coś mówił, natychmiast okazywało się, że tzw. litera prawa jest akurat tą literą, wobec której wykazywał analfabetyzm. W związku z tym wymuszonym milczeniem na politycznych salonach uchodził za tajemniczego, twardego faceta, który waży słowa. Można zatem powiedzieć, że z własnej słabości uczynił atut. Cwane, bo cwaniactwo było cechą, która charakteryzowała go w największym stopniu. To właśnie cwaniactwu zawdzięczał swój majątek. Nikt tak naprawdę nie wiedział, ile parcel, działek i nieruchomości posiada Barszczyk. A skoro nikt nie potrafił się ich doliczyć, to ich liczba nikogo nie mogła bulwersować – czyż nie było to cwane?

Kieł nadal wpatrywał się w niedogoloną twarz Barszczyka i zastanawiał się, czy ma do czynienia z debilem, czy z geniuszem. Przed chwilą przeczytał na Igreku (premier rządu nie czytał nic innego), że kierowana przez Barszczyka prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie donoszenia na kolegów przez legendarnego przywódcę Lecha. Czyli prokuratura zrobiła dokładnie to, co Kieł nakazał Barszczykowi: „Legendarny przywódca ma być uniewinniony od zarzutu donosicielstwa, a najlepiej, jakby sprawę umorzyć". No i sprawa została umorzona, więc premier posłał po Barszczyka, żeby mu pogratulować. Ale w czasie, kiedy Barszczyk szedł do gabinetu Kła, ten przeczytał uzasadnienie umorzenia. I zaniemówił.

Dlatego teraz Kieł patrzył na Barszczyka ze zdziwieniem i milczał, zastanawiając się, co ma powiedzieć. A Barszczyk milczał, bo wiedział, że tak jest dla niego lepiej. W końcu premier nie wytrzymał.

– Powiedz mi, proszę, Barszczyk, czy sam na to wpadłeś? – zapytał Kieł, nie okazując emocji.

– Nie wiem – odparł niepewnie Barszczyk. – Nie wiem, bo nie wiem, o co pan pyta, Kierowniku.

– Pytam o to, kto wymyślił, żeby umorzyć sprawę legendarnego przywódcy, uzasadniając to jego wtórnym analfabetyzmem – uściślił premier.

– A czy to jest dobre uzasadnienie? – odpowiedział pytaniem Barszczyk, który nie wiedział, czy przyznać się do autorstwa, czy mu zaprzeczyć. To oczywiście zależało od tego, czy Kłowi się to spodobało, czy nie.

– Nie wiem, Barszczyk – odparł Kieł. – Z jednej strony stwierdzenie, że legendarny przywódca 10-milionowego ruchu, były prezydent Tenkraju oraz nasz autorytet moralny, jest analfabetą, to policzek wymierzony nam wszystkim, a zwłaszcza moim wyborcom... Ale z drugiej – okazuje się, że moi wyborcy nie czują się spoliczkowani, bo mają analfabetyzm swojego autorytetu głęboko w d...ie, używając określenia tak popularnego ostatnio w naszej koalicji.

– O to, to! – podchwycił Barszczyk, bo poczuł, że ta rozmowa jest trochę o nim samym. – Wmawiają nam, że jesteśmy partią inteligencką, takie ą bą srą, a my nie jesteśmy, Kierowniku, żadni inteligenci! Ja to bym najchętniej tym z opozycji wziął i przypie...

Kieł przerwał mu uciszającym ruchem ręki.

– Pierwszy bym to zrobił, ale jako inteligenci lepiej wypadamy w sondażach – powiedział z uśmiechem. – Nam najlepiej wychodzi udawanie tych, którymi nie jesteśmy: inteligentów, demokratów czy ludzi tolerancyjnych. Ale myślę, Barszczyk, że dobrze się stało z tym uzasadnieniem. Bo jak nas będą mieli wsadzać, to będziemy udawać analfabetów!

– Kierowniku, powiem w sekrecie, że ja nawet za bardzo nie muszę udawać – powiedział Barszczyk, a jego twarz rozpłynęła się w uśmiechu.

MuMa

Fot.Grafika wygenerowana przez AI/MuMN

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Somalijskie gangi i oszustwa wyborcze



Szwecja

Ostatnie wybory parlamentarne w Szwecji wygrała lewica, a zdecydowały o tym głosy wyborców pochodzenia imigranckiego. Teraz policja i prokuratura badają ok. 60 zgłoszeń z podejrzeniami o oszustwa wyborcze. Chodzi o przekupstwo, zastraszanie działaczy prawicy oraz pomówienia.

Szczególnie rażący jest przypadek jednego z Somalijczyków startujących z list radykalnej Partii Lewicy (Vänsterpartiet). Mohamed Abdukardir Ali (na zdj.) zdobył mandat jedynie dzięki 648 głosom, z których większość padła w imigranckich obwodach w zachodnim Borlänge. Pracujący dla niego ludzie, znani policji z działalności przestępczej, zawozili wyborców pochodzenia imigranckiego pod lokale wyborcze i pilnowali, aby ci oddali głos na Alego. Zarejestrowano, jak kilka razy wypłacano gotówkę z bankomatu, a potem pieniądze wręczano z wypełnioną kartą do głosowania.

Wiarygodne donosy w tej sprawie pojawiły się już na etapie tzw. głosowania przedterminowego. Policja zgromadziła wtedy pokaźny materiał dowodowy, ale prokurator – ku frustracji policjantów – umorzył śledztwo. Ponownie zostało ono wszczęte, gdy okazało się, że Mohamed Abdukardir Ali zdobył mandat. Somalijczyk od lat obraca się w środowisku przestępczym. Nie wiadomo, w jaki sposób znalazł się na listach wyborczych, a lokalny lider partii Matts Hammarqvist oświadczył, że nawet go nie zna.

Ali otrzymał szwedzkie obywatelstwo w lutym, choć dwa lata temu odmówiono mu go z powodu 160 tys. koron długów za niezapłacone podatki i kredyty. W wynajmowanym przez niego mieszkaniu policja znalazła narkotyki, plastikowe woreczki oraz wagi, a jego współlokator jest podejrzany o pranie pieniędzy na dużą skalę.

Teraz skompromitowana skandalem Partia Lewicy chce namówić nowego parlamentarzystę, aby zrezygnował z mandatu. Somalijczyka próbowano nawet przekupić, oferując mu za dymisję intratną posadę w biurze poselskim przy gwarancji utrzymania wysokiej pensji. Okazało się jednak, że Ali woli mandat w Riksdagu. Mimo to nie pojawił się na inauguracji nowej kadencji, wysyłając e-mail z prośbą o dwutygodniowy urlop „w związku z sytuacją, w której się obecnie znajduje". Na płatnym urlopie chciałby poczekać do ostatecznego wyjaśnienia sprawy.

Maciej Walaszczyk



Szwajcaria

Porażka sympatyków Kremla

Ponad 70 proc. Szwajcarów odrzuciło w referendum propozycję zaostrzenia neutralności. Złożył ją były lider antyimigracyjnej Szwajcarskiej Partii Ludowej (SVP) Christoph Blocher, który chciał w ten sposób doprowadzić do wycofania się Szwajcarii z sankcji nałożonych na Rosję po jej agresji na Ukrainę.

Precedensem, na który powoływali się zwolennicy inicjatywy, były decyzje Rady Federalnej sprzed wybuchu II wojny światowej. W 1938 r., po aneksji Austrii przez nazistowskie Niemcy, Rada podjęła decyzję o powrocie do tzw. integralnej neutralności. W praktyce oznaczało to niezajmowanie stanowiska przez Szwajcarię w żadnym ze sporów, w tym odmowę oceny działań hitlerowskich Niemiec. Christoph Blocher domagał się teraz powrotu do tamtej polityki, proponując, aby sankcje wobec państw walczących były dopuszczalne tylko wtedy, gdy wspiera je Rada Bezpieczeństwa ONZ i zostały przegłosowane w referendum. Organizatorzy chcieli również, aby władze Szwajcarii nie miały możliwości zawierania porozumień o współpracy wojskowej, bo – ich zdaniem – stoi to w sprzeczności z neutralnością.

Komitet, który powołał Blocher, przeznaczył na kampanię referendalną 5,7 mln franków, z czego 4 mln przekazał z własnych zasobów. Jego postulat został jednak odrzucony zarówno przez Szwajcarów, jak i wszystkie kantony, co jest niezbędne, aby uznać werdykt wyborców (w sytuacji, gdyby poparli inicjatywę). Nawet macierzysta formacja Blochera SVP, choć oficjalnie poparła jego pomysł, to faktycznie nie angażowała się w kampanię – zapewne dlatego, że w komitecie organizacyjnym znaleźli się komuniści, radykalni pacyfiści, a także antyszczepionkowcy. Tę różnorodną koalicję – jak pisała szwajcarska prasa – łączyło jedno: zastanawiająca miłość do Rosji.

Sprzeciw Szwajcarów wobec polityki „integralnej neutralności" nie oznacza jednak, że to alpejskie państwo rezygnuje ze swojego przeszło 200-letniego statusu. Obecna polityka zostanie utrzymana, a neutralność nadal będzie interpretowana jako polityka nieuczestniczenia w konfliktach, co oznacza, że porozumienia z innymi państwami mają służyć przede wszystkim obronie kraju.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Hiszpania

Protest na placu Puerta del Sol



Mieszkaniowy bunt

„Czyściciele kamienic" nie są wyłącznie polską specjalnością. W Madrycie doszło do masowych protestów po eksmisji 87-letniej niepełnosprawnej kobiety z mieszkania, w którym żyła od 70 lat. Maricarmen Abascal nie była w stanie opłacić czynszu, który został podniesiony przez nowego właściciela budynku o kilkaset procent.

Zdjęcia starszej kobiety wynoszonej na noszach na ulicę wywołały powszechne oburzenie. Przez kilka dni na madryckim placu Puerta del Sol gromadzili się demonstranci, a w poprzednią sobotę ulicami miasta przeszedł marsz, w którym wzięły udział dziesiątki tysięcy ludzi. Manifestanci domagali się od lewicowych władz Hiszpanii zahamowania gwałtownego wzrostu kosztów mieszkaniowych oraz utrudnienia eksmisji. W ciągu ostatniej dekady ceny mieszkań w Hiszpanii poszły w górę o 63 proc., a czynsze aż o 80 proc. Skutkiem stała się rosnąca liczba eksmisji, dochodząca do 25 tys. rocznie.

Maricarmen Abascal miała pecha, ponieważ madrycki dom, w którym mieszkała, został wykupiony przez fundusz inwestycyjny. Nieruchomość miała być przeznaczona dla bogatych najemców, a 87-letnia emerytka nie zaliczała się do takich osób. Wyrzucenie jej z mieszkania musiało mieć jednak jakieś podstawy, więc prawnicy funduszu, posługując się kruczkami prawnymi, zakwestionowali dotychczasową umowę najmu i podnieśli jej czynsz z 500 do 2650 euro. Po długiej batalii czynsz został obniżony do 1650 euro miesięcznie, ale kobieta i tak nie była w stanie go opłacić, ponieważ jej emerytura wynosiła 1350 euro. Fundusz dopiął więc swego i ostatecznie doprowadził do eksmisji niechcianej lokatorki.

Brutalność, z jaką potraktowano starszą, niepełnosprawną kobietę, przechyliła czarę goryczy Hiszpanów, od lat zmagających się z kryzysem mieszkaniowym i wysokimi kosztami życia. Trudno im zrozumieć, dlaczego w państwie rządzonym przez lewicę mieszkania stały się rzadkim dobrem, służącym głównie pomnażaniu zysków niewielkiej grupce inwestorów. Plagą stały się fundusze skupujące atrakcyjne mieszkania pod wynajem – to one w dużym stopniu są odpowiedzialne za wzrost czynszów i eksmisje.

Do niedawna problemem byli również nielegalni lokatorzy, zajmujący cudze mieszkania, skąd praktycznie nie można ich było usunąć. Wydaje się, że w ten sposób lewicowy rząd radził sobie z niedoborem mieszkań. Ostatecznie przegłosowano liberalizację przepisów eksmisyjnych, która ukróciła ten proceder. Zabrakło natomiast ochrony uczciwych lokatorów przed astronomicznymi podwyżkami.

W przypadku Maricarmen Abascal fundusz ostatecznie ustąpił pod presją społeczną. Kobiecie pozwolono wrócić do rodzinnego mieszkania, a jej czynsz wyniesie nie więcej niż 30 proc. dochodów.

Konrad Kołodziejski

Korea Południowa

Samobójcze idee w znikającym narodzie

Jeszcze w 1960 r. współczynnik dzietności w Korei Południowej wynosił 6 urodzeń żywych na 1 kobietę. W 2023 r. wskaźnik ten spadł do 0,72. Choć w ub.r. wzrósł nieznacznie do 0,8, to i tak pozostaje najniższy na świecie i sytuuje się grubo poniżej progu zastępowalności pokoleń, który wynosi 2,1. Tak drastyczny spadek dzietności ma wpływ na kurczenie się populacji. W 2025 r. ubytek naturalny wyniósł ok. 120 tys. osób.

Negatywne tendencje demograficzne są wspierane przez popularne trendy kulturowe, napędzane przez media społecznościowe. Ostatnio doszły do nich modne ruchy młodzieżowe. Pierwszy z nich nazywa się 4B i ma charakter feministyczny. Skupia kobiety, które postanowiły budować swoją przyszłość bez mężczyzn, poświęcając czas i energię wyłącznie innym kobietom. Nazwa nurtu pochodzi od czterech koreańskich słów, które zaczynają się od przedrostka „bi", oznaczającego „nie", „przeciw" lub „anty". Są to zakazy małżeństw, randek, rodzenia dzieci i uprawiania seksu. Wykluczone są więc nie tylko relacje seksualne, lecz także nawet jakiekolwiek romantyczne związki z płcią przeciwną.

Drugi fenomen nazywa się Honjok i pochodzi od zbitki dwóch wyrazów: „hon" – samotność i „jok" – grupa, plemię. To termin oznaczający styl bycia ludzi, którzy świadomie postanowili spędzić swoje życie w samotności. Ich celem jest wyzwolenie się z zależności od innych osób, przejęcie kontroli nad własnym losem i osiągnięcie szczęścia osobistego poza rodziną i społeczeństwem. Dla narodu oba ruchy to droga do samobójstwa.

W obliczu zapaści demograficznej rząd w Seulu zainwestował w ostatnich paru dekadach niebotyczne środki finansowe, by zwiększyć współczynnik dzietności. Rezultaty są jednak mizerne. Decyzje administracyjne czy ekonomiczne okazały się nieskuteczne, ponieważ problem ma charakter kulturowy, a jego źródło tkwi w mentalności społecznej. Na razie władze Korei Południowej (podobnie jak wielu innych państw) nie mają pomysłu, jak zażegnać kryzys zagrażający egzystencji narodu.

Grzegorz Górny



eprasa.pl 8eeaf69eb0

Rozum przychodzi po czasie.
Bruksela odkrywa rzeczywistość

Cuda się jednak zdarzają. Komisja Europejska odkryła właśnie, że Europa potrzebuje gazu, ropy i węgla, a światowi dostawcy tych surowców nie rozpoczynają dnia od nabożnej lektury Dziennika Urzędowego Unii Europejskiej.

Odkrycie przyszło późno, ale przecież nie można wymagać od Brukseli wszystkiego naraz. Poszło o rozporządzenie metanowe. Unia postanowiła nałożyć na importerów paliw kopalnych kolejne obowiązki dotyczące kontroli emisji metanu w całym łańcuchu dostaw. W największym uproszczeniu – europejski importer miał nie tylko kupić potrzebny Unii surowiec, lecz także dopilnować, aby producent po drugiej stronie Atlantyku, na Bliskim Wschodzie czy w Afryce odpowiednio go zmierzył, opisał i udokumentował.

Na papierze wyglądało wspaniale. Jak niemal cały Zielony Ład. Kłopot zaczął się w chwili, gdy papier zetknął się z rzeczywistością. Okazało się bowiem, że Unia Europejska może uchwalać przepisy dla całego świata, ale świat nie ma obowiązku ich wykonywać. Producent gazu może sprzedać swój surowiec również komuś innemu. Ropę także. I nie musi prosić Komisji Europejskiej o pozwolenie.

W Brukseli musiał to być prawdziwy wstrząs poznawczy. Komisja zaczęła więc szukać sposobu na złagodzenie i odroczenie części obowiązków. Bardzo dobrze. Szkoda tylko, że zdrowy rozsądek po raz kolejny pojawia się w europejskiej polityce dopiero wtedy, gdy Bruksela stoi już z nosem przy ścianie.



Największym paradoksem europejskiej polityki jest to, że Bruksela coraz częściej z wielką determinacją leczy choroby, które wcześniej sama przepisała Europie na receptę. Najpierw podnosimy koszty energii, później tworzymy program taniej energii. Najpierw dokładamy przedsiębiorstwom obowiązków, później ogłaszamy pakiet uproszczeń

Doskonale znamy ten mechanizm. Najpierw powstaje regulacja. Oczywiście „ambitna". Następnie Parlament Europejski rozpoczyna zawody, kto uczyni ją jeszcze ambitniejszą. Przemysł pokazuje koszty. Energetycy pokazują bilanse. Państwa Europy Środkowej ostrzegają, że coś się nie spina. W odpowiedzi słyszą, że brakuje im ambicji.

Potem mijają dwa albo trzy lata. I zaczyna się wielkie brukselskie odkrywanie świata.

Okazuje się, że samochody produkują fabryki, a nie strategie. Stal powstaje w hutach, a nie na konferencjach klimatycznych. Energia musi płynąć również wtedy, gdy nie wieje i nie świeci. Gaz przypływa metanowcem, a nie przypisem do rozporządzenia. A przedsiębiorstwo obciążone kosztami, których nie ponosi konkurent w Stanach Zjednoczonych, Chinach czy Indiach, może po prostu przenieść produkcję.

Wtedy emisje rzeczywiście znikają. Z europejskiej statystyki. Fabryka znika razem z nimi.

Dlatego historia rozporządzenia metanowego jest znacznie ważniejsza niż jeden przepis. Pokazuje, że Zielony Ład nie jest prawem natury wyrytym na kamiennych tablicach. Kiedy robi się naprawdę niebezpiecznie, nagle można przesunąć termin, znaleźć wyjątek, zmienić przepis i odkryć elastyczność, której jeszcze wczoraj podobno nie było. Skoro więc można otrzeźwieć w sprawie metanu, można również w sprawie ETS. Można poważnie zmienić ETS2. Można poprawić CBAM. Można przestać traktować europejski przemysł jak niewyczerpane źródło pieniędzy na kolejne eksperymenty klimatyczne. Nie trzeba czekać, aż ostatnia energochłonna fabryka zgasi światło, żeby Komisja Europejska przedstawiła uroczysty „pakiet na rzecz konkurencyjności".

Bo właśnie na tym polega dziś największy paradoks europejskiej polityki. Bruksela coraz częściej z wielką determinacją leczy choroby, które wcześniej sama przepisała Europie na receptę. Najpierw podnosimy koszty energii, później tworzymy program taniej energii. Najpierw dokładamy przedsiębiorstwom obowiązków, później ogłaszamy pakiet uproszczeń. Najpierw osłabiamy własną konkurencyjność, później organizujemy konferencję o jej ratowaniu. Teraz przyszła kolej na metan.

Dobrze, że Komisja odzyskuje fragmenty rozsądku. Nawet pod ścianą i po czasie. Pozostaje tylko jedno pytanie – ile europejskich fabryk musi jeszcze zniknąć, zanim odzyska resztę.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Strategiczny partner



Marta Kaczyńska-Zielińska

Podczas niedawnej sesji ONZ w Nowym Jorku prezydent Karol Nawrocki zaprosił do Polski prezydenta Turcji Recepa Erdoğana. Zaproszenie zostało przyjęte.

Relacje polsko-tureckie należą do najbardziej trwałych stosunków bilateralnych naszego kraju z państwem pozaeuropejskim. Szczególny okres przypadł na prezydenturę Lecha Kaczyńskiego w latach 2005–2010. Polska należała wówczas do zdecydowanych zwolenników członkostwa Turcji w Unii Europejskiej, a sam prezydent Kaczyński postrzegał ten kraj nie tylko jako partnera bilateralnego, lecz także jako ważny element bezpieczeństwa NATO, europejskiej polityki energetycznej oraz szerszego układu geopolitycznego, obejmującego Morze Czarne, Kaukaz i region kaspijski. Wskazywał, że Turcja to poważne państwo, z którym wszyscy się liczą, podkreślał jednak, że warunkiem wejścia do UE jest jej „europeizacja".

Politykę Lecha Kaczyńskiego wobec Turcji należy analizować jako część jego szerszej koncepcji polityki zagranicznej. Prezydent przywiązywał szczególną wagę do NATO, relacji transatlantyckich, wzmacniania podmiotowości państw Europy Środkowej i Wschodniej, wspierania Ukrainy i Gruzji oraz rozwijania stosunków z Azerbejdżanem i innymi państwami regionu kaspijskiego. Jednym z najważniejszych elementów jego polityki było ograniczenie nadmiernej zależności Europy Środkowej od rosyjskich surowców energetycznych. W takim układzie geopolitycznym Turcja zajmowała szczególne miejsce. Stanowiła bowiem jednocześnie duże państwo NATO, kontrolowała dostęp z Morza Czarnego do Morza Śródziemnego, graniczyła z obszarem Kaukazu i Bliskiego Wschodu oraz była naturalnym terytorium tranzytowym dla surowców energetycznych pochodzących z regionu Morza Kaspijskiego. Można zatem odtworzyć geopolityczną logikę tej polityki jako ciąg: Bałtyk – Europa Środkowa – Ukraina – Morze Czarne – Kaukaz – region kaspijski – Turcja.

Ankara miała dla prezydenta Lecha Kaczyńskiego znaczenie wykraczające poza zwykłe relacje dwustronne. Najbardziej charakterystycznym elementem polityki prezydenta wobec Turcji pozostawało zdecydowane poparcie dla pełnego członkostwa tego państwa w UE. Nie było ono koniunkturalnym gestem wobec tureckich władz. Kaczyński przedstawiał je jako strategiczną i przemyślaną decyzję Polski. Szczególnie wyraźnie powiedział to podczas wizyty w Turcji w 2007 r. Podkreślał, że Turcja jako członek UE zwiększyłaby potencjał gospodarczy, terytorialny, polityczny, a także militarny Europy. Jego argumentacja miała zatem charakter przede wszystkim geostrategiczny. Odbierając w Stambule nagrodę „Europejski Mąż Stanu Roku 2006", mówił, że polskie stanowisko wobec członkostwa Turcji to „decyzja strategiczna i przemyślana".

W trakcie wizyty Recepa Erdoğana (wówczas premiera) w 2009 r. w Polsce prezydent Kaczyński ponownie potwierdził polskie poparcie dla członkostwa Turcji w UE. Polska i Turcja podniosły wówczas stosunki do rangi partnerstwa strategicznego.

Poza integracją europejską drugim zasadniczym wymiarem relacji było bezpieczeństwo energetyczne. Prezydent Kaczyński próbował tworzyć system współpracy państw zainteresowanych dywersyfikacją dostaw ropy i gazu do Europy. Intensywnie rozwijał stosunki z Azerbejdżanem, Gruzją, Ukrainą, Litwą i innymi państwami regionu oraz organizował szczyty energetyczne, poświęcone alternatywnym szlakom transportu surowców. Turcja była w tej koncepcji ważna z powodów geograficznych. Funkcjonujący od 2006 r. rurociąg Baku–Tbilisi–Ceyhan (BTC) transportował ropę z Azerbejdżanu przez Gruzję do tureckiego portu Ceyhan nad Morzem Śródziemnym, omijając terytorium Rosji i Iranu. Dla prezydenta był to dowód na to, że możliwe jest tworzenie infrastruktury energetycznej łączącej region kaspijski z Zachodem bez rosyjskiego pośrednictwa. W obliczu wojny na Ukrainie oraz zachodnich sankcji nałożonych na Rosję dzięki BTC oraz biegnącym obok gazociągom południowokaukaskim Turcja stała się kluczowym hubem energetycznym dla Europy i Bliskiego Wschodu.

REKLAMA



30/0926/F

eprasa.pl 8eeaf69eb0



Walizka Elżbiety Ruman

dziennikarki, pisarki, założycielki Centrum św. Hildegardy w Józefowie



Od 2006 r. w podróży przez życie towarzyszy mi św. Hildegarda z Bingen. Jak poznałam tę Świętą, którą w 2012 r. papież Benedykt XVI ogłosił doktorem Kościoła powszechnego? Przez cud we Wrocławiu. Tamtejszy starszy ksiądz profesor, duszpasterz wielu pokoleń, ks. Marek Adaszek, który był w ostatnim stadium choroby nowotworowej trzustki z przerzutami, po wieloletniej batalii w szpitalach, bez nadziei na wyzdrowienie, rozpoczyna terapię według metody niemieckiej mniszki z XII w. Ale gdy kilka miesięcy później rozmawiam z nim przed nagraniem do programu w Redakcji Programów Katolickich TVP, słyszę kapłana pełnego energii i dobrego humoru. Przygotował cały plik swoich badań, które sfilmowaliśmy, strona po stronie. To od Niego po raz pierwszy usłyszałam o niezwykłej Hildegardzie z Bingen i orkiszu, który pomógł mu wygrać z chorobą. Wtedy nie znałam ani tej Świętej, ani tego starożytnego gatunku zboża, jednak ta nieprawdopodobna historia wyzdrowienia Profesora z choroby uważanej za nieuleczalną sprawiła, że zaczęłam szukać dzieł Mniszki i oczywiście – orkiszu. W miarę jak Ją poznawałam, moje zdumienie i fascynacja postacią świętej rosły. Hildegarda była mistyczką, wizjonerką, poetką, filozofką przyrody, kompozytorką, wykładowczynią i Matką Założycielką pierwszego w historii chrześcijaństwa klasztoru dla kobiet! Jej dzieła, które były spisywanymi przez 40 lat wizjami – czyli przekazem od Stwórcy – znacznie wyprzedzały epokę, w której żyła. Nazywam Hildegardę średniowieczną biochemiczką, a Jej fenomen polegał na tym, że podobnie jak w przypadku św. Faustyny to, co spisała, było podyktowane przez Stwórcę całego Stworzenia. Po wiekach cała Jej spuścizna, teologia, muzyka i recepty na zachowanie zdrowia dzięki właściwemu odżywianiu i środkom naturalnym żywo zainteresowały naukowców, którzy swoimi badaniami ze zdumieniem potwierdzają odkrycia i wnioski niemieckiej mistyczki. Oprócz 2 tys. rozmaitych terapii na różnego rodzaju problemy w organizmie. To mnie zainspirowało do organizowania „Spa dla Ciała i Duszy". Na tygodniowe turnusy przyjeżdżają ludzie nie tylko z całej Polski, lecz także najdalszych kontynentów. Fenomen św. Hildegardy polega na tym, że Ona łączy, jest ponad podziałami, granicami czy poglądami politycznymi. Uczy współczesnych, że Stwórca zostawił w otaczającej nas przestrzeni wszystko, co jest nam potrzebne do dobrego, zdrowego i mądrego życia.

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Elżbiety Ruman

eprasa.pl 8eeaf69eb0





ZAWSZE MAM

Książka Wigharda Strehlowa „Wiedza lecznicza św. Hildegardy z Bingen od A do Z” towarzyszy mi we wszystkich podróżach. To arcyciekawy indeks chorób i hildegardowych środków leczniczych, który pozwala szybko odnaleźć interesujące nas treści.



ORKISZOWA MĄKA

Robię z niej bułki, chleby, ciasta, naleśniki. Orkisz jest jedynym ze zbóż, które zawiera czynną biologicznie substancję: rodanid (thiocyanad) – związek siarki, węgla i azotu – mający ogromne znaczenie dla układu odpornościowego człowieka.



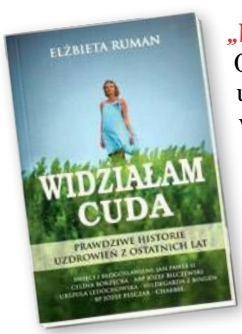
„LECZNICZA MOC NATURY”

Książka powstała w czasie pandemii po to, by ludzie nie bali się wirusów, ponieważ sposoby na nie mamy w zasięgu ręki. Opisałam je w tej książce, pokazując, czego każe używać św. Hildegarda, kiedy chore są gardło, ucho czy oskrzela, kiedy dokucza ból głowy albo „łamie nas w kościach”. To gotowe przepisy na hildegardowe eliksiry.



GALGANT, BERTRAM I DYPTAM,

czyli trzech muszkieterów Hildegardy. Święta twierdziła, że galgant podnosi pracę serca, wzmacnia układ krążenia, działa przeciwbólowo i przeciwskurczowo. Bertram działa w jelitach jak kret – usuwa złogi, zgniliznę, grzyby i pleśń. Z kolei dyptam, czyli krzew mojżeszowy, oczyszcza od środka naczynia krwionośne, rozpuszczając „stwardnienia” w organizmie.



„WIDZIAŁAM CUDA”

Opisałam w niej niewytłumaczalne uzdrowienia, które miały miejsce w naszych czasach, dotyczą konkretnych ludzi i zostały uznane przez Kościół katolicki. Osobiście „dotknęłam” tych cudów, spotykając się i rozmawiając z 12 cudownie uzdrowionymi. Ta lektura przywraca nadzieję.



TABLETKI

Zioła w tej formie są poręczniejsze w podróży i zawsze mam je pod ręką. Oprócz galgantu i bertramu zabieram w tabletkach hildegardowy sposób na grypę.



„MIASTO MARZEŃ”

Razem z Małgosią Kożuchowską przez 14 lat robiłyśmy programy „My, Wy, Oni”. Jeden z nich tak zapadł mi w sercu, że opisałam go w tej książce. To było marzenie pewnego człowieka, którego według dzisiejszego świata nie miał prawa mieć. Zaczęło się w Brańszczyku niedaleko Warszawy, a skończyło w Rzymie.



MAKARON ORKISZOWY

To prawdziwy skarb, ponieważ torba prawdziwego orkiszu wystarczy na posiłek dla pięcioosobowej rodziny na kilka dni i nikt nie będzie głodny. Prawdziwy orkisz syci i uzupełnia wszelkie potrzeby organizmu. Nie mylić z podróbkami z sieciówek.



PIOŁUN I RZĘSA WODNA

Według Hildegardy sok z młodego piołunu połączony z gotującym się winem to mistrz podnoszenia odporności i poprawy pracy nerek, oczyszczania wątroby i płuc. Z kolei napój z rzęsy wodnej – miks 12 roślin – mistyczka każe podawać osobom z obniżoną odpornością organizmu, chorobami przewlekłymi lub do oczyszczenia po długotrwałej terapii chemicznej.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

eprasa.pl 8eeaf69eb0

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Udana zmiana okupantów rosyjskich na niemieckich



Jan Pietrzak

Uśmiałem się do rozpuku, czytając komunikat prokuratury, że Wałęsa nie był agentem SB, ponieważ był analfabetą. Jest to ekstremalnie szyderczy wyrok w stosunku do laureata Nagrody Nobla i prezydenta Polski w latach 1990–1995. Przy okazji wydało się, dlaczego nagrodę w Sztokholmie odbierała żona – bo umiała się podpisać. W dniach buntu Solidarności przywództwo analfabety nie szokowało. Wielokrotnie w dziejach zdarzali się wodzowie nie czytaci, nie pisaci, ale porywający tłumy mówcy. Jednak już moment formalnego podpisywania porozumień sierpniowych rodzi pytanie, jak to faktycznie było. Może drugi podpisywacz, wicepremier Jagielski, dostał polecenie, by maznąć parafkę za Lecha, aby nie komplikować sprawy. Wszystko i tak było niezwykle zagmatwane. Obaj panowie w gruncie rzeczy służyli tej samej stronie politycznej – jeden jako urzędnik, drugi jako agent tego samego reżimu. Taki mamy ambaras z naszą niełatwą historią.

Jak przekazać młodym pokoleniom wzniosłość i heroizm sierpniowych dni, które wydobyły Polskę z jarzma sowieckiej niewoli? Z tego zgniłego imperium zła!? To nie stało się samo, ktoś tego naprawdę dokonał. Obok oszustów, popaprańców, równolegle toczyła się prawdziwa, szlachetna walka o wolność... „Już tam ojciec do swej Basi / mówi zapłakany / słuchaj jeno pono nasi / biją w tarabany". To był święty duch, o którym w „Rocie" pisała Maria Konopnicka: „Duch będzie nam hetmanił" i do którego przywoływał św. Jan Paweł II, by zstąpił i odmienił oblicze tej ziemi. Przez 16 miesięcy grzmiały w kraju tarabany niepodległości... Tylko tyle.

Początki III RP to szok w bałaganiarskim stylu. PRL była państwem rządzonym przez partię klasy robotniczej. W sierpniu 1980 r. właśnie klasa robotnicza obaliła rząd klasy robotniczej. Stało się nieodwracalne. Przez kolejne dekady trwała wymiana sowieckiego, rosyjskiego okupanta, na okupanta niemieckiego. Nęciła nas Unia Europejska ze swoim dobrobytem. Pełne sklepy, jak żartowałem w kabarecie – „same PEWEXY. Lśniące gabloty, zachodni styl kultury, otwarte granice ciągnęły Polaków do »Zachodu«". Trwało to wiele lat, ale się udało...

Dopiero dzisiaj, z długiej perspektywy, widać, co się udało. Udało się zamienić okupanta wschodniego na zachodniego. Niemcy, od których Polska nie otrzymała należnych odszkodowań za potworne zbrodnie i zniszczenia wojenne, dostały polski rząd do dyspozycji. Kontynuują niszczenie naszego kraju środkami administracyjnymi, a nie bojowymi. Rządzą finansami i rolnictwem. Zarządzają edukacją i kulturą. Zamykają stocznie, kopalnie i huty. Niemiecki kandydat do TK nie spełnia wymagań prawnych, ale ma niemiecki glejt i wystarczy. Fascynująca ministernica kultury wzmacnia jakość krajowego modelingu i alles gut, bo jest w germańskim typie. Ale to detale... do następnego felietonu. Na jednej kartce wszystko się nie zmieści.

Odbierane prawo do dumy i marzenie o łapankach



Samuel Pereira

Co łączy Lecha Wałęsę z Unią Europejską? Były prezydent służy jako neutralizacja sukcesu Polaków, jakim była Solidarność, a Bruksela jako symbol tego, jak beznadziejna byłaby Polska, gdyby nie ci z zewnątrz. Przecież my, Polacy, nie mamy prawa do dumy z dzieła naszych rąk, głów i serc. Mamy się siebie wstydzić, a jeśli coś ma nas zachwycać, to zagraniczne gremia i decyzje albo wyznaczone nam „autorytety", takie jak Wałęsa. Nie bez kozery pod koniec 2007 r. powołano Unijną Grupę Mędrców, w której znalazł się właśnie były prezydent. To on „obalił komunę", a nie jacyś bezimienni Polacy. To UE dała nam „kible", by nie trzeba było „srać za stodołą" (przepraszam, to cytat z marszałka Sejmu, aktualnie drugiej osoby w państwie). „Może właśnie taka opowieść o sraniu w polu najbardziej przypomni ludziom, jak siermiężna i toporna była nasza rzeczywistość" – wspiera narrację Włodzimierza Czarzastego Tomasz Sekielski.

Problem pojawia się, gdy ktoś uważa inaczej. Wtedy kończy się spór o historię, a zaczyna lista proskrypcyjna. Po tym, jak prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie „teczek Kiszczaka", powołując się na „wtórny analfabetyzm" Wałęsy, jedni się śmiali, inni byli zaskoczeni i poczuli wstyd. Sam były prezydent zaczął tłumaczyć, że „analfabetyczny debilizm" pomógł mu przechytrzyć bezpiekę (sic!). Gdy Robert Mazurek, Krzysztof Stanowski i Dawid Wildstein w mediach wyśmiali ten argument, reakcja musiała być adekwatna do tak wielkiej „zbrodni". Marcin Rybak z wrocławskiej „Wyborczej" publicznie zażądał prokuratorskiego śledztwa z urzędu z art. 216 k.k. (zniewaga) i wymienił wspomnianych mężczyzn z nazwiska, pisząc też o „wszystkich innych, którzy urządzili sobie internetowy lincz" (mnie niestety pominął). Dodał rezolutnie, że on wie, iż zniewaga jest ścigana prywatnie, ale dla Wałęsy chce wyjątku oraz nowego paragrafu: wirtualnego odpowiednika art. 254, czyli „udziału w zbiegowisku". I tak właśnie wystarczyło podrapać po raz kolejny, by spod nowego plastiku wyszła stara, czerwona farba. „Demokraci" znów marzą o łapankach.

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Zrabowane w Polsce. Czy Europa pomoże je odnaleźć?



Niemcy niszczyli polskie miasta, zabytki, biblioteki i archiwa. Rabowali obrazy, rzeźby, rękopisy, księgozbiory i przedmioty sakralne. Wiele ukradzionych dzieł nie wróciło do Polski. Ich los pozostaje nieznany.

Dlatego zwróciłem się do Komisji Europejskiej z pytaniem o finansowanie badań, dokumentacji, digitalizacji i poszukiwania dóbr kultury zrabowanych z Polski przez Niemców.

Na dwie fazy „Jewish Digital Cultural Recovery Project" przewidziano po 490 tys. euro na lata 2019 i 2020 – łącznie prawie 1 mln euro. Projekt służył dokumentowaniu zrabowanych dóbr i tworzeniu cyfrowej bazy danych.

UE przeznacza miliony euro na badania nad restytucją, kolonializmem i naprawianiem historycznych krzywd. Re-PAIR otrzymał ok. 2 mln euro na badania nad reparacjami za zniewolenie i kolonizację ludów Afryki. AnceStra – ok. 2 mln euro na badania szczątków ludzkich z dawnych kolonii niemieckich i ich zwrotu. REPATRIATES – niemal 2 mln euro na badania nad powrotem dóbr kultury, m.in. do Beninu, Nigerii i Namibii. BEYONDREST – 2 mln euro na badania nad utratą dziedzictwa i restytucją.

To finansowanie badań, a nie wypłata reparacji. UE ma więc narzędzia do wspierania dokumentacji i analiz historycznych krzywd. Dlaczego nie wykorzystać ich również do poszukiwania polskiego dziedzictwa?

Zwrot rękopisu „Gaude mater Polonia", zrabowanego w 1941 r., Komisja uznała za kwestię dwustronną między Polską a Niemcami.

Tyle że procedura zwrotu konkretnego obiektu i finansowanie jego poszukiwań to dwa różne zagadnienia. Uznanie pierwszej za sprawę dwustronną nie wyjaśnia, jakie wsparcie jest dostępne dla drugiej.

Zrabowane polskie dzieła są częścią europejskiego dziedzictwa. Mogą się znajdować w muzeach, bibliotekach, domach aukcyjnych i prywatnych kolekcjach w różnych państwach. Poszukiwania wymagają współpracy badaczy, dostępu do archiwów i połączonych baz danych.

Dlatego pytam Komisję wprost: jakie unijne instrumenty mogą finansować takie działania? Jeżeli Komisja uważa je za wyłączone ze wsparcia, niech wskaże podstawę prawną.

Aby zwrócić zrabowane dzieło, trzeba je najpierw odnaleźć. W tym Europa powinna pomóc. Nie odpuszczę tematu.

Arkadiusz Mularczyk

Lalka się nie starzeje

Z Markiem Żurawskim, dyrektorem organizacyjnym festiwalu „Lalka też Człowiek", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Słowo „lalka" budzi ostatnio sporo emocji. To dla was dobrze?

Marek Żurawski: Bardzo dobrze! Od lat staramy się, by o lalce mówiło się szeroko. Zwłaszcza że lalka sceniczna – w przeciwieństwie do tej kojarzonej z zabawką – jest odrębną formą artystycznego wyrazu. To równoprawny aktor, opowiadający historię graną na scenie.

To już XX Międzynarodowy Festiwal Teatru Lalek i Animacji Filmowych dla Dorosłych „Lalka też Człowiek" (9–21 października w Warszawie). Co niesie taki jubileusz?

Przede wszystkim zaskoczenie! Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczaliśmy, że przez tyle lat uda nam się organizować międzynarodowy festiwal. To również ogromna satysfakcja. Bardzo ważne jest dla nas uznanie polskiej publiczności i uznanie za granicą. Właśnie wróciłem z Lublany, z jednego z najważniejszych festiwali lalkarskich, gdzie znalazłem się w gronie zaledwie trzech zaproszonych dyrektorów festiwali z Polski.

O czym będziecie opowiadać w tej edycji?

Nigdy nie zakładamy tematu przewodniego, ale zwykle okazuje się, że pokazywane spektakle łączy wspólna nić. W tym roku pojawiają się m.in. opowieści dotykające osamotnienia, przebodźcowania, trudności w odnajdywaniu się w dzisiejszym świecie. Mówi również o tym zrealizowany przez nas spektakl „Mayday".

Co się zmieniło, a co trwa w świecie lalek?

Lalka żyje i wcale się nie starzeje! Zmieniają się możliwości techniczne: scenografia, projekcje, wyświetlanie tłumaczeń czy audiodeskrypcja, natomiast sztuka lalkarska trwa. Pozostaje różnorodna i wciąż przyciąga młodych twórców. Przyszło nowe pokolenie, ale weterani na szczęście nie wyrośli z lalek.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Czy leci z nami pilot?



Oglądając filmy dokumentalne z wystąpieniami Adolfa Hitlera czy Benita Mussoliniego, nie mam wątpliwości, że widzę psychopatów, którzy z jakichś powodów decydowali o losach swych narodów. Pierwszy sekretarz ZSRR Nikita Chruszczow, przemawiając podczas zgromadzenia ogólnego ONZ (1960), walił butem w mównicę! Przywódca socjalistycznej Kuby pobił rekord Guinnessa, perorując na tym samym forum przez 4,5 godziny bez przerwy. Nie był to jego najlepszy wynik – najdłuższe, wyborcze przemówienie El Comandante trwało 7,5 godziny! Ten komiczny „ekscentryzm" był jednak podszyty realną, krwawą dyktaturą.

Z przerażeniem konstatuję, że oficjalne wypowiedzi polityków rządzących naszym krajem odrywają się od akceptowalnych standardów i lewitują w kierunku absurdu, burleski czy wręcz głupawki. Ogrom wyzwań, który zawisł nad premierem i jego ministrami: zagrożenie wojną kinetyczną, rekordowo narastające zadłużenie kraju, zapaść w służbie zdrowia, edukacji, gospodarce, pikujące wskaźniki ekonomiczne i proinflacyjna drożyzna na rynku paliw – to wszystko powinno skupić uwagę rządzących na „gaszeniu pożarów" trawiących dziś Polskę.

Tymczasem Donald Tusk bawi się nagrywaniem żenujących podcastów z obierania ziemniaków, konsumpcji żurku czy prezentacją wierszyków dla dzieci. Skala kłamstw wylewających się z tych infantylnych „exposé" zdumiewa i poraża. Ale te pseudokabaretowe ekscesy nie wykluczają siłowego przejęcia kolejnych instytucji państwa (TK, NBP), domykającego układ i prowadzącego do ruiny kraju i utraty jego suwerenności. Nie tylko błogostan Polaków, lecz także ich życie i zdrowie są dziś realnie zagrożone.

Nasze społeczeństwo nie jest przygotowane na wojenny koszmar, fizyczną przemoc na ulicach, ekstremalną biedę, zimno, głód i niepewność jutra. To irracjonalne, że Polacy, niegdyś tłumnie uczestniczący w protestach w obronie Facebooka i prawa do aborcji, nie oponują dziś równie masowo i pakują się wprost w tarapaty.

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA Studenci wracają do nauki



Fot. Łukasz Gągulski/PAP

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: MATEUSZ SŁODKOWSKI/AFP/EAST NEWS, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, KINO ŚWIAT, wPOLSCE24, SHUTTERSTOCK

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 8eeaf69eb0



Prokuratura umorzyła postępowania w sprawie składania przez Lecha Wałęsę fałszywych zeznań w procesach lustracyjnych. Na podstawie zeznań świadków prokurator twierdzi, że Wałęsa był wtórnym analfabetą, więc nie mógł pisać raportów dla SB. A jak było naprawdę?

Analfabeta czytał Miłosza

Z dr. Józefem Orłem, szefem Klubu Ronina, rozmawia Jerzy Szmit

Kiedy po raz pierwszy spotkał pan Lecha Wałęsę?

Józef Orzeł: W 1980 r. Od początku jeździłem do Gdańska na posiedzenia Komisji Krajowej Solidarności.

Jakie było pana pierwsze wrażenie?

Widziałem w nim bohatera, a on uznał mnie za swojego człowieka w Warszawie. Jednak bardzo szybko zacząłem uważać, że w tym wizerunku coś mi się nie zgadza. Matka Boska w klapie, ten wielki długopis. Pomyślałem, że to jakieś sztuczki wizerunkowe.

Ale był już niekwestionowanym liderem.

Nie, na I Zjeździe Solidarności były również inne kandydatury na funkcję przewodniczącego związku. Wiem też, że na początku września 1980 r., kiedy myślano o utworzeniu jednego związku krajowego, Jacek Kuroń mówił na spotkaniu w Gdańsku, że mamy do czynienia z agentem. Potem kilkakrotnie sam się przekonałem, że prowadził związek w sposób bardzo umiarkowany, co dla mnie i moich kolegów pozostawało nie do przyjęcia, bo było wbrew polskim interesom.

Jednak Lech Wałęsa stale powtarzał, że to on obalił komunizm.

To jest wizerunkowe tworzenie pozycji jedynego decydenta w Solidarności. To się zaczęło w czasie przygotowań do I Zjazdu. Wtedy Wałęsa próbował odsunąć wszystkich konkurentów: Gwiazdę, Jurczyka i Rulewskiego. Przeprowadzono wybory, które z trudem wygrał. Jednak wcześniej była kwestia strajku generalnego w marcu 1981 r., po tzw. wydarzeniach bydgoskich. Wałęsa poprosił, abym pojechał do Bydgoszczy na nieoficjalne, tajne posiedzenie niepełnego Prezydium Komisji Krajowej. Odbyło się bez niego: on lubił rozpoznawać, jakie są nastroje, na ile radykalne, ponieważ – jak się za chwilę okaże – już wtedy zdecydował (jeśli to był jego pomysł), iż żadnego strajku generalnego nie będzie.

Jak było w Bydgoszczy?

Dość radykalnie, ale okazało się, że relacje ze spotkania dotarły nie tylko do Wałęsy, lecz także do SB. Potem, w czasie przesłuchania, pokazano mojej współpracowniczce zdjęcia ze spotkania, co oznaczało, że w Prezydium też był agent. Za kilka dni, już w Warszawie, odbyło się kolejne nieformalne posiedzenia Prezydium, znowu bez Wałęsy. Wówczas panowała pełna zgoda, również wśród

Fot. Wojtek Laski/East News

eprasa.pl 8eeaf69eb0

umiarkowanych działaczy i doradców – Kuronia i Michnika – na przeprowadzenie strajku generalnego.

Ostatecznie strajk się nie odbył.

Właśnie. Po posiedzeniu pojechałem do Hotelu Solec, do Wałęsy. Powiedziałem, że wszyscy są za strajkiem. Szybko zwołał tam już formalne posiedzenie Prezydium, na którym w jego obecności potwierdzono, że strajk się odbędzie. Po posiedzeniu poprosił mnie i moją koleżankę dziennikarkę, żebyśmy napisali dla niego wystąpienie do telewizji na następny dzień. Gdy przyszliśmy wieczorem z tekstem, Wałęsa leżał w łóżku i wyglądał na chorego. Tekst napisaliśmy na dużej karcie, aby łatwiej go było czytać w telewizji. On wziął ode mnie długopis i leżąc w łóżku w gorączce, zaczął coś kreślić i dopisywać.

Co z tego wyszło?

Efekt był taki, że z tekstu rewolucyjnego, iż jutro strajkujemy i obalimy komunę, zrobił się tekst – jutro nie strajkujemy.

Czyli jestem za, a nawet przeciw.

Co więcej, była to całkowicie profesjonalna redakcja; gdybym był przeciw strajkowi i obejrzał tę redakcję, to już niczego bym nie zmieniał. On wziął tekst, ale zamiast go wygłosić, dał Andrzejowi Gwieździe, a ten to przeczytał. No i poleciało, że Gwiazda jest przeciwko strajkowi. W ten sposób Wałęsa przetrącił Solidarności kręgosłup i ona już się z tego nie podniosła. Potraktujmy to jako pierwszy dowód, że Wałęsa umiał czytać i pisać. Więcej: umiał redagować.

Ale w tamtych czasach chwalił się, że nie przeczytał żadnej książki.

Druga historia. W 1981 r., jeszcze przed Bydgoszczą, odbyło się posiedzenie Komisji Krajowej w Gdańsku, wyjątkowo w Dworze Artusa. W przerwie Wałęsa siedział z boku przy oknach i czytał małą książeczkę. Podszedłem zaciekawiony i zobaczyłem, że to były wiersze Miłosza. I trzeci dowód: w listopadzie 1981 r. udzielił mi wywiadu do mojego miesięcznika „NTO", wydawanego przez Region Mazowsze. Rozmowa była świetna, bo nagadał mnóstwo typowo wałęsowych głupot, a to jest przecież marzenie dziennikarza, żeby przynieść coś takiego do redakcji. Pod wieczór Wałęsa zadzwonił do mnie do domu i zaprosił na kolację do Solca w kilkuosobowym gronie. Po niej wyciągnął długopis i skreślił dokładnie wszystkie te swoje głupolstwa.

Co pan z tym zrobił?

Opublikowałem to w takiej formie, w jakiej od niego dostałem, z przekreśleniami, aby było widać, na ile Wałęsa ocenzurował własny tekst. Została tylko nuda i banał. Taka umiejętność precyzyjnej redakcji tekstu wymagała nauki.

> Wałęsa poprosił mnie i moją koleżankę dziennikarkę, żebyśmy napisali dla niego wystąpienie do telewizji. Gdy przyszliśmy wieczorem z tekstem, leżał w łóżku i wyglądał na chorego. On wziął ode mnie długopis i leżąc w łóżku w gorączce, zaczął coś kreślić i dopisywać. I była to całkowicie profesjonalna redakcja

Ale język, którym się posługiwał, nie mógł być wyuczony.

Inteligenci z Solidarności uważali, że Wałęsa głęboko rani język polski, a ja uważam inaczej. To przepiękny język polski człowieka prostego, pozornie na granicy analfabetyzmu, ale zarazem dla innych takich jak on język bardzo oczywisty, ze wspaniałymi skrótami i alegoriami. Pozwala jednym zdaniem wyrazić to, na co inteligent potrzebuje długiego wywodu. To był jego wielki atut.

Czy wykorzystywał to świadomie?

Znowu historia. Przed jakimś posiedzeniem poprosił, żebym na następny dzień przygotował mu wystąpienie. Postanowiłem, trochę żartem, że napiszę to jego językiem, tak jak mi to mówił. Gdy to zobaczył, dostał szału: „Miało być po polsku" – krzyczał. Tłumaczyłem mu, że to jest wspaniały język polski, ale to do niego nie dotarło, musiałem to napisać jeszcze raz.

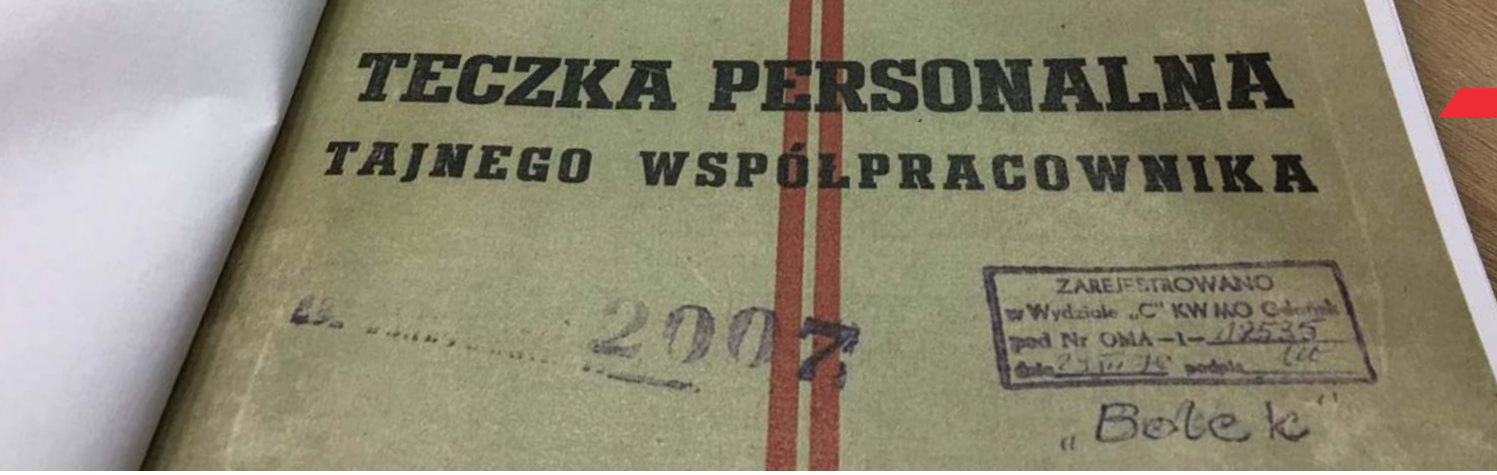
Tłumacze mieli z nim wielki problem.

Kiedyś uczestniczyłem w spotkaniu z przedstawicielami wielkiej amerykańskiej firmy doradczej w sprawie ściągania amerykańskiego kapitału. Spotkanie zorganizowano w Gdańsku w Krajówce. Wałęsa zachowywał się bardzo luźno, był w kapciach, choć Amerykanie – typ senatorski – chyba tego nie zauważyli. Wreszcie po świetnej rozmowie, na zakończenie, Wałęsa mówi tak: „Jak już sprowadzicie tu swoje firmy, to postawię na granicy takie wojsko, żeby żaden dolar, który u nas zarobicie, z Polski nie wyjechał". Tłumaczyła to moja przyjaciółka, native, znakomita w swoim fachu. Gdy to usłyszała zbladła, ale błyskawicznie uchwyciła powagę sytuacji. Przetłumaczyła, że Wałęsa będzie dobrze pilnował granic, a o dolarach nie wspomniała. Otoczenie Wałęsy – Wachowski, Drzycimski – nie zareagowało.

W 1990 r. kandydował na prezydenta: zapowiedział koniec grubej kreski i rozliczenie komunistów.

A potem zaczął popierać „lewą nogę" polskiej polityki (czyli SLD). W tej kampanii prezydenckiej odpowiadałem za propagandowe filmiki animowane, w których Wałęsa goni z siekierką czerwone pająki. Pierwsza seria poszła w telewizji i niezwykle spodobała się ludziom. Reżyserem był Paweł Pitera. Zrobiliśmy drugą serię, już lepszą artystycznie. Jakieś dwa tygodnie przed wyborami pokazaliśmy je Wałęsie w łódzkim SeMaForze. Spodziewaliśmy się zachwytów, a on był bardzo niezadowolony i powiedział, że to już nie pójdzie w TVP. Pomyślałem, że już przed wyborami zrezygnował z tego, co obiecywał, czyli już oszukiwał Polaków.

eprasa.pl 8eeaf69eb0



Gdy Antoni Macierewicz opublikował listę agentów SB, Lech Wałęsa w charakterystyczny sobie sposób przyznał, że był agentem: „Coś tam podpisałem", a potem wszystkiemu zaprzeczył i zaprzecza tak do tej pory.

Na tym przegrał i on, i Polska. Wielu ludzi – ja też – namawiało go, aby się przyznał. Naród by zrozumiał i wybaczył, a on zbudowałby obraz człowieka, który zbłądził, ale chce naprawić swój błąd. Idealny model przywódcy – jest taki jak wszyscy, tylko trochę lepszy. Poszedłby do spowiedzi – także tej społecznej – i mógłby dalej służyć narodowi. Niestety pod czyimś naciskiem wycofał swoje przyznanie. Fatalne skutki tej decyzji odczuwamy do dziś.

Potem było obalenie rządu Jana Olszewskiego i od tego momentu zaczął się w Polsce podział na dwa obozy.

Nie, ten podział zaczął się wraz z powołaniem rządu Mazowieckiego, do którego konstrukcji najbardziej przyczynili się bracia Kaczyńscy. Oczywiście spory były wcześniej w opozycji, w samym KOR i pomiędzy jego lewą częścią a KPN czy ROPCiO. To się przeniosło do Solidarności jako konflikt między radykałami, do których należałem, a doradcami Wałęsy. Potem pojawiły się również środowiska narodowe („prawdziwi Polacy"). To wszystko było widoczne na I Zjeździe Solidarności. Podziały na radykałów i gotowych do ugody z władzą trwały oczywiście także w podziemiu. W 1989 r. wybuchł już systemowy spór pomiędzy reformistyczną, magdalenkową „Gazetą Wyborczą" a radykalnym, przeciwnym grubej kresce Mazowieckiego „Tygodnikiem Solidarność", już pod redakcją Jarosława Kaczyńskiego. Z redakcji Tysola wyszła duża część kierownictwa Porozumienia Centrum i tam wykrystalizował się program ostrego odrzucenia postkomunizmu.

W dzisiejszej polskiej polityce mamy coraz ostrzejszy podział. Lech Wałęsa zawsze stoi po jednej stronie i stale podsyca ten podział. Z czego to wynika?

Na pewno z chęci zemsty za przypominanie przez dzisiejszą prawicę jego agenturalnej przeszłości, a także z oczekiwań zaplecza Wałęsy, jego doradców cywilnych i służbowych.

Niedawno prokuratura umorzyła postępowania w sprawie składania przez Lecha Wałęsę fałszywych zeznań w procesach lustracyjnych. Na podstawie zeznań świadków prokurator twierdzi, że Wałęsa był wtórnym analfabetą, więc nie mógł pisać raportów dla SB.

Dlatego opowiadam panu, jak było naprawdę.


Józef Orzeł

Ale za cenę ośmieszenia jego i nas wszystkich, związanych z Solidarnością?

Widziałem jego filmik, w którym żalił się na Mazurka i Stanowskiego, którzy z niego drwili, mówił, że urazili go w jego ludzkiej godności. A na końcu powiedział, że tak było, że nie umiał pisać (donosów). Dla sukcesu politycznego i innych korzyści ten facet zrobi wszystko.

Jednak chwytanie się takiego argumentu to poniżenie milionów ludzi, którzy szli za nim i za Solidarnością.

Tak, ale jego to nie obchodzi. 12 grudnia 1981 r., dzień przed stanem wojennym, Joanna i Andrzej Gwiazda, w czasie przerwy w Krajówce, opowiedzieli mi przy obiedzie, że Lech Wałęsa to agent SB. Mówił to również Krzysztof Wyszkowski. Najwięcej wie na ten temat Bogdan Borusewicz, ale on nic nie powie.

Jak potoczyłaby się historia Polski, gdyby na czele Solidarności stanął ktoś nieobciążony tym, co Wałęsa?

Jeszcze raz odniosę się do strajku generalnego w marcu 1981 r. Solidarność była wtedy silniejsza politycznie od PZPR. Gdyby strajk wybuchł, nie wiemy, jaki byłby finał: czy wcześniejsze zwycięstwo, czy totalna klęska – wcześniejszy stan wojenny ze wsparciem sowieckiej armii. Później również zdarzyło się kilka sytuacji, w których polskimi sprawami można było pokierować lepiej.

Jakie wnioski pan wyciągnął?

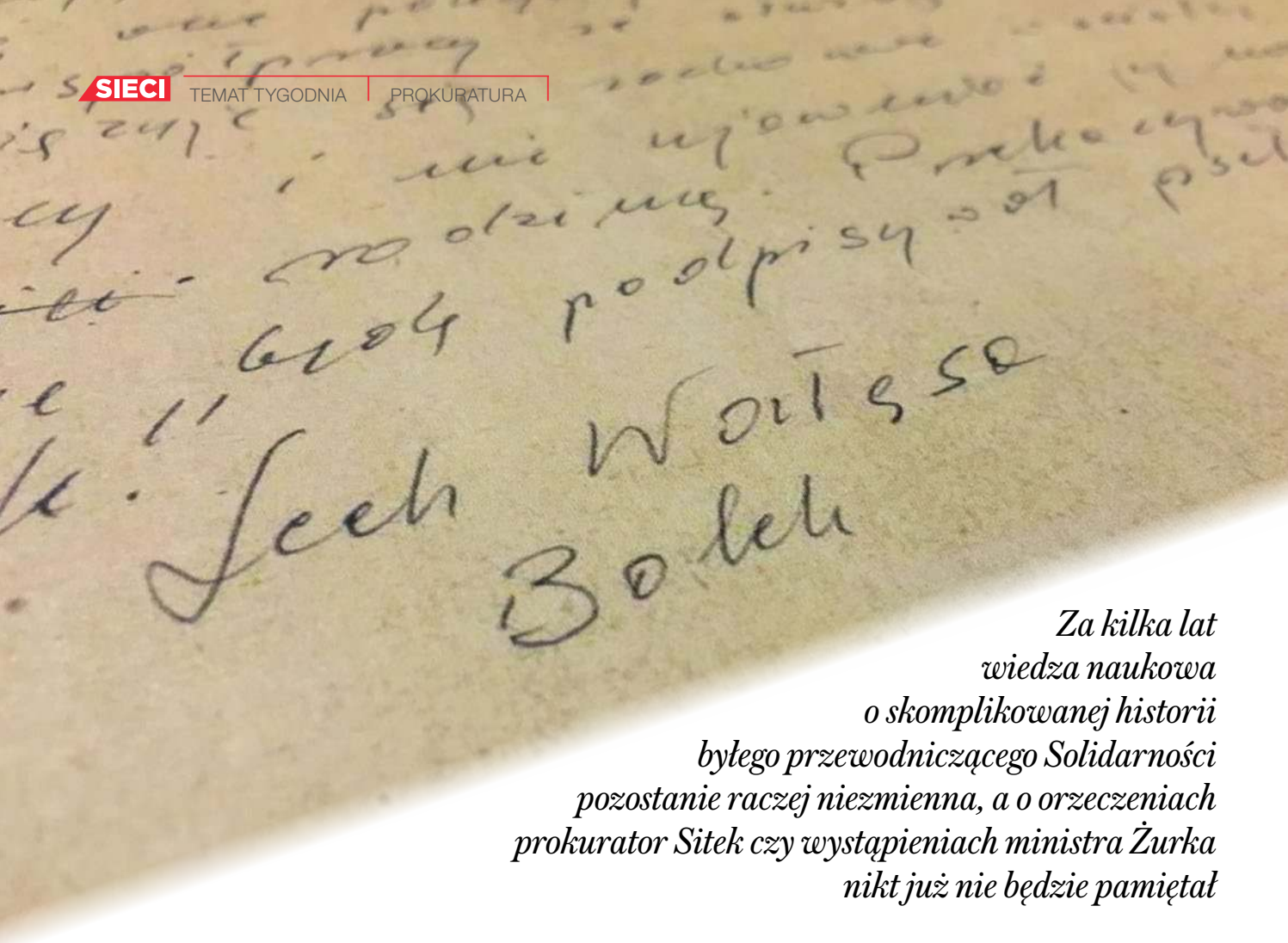
Byliśmy pełni dobrej woli jako społeczeństwo. Stąd przekonanie, że uda się porozumieć – jak to padło w Stoczni Gdańskiej – jak Polak z Polakiem. Jednak naprzeciwko mieliśmy Kiszczaka i jego ekipę, a oni potrafili nas rozegrać, choćby promując ludzi gotowych się nimi układać. Uważam, że od złego trzeba się trzymać z daleka, ale w polityce tak się nie da, dlatego szybko odszedłem z czynnej polityki (w 1993 r.).

Ostatecznie żyjemy w wolnym kraju i możemy wybierać władze.

Ciągle tak, ale skorzystamy z tego w pełni, gdy zaczniemy wybierać zgodnie z interesem swoim, Polaków i Polski. Wtedy będziemy w pełni suwerenni.

Fot. Andrzej Wiktor, M. Czutko

eprasa.pl 8eeaf69eb0



Za kilka lat wiedza naukowa o skomplikowanej historii byłego przewodniczącego Solidarności pozostanie raczej niezmienna, a o orzeczeniach prokurator Sitek czy wystąpieniach ministra Żurka nikt już nie będzie pamiętał

W obronie Lecha Wałęsy



PIOTR GONTARCZYK

W 2008 r. wspólnie ze Sławomirem Cenckiewiczem opublikowałem pod szyldem IPN pracę „SB a Lech Wałęsa", która, mimo braku wielu zniszczonych lub ukradzionych dokumentów, na gruncie naukowym jednoznacznie udowadniała, że bohater książki w latach 1970–1976 był tajnym współpracownikiem służb specjalnych o pseudonimie „Bolek". Informacja ta trafiała do kolejnych opracowań naukowych, słowników i encyklopedii.

AUTENTYCZNA TECZKA

Osiem lat później, w 2016 r., w domu gen. Czesława Kiszczaka odnaleziono ukradzioną przez byłego szefa MSW teczkę personalną i teczkę pracy „Bolka", nieznane wcześniej historykom. Przeanalizowałem te akta tak, jak mnie uczono: bez gniewu i uprzedzenia, sięgając wyłącznie do krytyki wewnętrznej i zewnętrznej cyfrowej kopii otrzymanych dokumentów. Po tej pierwszej uznałem, że ogromna liczba danych faktograficznych, topograficznych, dynamika sytuacji, treści rozmów (i wiele innych detali) wykluczają możliwość stworzenia takiej dokumentacji *post factum*, nawet rok, dwa lata później, a co dopiero w latach 80., gdyby ktoś wpadł na pomysł spreparowania dokumentacji mającej skompromitować znanego w Polsce i na świecie byłego przywódcę Solidarności. Również krytyka zewnętrzna teczek: układ dokumentów, ich wygląd, druki, parafy, pieczątki, kwestie kancelaryjne i inne, mimo (tylko pozornie) nieograniczonych możliwości SB w tym względzie, doprowadziła mnie do prostej konstatacji, że te materiały mogły zostać wytworzone tylko w pierwszej połowie lat 70.

Sprawa była oczywista: dokumenty są autentyczne, powstały w czasie rzeczywistym i odzwierciedlały działalność Lecha Wałęsy jako TW „Bolek". Esencję wniosków z tej analizy opublikowałem w tygodniku „Sieci" pod znamiennym

Fot. M.Czutko

eprasa.pl 8eeaf69eb0

tytułem „Historia nie do podrobienia" (nr 10 z 7 marca 2016 r.). Co ciekawe, nie byłem ani jedyny, ani nawet pierwszy. Dwa tygodnie wcześniej publicznie głos zabrał najznamienitszy w 2008 r. krytyk naszej książki, prof. Andrzej Friszke, który publicznie powiedział: „Nie mam wątpliwości, że to są autentyczne akta i że chodzi o Lecha Wałęsę" (25 lutego 2016 r.). Potem miałem zaszczyt odbyć chyba dwie publiczne debaty z profesorem, w których problemem nie było już to, czy Wałęsa był w latach 70. tajnym współpracownikiem SB, tylko to, co się tam w szczegółach wydarzyło, w jakich okolicznościach, jak to interpretować i opisywać.

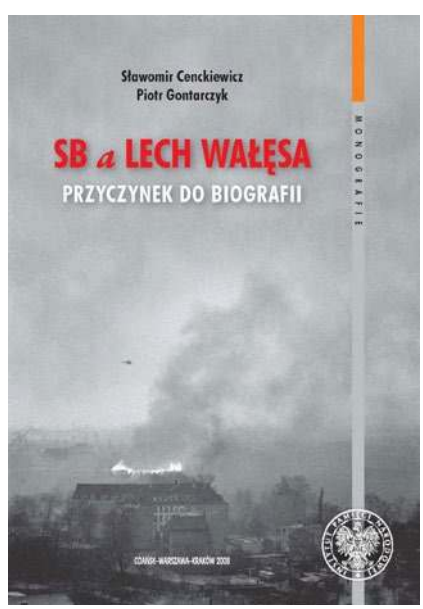
Ostatnim gwoździem do trumny z licznymi, wzajemnie wykluczającymi się fałszywymi opowieściami Wałęsy na temat jego kontaktów z SB była ekspertyza grafologiczna akt „Bolka", odnalezionych u Kiszczaka, dokonana przez renomowany Instytut Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Jana Sehna w Krakowie. Potwierdziła ona, że są tam dokumenty sporządzone i podpisane przez Lecha Wałęsę. Ponieważ wspomniany wcześniej zeznał jako zaprzysiężony świadek, że donosów nie sporządził i są one sfałszowane, naturalną konsekwencją ekspertyzy Instytutu Sehna było skierowanie do prokuratury wniosku o pociągnięcie Wałęsy do odpowiedzialności za składanie fałszywych zeznań. Ale potem, w 2023 r., były wybory i władze w Polsce przejęli ludzie, którzy doskonale wiedzą, jaka jest prawda w sprawie „Bolka", lecz publicznie gardłują „w obronie Wałęsy", wcześniej angażując nawet wobec autorów książki „SB a Lech Wałęsa" prokuraturę i służby specjalne.

Znając już kilkudziesięcioletnią historię kłamstw i matactw w tej sprawie, nie miałem wątpliwości, że ta ekipa sprawnie „ukręci łeb" również śledztwu w sprawie fałszywych zeznań Wałęsy. Czekałem więc na oficjalne umorzenie tej sprawy, ale nie przypuszczałem, że będzie to takie widowisko.

KURIOZALNE UMORZENIE

Ten dokument, opisany w „Rzeczpospolitej" jako dzieło „prok. Sitek", głosi mniej więcej, że kłamstwa Wałęsy w śledztwie są jakoś zrozumiałe i uzasadnione, bo gdyby powiedział prawdę, przegrałby liczne procesy cywilne, które wytaczał ludziom głośno mówiącym o jego współpracy z SB, a także mógłby ponieść konsekwencje karne za składanie fałszywych zeznań. Dokument pióra „prok. Sitek" *de facto* zignorował ustalenia historyków w tej sprawie i zakwestionował wiarygodność ekspertyzy Instytutu Jana Sehna z Krakowa. „Prok. Sitek" zakończyła sprawę ogólnym wnioskiem, że teczki „Bolka" zostały zapewne spreparowane. Na szczegółowe omawianie innych pospolitych bredni zawartych w tym dokumencie po prostu szkoda farby drukarskiej i papieru.

Jednocześnie *opus magnum* pani Sitek wprawiło w zachwyt Prokuratora Generalnego Waldemara Żurka: „Przez lata upolityczniony aparat państwa ścigał legendę Solidarności, celowo ignorując fakty i elementarną logikę. Zignorowano bezsporny fakt historyczny – SB masowo fałszowała dokumenty i podpisy Wałęsy w latach 80., by zdyskredytować go przed Komitetem Noblowskim. […] Prawda wygrała z próbą pisania historii na nowo". Wystarczy zajrzeć do książki „SB a Lech Wałęsa", by stwierdzić, że pan Żurek wie o „faktach" w sprawie Wałęsy i logice tyle co o położeniu stolicy Stanów Zjednoczonych i – jak można sądzić po tych przykładach – każdym innym nieco wymagającym temacie. Już wcześniej byli podobni „obrońcy dobrego imienia



Wałęsy", były podobne prokuratorskie umorzenia, choćby to w sprawie dokumentów „Bolka", „zniknięty" przez ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsę w latach 90. (to dzieło tej samej Prokuratury Okręgowej w Warszawie). Był nawet wyrok sądowy stwierdzający, że Lech Wałęsa nigdy nie był agentem SB. Wszystkie te świstki papieru warte są tyle co najnowsze uzasadnienie umorzenia śledztwa w sprawie zeznań Wałęsy i zeszłoroczny śnieg. Za kilka lat wiedza naukowa o skomplikowanej historii byłego przewodniczącego Solidarności pozostanie raczej niezmienna, a o orzeczeniach prokurator Sitek czy wystąpieniach ministra Żurka nikt już nie będzie pamiętał.

Ale jedno w tej sprawie martwi i niepokoi. Otóż uzasadnienie umorzenia śledztwa w sprawie fałszywych zeznań Lecha Wałęsy oznajmia, że nie mógł on sporządzić donosów w latach 70., bo był wtedy wtórnym analfabetą. Żal było patrzeć na skutek: ten biedny, starszy już człowiek został zmuszony do publicznego przytakiwania, że był elektrykiem, nie musiał pisać, więc pewnie rzeczywiście był półanalfabetą.

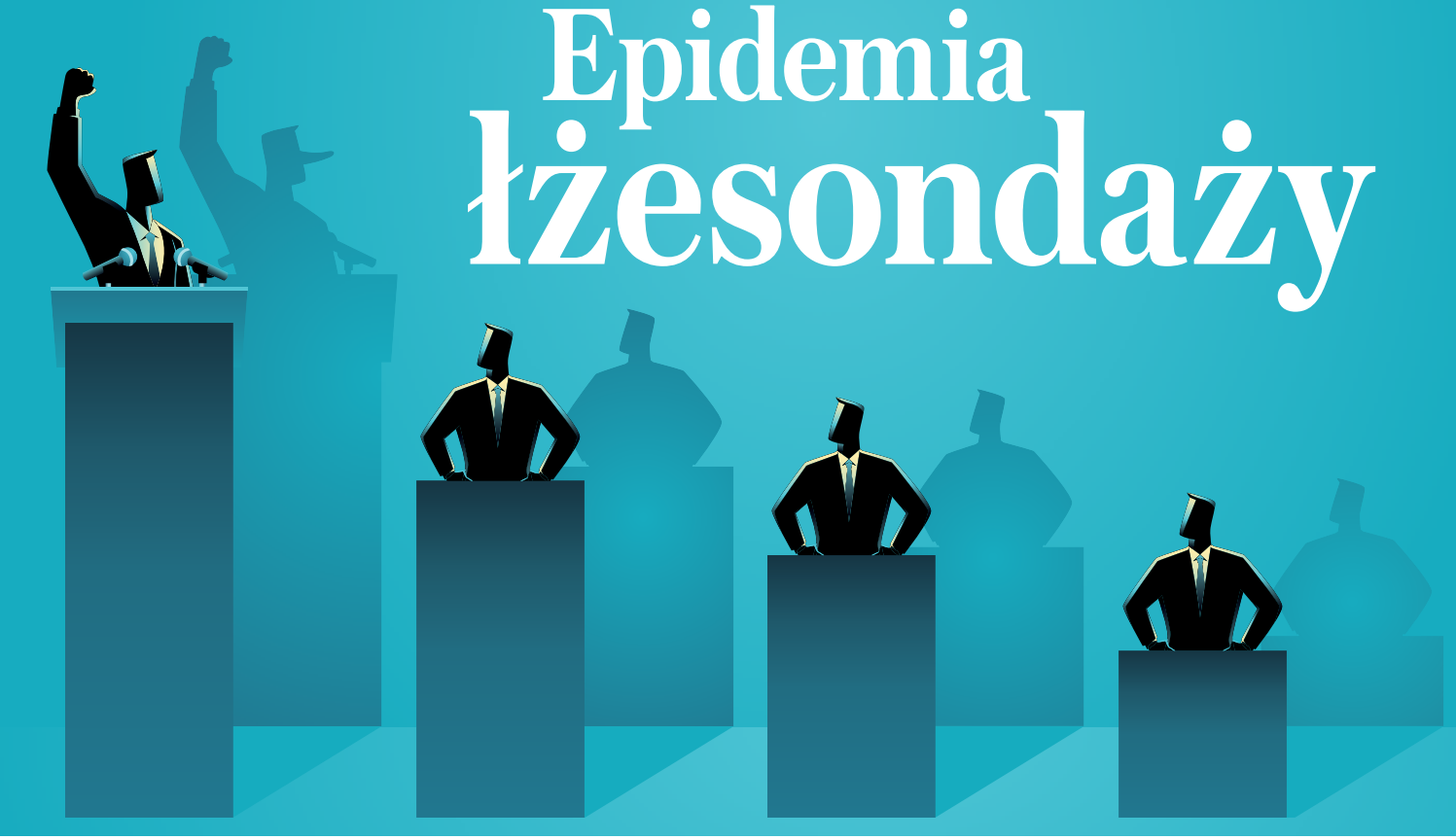
Lech Wałęsa nie jest moim ulubionym bohaterem. Bardziej niż epizod współpracy z SB i krzywdy wyrządzone donosami kolegom z pracy zniesmacza to, co robił w sprawie dokumentów „Bolka" jako prezydent III RP. No i te notoryczne kłamstwa, pozwy cywilne obliczone na finansowe zniszczenie Krzysztofa Wyszkowskiego, byłego kolegi z opozycji, te sprawy sądowe i chamskie wyzwiska wycelowane w Sławomira Cenckiewicza...

Ale jest druga strona tego medalu. To przecież były prezydent Rzeczypospolitej i przede wszystkim (przy jego licznych błędach i wadach) jeden z najważniejszych ludzi na polskiej drodze do wolności. Czy teraz mamy bez sprzeciwu patrzeć na to, jak o tym człowieku pisze się obraźliwe brednie, że był kiedyś może przygłupem, a na pewno wtórnym analfabetą? Czy naprawdę istnieje publiczne przyzwolenie na to, by dziś byłego przewodniczącego Solidarności publicznie szargać, ośmieszać i upokarzać z tak mało wyszukanych pobudek?

Artykuł odzwierciedla wyłącznie poglądy autora

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Epidemia łżesondaży



Sondaże stały się najważniejszym narzędziem wyborczym używanym do manipulowania, okłamywania i straszenia Polaków



STANISŁAW JANECKI

W Polsce właściwie od zawsze były problemy z sondażami, a największe pojawiały się falami i pozostawały dziwnie skoordynowane z tym, czy i dla kogo formacje liberalno-lewicowe mają utrzymać bądź zdobyć władzę. W przekonaniu tych, którzy zawsze mają rację i wiedzą, kto powinien rządzić, a kto absolutnie nie. Wtedy sondaże często funkcjonują tak, jak gdyby stanowiły część marketingu tych ugrupowań. Jeśli są potrzebne konkretne wyniki, to zawsze znajdzie się sondażownia (często nawet kilka), która je dostarczy.

Bardzo wysoka fala, może nawet najwyższa z dotychczasowych, pojawiła się w związku z pierwszą turą wyborów na prezydenta Krakowa (27 września 2026 r.). I nie chodzi tylko o to, kto „powinien" zostać włodarzem królewskiego miasta, lecz także o to, kto może i powinien wygrać wybory parlamentarne jesienią 2027 r. Sondaże mogą być w tym skuteczniejsze niż „Gazeta Wyborcza" czy TVN, bowiem wielu Polaków wciąż uważa je za narzędzie badawcze, a nie polityczny i ideologiczny młotek. Jest ich coraz mniej, ale jednak są. Mniej dlatego, że wedle informacji samych ośrodków badawczych ogromnie wzrosła liczba osób odmawiających udziału w sondażach. W różnych ośrodkach na udział w badaniach godzi się zaledwie 1 na 20 zapraszanych osób (5 proc.), a za dobry wynik uważa się zgodę 10 proc., co jest kompromitujące. Jeszcze bardziej kompromitujące jest to, jak zastępuje się tych odmawiających, bo nie ma to nic wspólnego z losowością i reprezentatywnością. Najczęściej są to mieszkańcy wielkich miast o bardzo zdecydowanych preferencjach liberalno-lewicowych, które otwarcie demonstrują. W takich warunkach nie dziwi „rozjazd" sondaży z rzeczywistymi wynikami wyborów w Krakowie.

Mało tego, gdyby krakowskie rezultaty ekstrapolować na całą Polskę, przyłożyć do nich partyjne szyldy i uwzględnić sondaż Ogólnopolskiej Grupy Badawczej – jak to zrobił Arkadiusz Bogucki, użytkownik platformy X – okazałoby się, że Prawo i Sprawiedliwość mogłoby liczyć na 31,8 proc. poparcia,

eprasa.pl 8eeaf69eb0

czyli zaledwie 1,9 pp. mniej niż Koalicja Obywatelska (33,7 proc.). Konfederacja miałaby poparcie 12,2 proc., a Konfederacja Korony Polskiej – 9,3 proc. Żadne inne ugrupowanie nie przekroczyłoby progu wyborczego. W rutynowym badaniu IBRIS dla „Rzeczpospolitej" (18–19 września 2026 r.) KO przypisano poparcie 30,9 proc., a PiS – zaledwie 17,3 proc. Za nimi znalazły się Konfederacja – 15,3 proc., Konfederacja Korony Polskiej – 10 proc., Lewica – 7,7 proc. i Rozwój Plus – 6,6 proc. (reszta pod progiem).

Tym, co nowe w sondażach z września 2026 r., jest wyjątkowe mijanie się ośrodków badawczych z rzeczywistością. Tak duże, że nie można tego uznać za przypadek. Ale w ten sposób sondażownie stają się elementem gry politycznej, swego rodzaju „nadpartiami", co sprawia, że nie przedstawiają obrazu rzeczywistości, lecz go kreują, a właściwie deformują. A nawet stają się ważniejsze w kreowaniu polityki niż partie.

KRAKOWSKIE NIESPODZIANKI

Ipsos, który zrealizował badanie exit poll dla TVP, TVN i Polsatu, podał, że pierwszą turę wyborów na prezydenta Krakowa wygrał niezależny kandydat Łukasz Gibała (36,6 proc. głosów), druga była wspierana przez KO i PSL senator Monika Piątkowska (24,4 proc.), trzeci – kandydat PiS Michał Drewnicki (19,6 proc.), następnie Aleksandra Owca z Partii Razem (8,7 proc.) i Daria Gosek-Popiołek z Lewicy (6,1 proc.). Gdy Państwowa Komisja Wyborcza podała oficjalne wyniki, Łukasz Gibała otrzymał 36,38 proc. głosów, Monika Piątkowska – 29,91 proc. (o ponad 5,5 p. więcej, niż wynikało z exit poll), Michał Drewnicki – 17,5 proc. (o ponad 2 pp. mniej, niż podawał Ipsos), Aleksandra Owca – 6,91 proc., zaś Daria Gosek-Popiołek – 4,81 proc. Błąd pomiaru w exit poll, czyli na podstawie wypowiedzi osób wychodzących z lokali wyborczych, z reguły szacuje się na 2 pp. Błąd Ipsos był znacznie większy.

„Kiedyś policzyliśmy, że IBRiS średnio zawyża Lewicę o 30 proc. w swoich sondażach. Najwyraźniej doszli do wniosku, że to jednak za mało i w swoim ostatnim badaniu zawyżyli kandydatkę Lewicy w Krakowie o 222 proc. Prawdziwi stachanowcy!" – napisał na platformie X Łukasz Pawłowski, prezes Ogólnopolskiej Grupy Badawczej.

Skąd się wziął ten „rozjazd" między exit poll a rzeczywistymi wynikami? Przede wszystkim z faktu, że wyborcy

O tym, jak sondażami wpływa się na bieżącą politykę, najlepiej świadczą badania przed wyborami prezydenckimi w 2015 r., bo w tym przypadku „ustawki" były wyjątkowo drastyczne i bezczelne. Żaden sondaż przeprowadzony od początku 2015 r. nie dawał zwycięstwa Andrzejowi Dudzie

Koalicji Obywatelskiej (w przypadku Moniki Piątkowskiej także Polskiego Stronnictwa Ludowego) coraz częściej odmawiają uczestnictwa w badaniu, a jeśli już się godzą, to nie mówią prawdy, wychodząc z lokali wyborczych. Wtedy wyniki są „doważane" i tu wychodzą wszystkie uwikłania ośrodków badawczych oraz ich polityczne i ideologiczne sympatie. A błąd w „doważaniu" nie stanowi tak wielkiej ujmy jak skręcenie samego badania, choć jest równie ważny.

W roli krytyka krakowskiego badania exit poll w pierwszym szeregu pojawił się mec. Roman Giertych, wiceszef klubu KO, bo jego kandydatka – Monika Piątkowska – została mocno niedoszacowana. Uniósł się więc: „Po co jeszcze ktoś płaci za sondaże tej firmy [Ipsos]?". Oczywiście Ipsos byłby świetny, gdyby niedoszacował głosów oddanych na Łukasza Gibałę czy Michała Drewnickiego.

KOMOROWSKI KONTRA DUDA

O tym, jak sondażami wpływa się na bieżącą politykę, najlepiej świadczą badania przed wyborami prezydenckimi w 2015 r., bo w tym przypadku „ustawki" były wyjątkowo drastyczne i bezczelne. Żaden sondaż przeprowadzony od początku 2015 r. nie dawał zwycięstwa Andrzejowi Dudzie. W badaniu dla „Faktów" TVN (Millward Brown) ze stycznia 2015 r. poparcie dla Bronisława Komorowskiego wyniosło 65 proc., dla Andrzeja Dudy zostało zaś oszacowane na 21 proc. W sondażu dla „Wiadomości" TVP ze stycznia 2015 r. (TNS Polska) Bronisław Komorowski miał poparcie 56 proc., Andrzej Duda – 19 proc. W sondażu Millward Brown (ze stycznia 2015 r.) Komorowski miał 62 proc. poparcia, Andrzej Duda – 18 proc. W sondażu dla Newsweek.pl (Estymator) z lutego 2015 r. chęć głosowania na Bronisława Komorowskiego wyraziło podobno 51 proc. ankietowanych, a na Andrzeja Dudę – 25 proc. W sondażu CBOS z lutego 2015 r. poparcie dla Komorowskiego miało wynosić 63 proc., dla Dudy – 15 proc.

Wiosną 2015 r. poparcie dla Andrzeja Dudy zaczęło rosnąć, choć żaden sondaż nigdy nie wskazywał na jego zwycięstwo nad Bronisławem Komorowskim. W sondażu dla „Faktów" TVN z połowy marca 2015 r. (Millward Brown) Andrzej Duda mógł liczyć już na 31 proc. głosów, ale Bronisław Komorowski – na 46 proc. W sondażu IBRiS dla „Super Expressu" z kwietnia 2015 r. Bronisław Komorowski mógł liczyć na 40,4 proc. głosów, Andrzej Duda zaś na 30,6 proc. W ostatnich dwóch tygodniach przed wyborami tylko jedno badanie (Polska Press Grupa i Regionalny Ośrodek Badania Opinii Publicznej „Dobra Opinia") dawało Andrzejowi Dudzie wynik powyżej 30 proc. (31,3 proc.), ale poparcie dla Bronisława Komorowskiego miało wynieść 39,3 proc. Ostatni oficjalny sondaż

eprasa.pl 8eeaf69eb0

(IBRiS dla Radia ZET) z 8 maja 2015 r. dawał Andrzejowi Dudzie 28,3 proc., Bronisławowi Komorowskiemu zaś – 36,3 proc. Wybory wygrał Andrzej Duda.

NADMUCHIWANIE BADAŃ

Przez lata stworzono wiele narzędzi, dzięki którym sondaże otwarcie kłamią, manipulują bądź popychają wyborców do konkretnych zachowań. Jedną z form manipulacji jest tzw. spirala milczenia, czyli takie działanie sondażowni, aby badani byli skłonni do ukrywania rzeczywistych poglądów. Taki efekt osiąga się, wdrukowując badanemu przeświadczenie o niezgodności jego poglądów z opinią ogółu społeczeństwa. A to wywołuje u tych osób poczucie niedopasowania. Dlatego w sondażach nie mówią prawdy.

W publicznym obiegu częściej mamy opieranie się na komentarzach i interpretacjach sondaży niż na wynikach, co sprawia, że pochodząca z nich informacja staje się przedmiotem manipulacji i gry między różnymi grupami interesów. Gdy w mediach zaczyna dominować poparcie dla jakiejś partii, część badanych ukrywa swoje poglądy w obawie przed krytyką lub jakąś „karą". W efekcie część tych osób – wbrew własnym przekonaniom – deklaruje w sondażach poparcie dla partii, której notowania rosną. A rosną, bo ten wzrost jest kreowany. I w ogromnej większości dotyczy formacji liberalno-lewicowych. Bywało, że sondaże „nadmuchiwały" Konfederację i Sławomira Mentzena, ale tylko dlatego, żeby „udowodnić" spadek poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości.

Często sondaż ma z góry wprowadzać w błąd. Pyta się np. nie osoby zdecydowane, lecz wszystkich respondentów, a ci zwykle wskazują jakiekolwiek nazwisko z sugerowanych. To znacząco fałszuje wyniki. Manipuluje się datą realizacji badania, żeby ważne nagłe wydarzenia wpływały na opinie badanych. Dlatego częste jest podpinanie badań pod ważne bieżące wydarzenia.

Wśród istotnych czynników wpływających na wyniki sondaży znajduje się też efekt ankieterski, czyli to, jak na odpowiedzi badanych wpływa rozmowa z ankieterem – osobą o określonych poglądach, wyglądzie, wieku, płci czy statusie ekonomicznym. Respondenci mają tendencję do dopasowywania odpowiedzi do wyobrażonych oczekiwań ankietera.

Od jakiegoś czasu coraz częstsze są sondaże internetowe, w których rzadko biorą udział osoby starsze, mieszkające na wsi, o dochodach znacznie niższych niż przeciętne. Takie sondaże pozostają nic niewarte, ale są pompowane.

Na podstawie sondaży nie sposób stwierdzić, jakie jest zdanie „opinii publicznej", co faktycznie myślą obywatele i jak popularne są poszczególne poglądy. Jeśli wyborcy traktują sondaże poważnie, to dlatego, że ulegają przeświadczeniu, iż media, naukowcy, politycy i partie traktują je poważnie. Jak zauważyła badająca te kwestie Ewelina Tyszka z Wyższej Szkoły Informatyki i Ekonomii TWP w Olsztynie, im większa jest obecność wyników sondażowych w mediach, tym bardziej rośnie grono osób, które twierdzą, że sondaż już dawno stracił swoją funkcję badawczą i przestał być realnym przedstawieniem poglądów oraz preferencji społecznych. Nie jest już tylko informacją dla władzy, czego chcą obywatele, by mogła lepiej rządzić, a stał się narzędziem kreowania rzeczywistości politycznej. Dochodzi nawet do gry sondażowej, gdzie na badanie zamówiony przez partię X odpowiada kolejny sondaż, zamówiony przez partię Y, tym razem na jej korzyść.

> Ośrodki badawcze, nawet te prywatne, są traktowane przez dużą część społeczeństwa jako narzędzie opresji i kontroli państwa. Sondaże są wtedy odbierane jak rozgrywka władzy, dlatego za bezpieczniejsze uważa się nieujawnianie ankieterom swoich prawdziwych poglądów i preferencji

POPYT NA KŁAMSTWO

Sondaże stały się jednym z najbardziej efektywnych narzędzi marketingowych, które generują historie będące pożywką dla mediów. Dziś politycy czy stacje telewizyjne, zamiast wydawać duże kwoty na kolejne reklamy i billboardy, wolą za względnie nieduże pieniądze zlecić badanie sondażowe. „Kosmiczny" wynik sondażu zapewnia rozgłos medialny przynajmniej na kilka dni i staje się przyczynkiem do snucia opowieści oraz budowania przekonań o klęsce jednych lub zwycięstwie drugich.

Szczególne znaczenie ma wdrukowywanie Polakom, że zdecydowanie wygrywa Koalicja Obywatelska, a coraz gorsze są notowania Prawa i Sprawiedliwości. Tak złe, że ta partia właściwie już się nie liczy. Wielka fala sondaży mających to potwierdzić ruszyła po wyjściu z PiS grupy Mateusza Morawieckiego (Rozwój Plus). Sondaże potrafią wykreować liderów, a także największych przegranych, i to na długo przed wyborami.

Przykładem świadomej manipulacji może być forma pozorowanych badań sondażowych, będąca wytworem ostatnich coraz brutalniejszych kampanii wyborczych, zwana „sondażowym przepychaniem" (push poll). Polega ona na pozyskiwaniu poparcia wyborców poprzez dostarczanie im nieprawdziwych informacji o innym kandydacie lub szkalowanie go pod pretekstem badań preferencji wyborczych. Tak było przez wiele miesięcy kampanii prezydenckiej w 2025 r. w przypadku Karola Nawrockiego.

Socjologowie zwracają uwagę, że ludzi z reguły cechuje wrodzony konformizm, nie lubią się różnić, być narażeni na śmieszność ze względu

eprasa.pl 8eeaf69eb0

na odbiegające od oczekiwań innych zachowanie czy poglądy. Tym mocniej uzależniają swoje decyzje od środowiska zewnętrznego, im bardziej słabnie poczucie ich własnej wartości. W efekcie ktoś pozbawiony wewnętrznej autonomii będzie odpowiadał na pytania ankietera zgodnie z jego oczekiwaniem i oczekiwaniem ogólnej tendencji sondażowej.

Ewelina Tyszka zwraca uwagę, że sondaże pokazują (kreują?) również obraz sporej części polskiego społeczeństwa jako owładniętej kompleksami i z bardzo niską samooceną. Niepewni siebie wyborcy szukają dowodów uznania na zewnątrz. W konsekwencji po 1989 r. można było zaobserwować, że sondaże przedwyborcze zawyżają poparcie dla polityków oraz partii postrzeganych jako inteligenckie, nowoczesne i europejskie. Jeżeli rok przed wyborami w 2027 r. główne media wdrukowują, że Prawo i Sprawiedliwość nie ma szans, by wygrać, to część elektoratu nie postawi na tak „upupioną" partię, a także nie będzie ujawniać poglądów, które – w ich mniemaniu, nabytym pod wpływem mediów – nie są popularne. Pojawia się wtedy lęk przed izolacją, a ten prowadzi do konformizmu. W badaniach exit poll wyborcy nie przyznają się ankieterom do popierania partii oczernianych i oskarżanych o wszelkie zło, obawiając się odrzucenia, ale kiedy stają przed urną, głosują jednak na te partie, z których poglądami po cichu się utożsamiają, czyli prawicowe. Dlatego wyniki wyborcze tych formacji nie odzwierciedlają wcześniejszych sondaży.

Jedną z przyczyn tego, że wyborcy w Polsce kłamią w sprawie swoich decyzji wyborczych, jest również niechęć do „kontroli" społeczeństwa, a tak jest traktowane właściwie każde badanie. Ośrodki badawcze – nawet te prywatne – są uważane przez dużą część społeczeństwa za narzędzie opresji i kontroli państwa. Sondaże są wtedy odbierane jak rozgrywka władzy, dlatego za bezpieczniejsze uważa się nieujawnianie ankieterom swoich prawdziwych poglądów i preferencji. Na to wszystko nakłada się zwyczajne oszustwo, czyli „ustawianie" wyników sondaży. I tak się dziwnie składa, że to „ustawianie" jest korzystne dla takich partii jak Koalicja Obywatelska, a niekorzystne dla takich jak Prawo i Sprawiedliwość. To kłamstwo sondażowe jest szczególnie widoczne wtedy, gdy największe grupy interesów (sondażownie bywają ich elementami) potrzebują (i robią wszystko, by tak się stało), żeby władzę sprawowała konkretna opcja, w polskich warunkach kolejno Unia Demokratyczna, Kongres Liberalno-Demokratyczny, Unia Wolności, Sojusz Lewicy Demokratycznej, Platforma Obywatelska i Koalicja Obywatelska. W 2026 r., a na pewno w 2027 r., „przymus" wygrania wyborów przez KO jest i będzie ogromny, dlatego kłamstwo sondażowe osiąga szczyty. Również bezczelności i bezwstydu.

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ



WPŁATY NA KONTO:
FUNDACJA INSTYTUT MEDIÓW
03 1140 2004 0000 3002 7860 6231

TYTUŁ PRZELEWU:
POMOC DLA CHRZEŚCIJAN
W ZIEMI ŚWIĘTEJ

+PRO+TERRA+SANCTA+
WSPARCIE DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce
Zakonu Rycerskiego
Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja
Instytut Mediów

WIĘCEJ
O AKCJI
POMOCY:

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Przedterminowe wybory w Krakowie to obecnie najbardziej wiarygodne laboratorium polityczne. Patrząc na wyniki głosowania na prezydenta tego miasta, partie i ich liderzy mają o czym myśleć przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi. Wiedzą, czym się martwić i z czego się cieszyć. Wnioski nie są jednoznaczne, ale widać, komu będzie łatwiej, a komu trudniej





PIOTR GURSZTYN

Krakows

Od razu można zdradzić: największy ból głowy ma Donald Tusk. Chyba że jego protegowana, senator Monika Piątkowska, wygra, pokonując w drugiej turze obecnego faworyta, czyli startującego z własnego komitetu Łukasza Gibałę. Wtedy nastąpi przełom, wydaje się to jednak mało prawdopodobne. Na Gibałę zagłosują wszyscy, którzy są przeciwni obecnej władzy, zwłaszcza wyborcy PiS. Piątkowska nie ma takich rezerw.

Wybory w Krakowie są pilnie obserwowane w kontekście polityki ogólnokrajowej. Tu trzeba zacząć od ważnego zastrzeżenia: wybory uzupełniające w jednym mieście mają swoją specyfikę. Nie da przenieść się wszystkiego jeden do jednego na przyszłoroczne wybory parlamentarne. Ta oczywista specyfika wynika z udziału w wyborach Łukasza Gibały, którego ambicją jest, by zostać prezydentem swojego miasta, a nie wpływać na politykę ogólnokrajową (na razie nie ma żadnego takiego znaku).

Gibała, który zajął pierwsze miejsce, zdobywając 36,38 proc. głosów, jest kandydatem nietypowym. Z jednej strony to człowiek o korzeniach liberalnych – był w PO i Ruchu Palikota. Ale od dłuższego czasu działa w kontrze wobec liberalnego establishmentu, jest więc kandydatem popieranym również przez wyborców prawicowych. Jest do zaakceptowania również przez tych lewicowców, którzy popierają partię Razem. Zwycięzca pierwszej tury pozostaje bardzo wstrzemięźliwy w eksponowaniu swojego światopoglądu, co także sprawia, że chcą go poprzeć wszyscy mający dosyć Koalicji Obywatelskiej, Donalda Tuska i jego nominatki. Na zasadzie znanej z wyborów prezydenckich 2025 r., gdy wygrało hasło: „Każdy, byle nie Trzaskowski". Teraz więc będzie: „Każdy, byle nie Piątkowska".

AROGANCKIE UCIELEŚNIENIE KO

Mieszkańcy Krakowa mają własne motywacje wyborcze. Reszta Polski, patrząc na Monikę Piątkowską, obserwuje, w jakiej kondycji jest obóz władzy. Piątkowska zdobyła 29,91 proc. głosów, co politycy KO uznali za sukces. To jednak myślenie życzeniowe, na co zwrócił uwagę prof. Antoni Dudek, politolog raczej życzliwy KO i dobrze znający Kraków, bo pochodzący stamtąd. W rozmowie z jedną z gazet stwierdził: „Od dawna w dużych miastach Koalicja Obywatelska ma ponadprzeciętne poparcie. I teraz, gdy zestawimy wynik pani Piątkowskiej z tym, które wychodzą w sondażach, to raczej ona wcale żadnego sukcesu nie odniosła, bo w Krakowie powinna mieć grubo powyżej 30 proc., skoro w skali całej Polski KO oscyluje wokół 30".

Kampania Piątkowskiej była prowadzona z zauważalnym finansowym rozmachem. KO rządzi, więc ją na to stać. Ale

Fot. Jan Graczyński/East News

eprasa.pl 8eeaf69eb0



Fot. Artur Barbarowski/East News

ka lekcja

jednocześnie widać było cechy typowe dla polityków tej partii: „Pogarda i arogancja Moniki Piątkowskiej nie biorą się znikąd. To ucieleśnienie KO" – zauważył Roch Zygmunt, publicysta Klubu Jagiellońskiego, co uznał za główny rys jej kampanii. „Do tego lekko ironiczny, pełen pogardy uśmiech i nieznośnie mentorski ton z gatunku: już tłumaczę, jak jest naprawdę, bo przecież ja się znam, a ty nie. Przy rozdętym ego kandydatki KO nawet Łukasz Gibała wyglądał na skromnego miejskiego aktywistę".

Przecież to kropka w kropkę maniery Trzaskowskiego. Czy jego sromotna przegrana nie nauczyła niczego KO? Biorąc pod uwagę styl wypowiedzi Tuska i jego najważniejszych współpracowników, można stwierdzić, że Piątkowska mieści się w tej samej aroganckiej normie. Tak może zatem wyglądać przyszłoroczna kampania wyborcza Koalicji Obywatelskiej, zwłaszcza gdy ton będą nadawać takie postaci jak Roman Giertych czy środowiska typu Silnych Razem. A nie ma znaków, aby Tusk chciał prowadzić inną politykę. Nie chce i chyba już nie potrafi.

Skądinąd te cechy KO widać nawet na najniższych poziomach polityki. W tę samą niedzielę, co pierwsza tura w Krakowie, odbyły się wybory uzupełniające na wójta gminy Rokietnica. To przedmieścia Poznania, matecznik KO, coś w rodzaju Jagodna. Kandydatkę Koalicji Obywatelskiej wspierały regionalne gwiazdy swojej partii. Była tak samo arogancka jak Piątkowska. Przegrała w pierwszej turze.

W Krakowie zaangażował się sam premier, a także wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, pochodzący zresztą z Krakowa. Czy wsparcie Tuska pomogło Piątkowskiej? Przeważają komentarze, że nie, gdyż nie było czegoś, co można nazwać efektem Tuska. Ale czy na pewno? Bo słychać też inne głosy: o tym, że Piątkowska była tak beznadziejnie słaba, że Tusk musiał przyjechać i wyciągać ją za uszy. Bez jego wsparcia miało być jeszcze gorzej. Tak czy owak, jeśli chodzi o jakość kandydatki, to Tusk wskazał na Piątkowską. A były pomysły, aby kandydatem KO został ktoś mniej partyjny, np. biznesmen i były rajdowiec Rafał Sonik.

Tusk chyba popełnił również błąd, rozwiązując krakowskie struktury Koalicji Obywatelskiej. Zastosował odpowiedzialność zbiorową za przegrane referendum w sprawie odwołania Aleksandra Miszalskiego, który przecież także był jego faworytem. Efektem okazało się to, że działacze KO nie chcieli pracować w kampanii Piątkowskiej. Obiecywali wsparcie, a potem znikali. Miarą wszystkiego było to, że w milionowym Krakowie zabrakło chętnych do uczestnictwa w wiecu z udziałem Tuska i jego kandydatki – donosi o tym nawet „Gazeta Wyborcza". Ludzie Piątkowskiej dzwonili do działaczy i błagali ich o obecność. W desperacji ściągano chętnych z innych miast województwa małopolskiego, a sala i tak była pusta. Organizatorzy spotkania zabierali nadmiar krzeseł, aby nikt nie zauważył słabej frekwencji. Trudno uznać to za dobry prognostyk na zbliżające się wybory parlamentarne.

Nic dziwnego, że w poniedziałek po pierwszej turze niezadowolony Tusk próbował odwracać uwagę swojego elektoratu od przykrych doniesień z Krakowa groteskowymi pogróżkami pod adresem prawicy. Opublikował filmik o rozliczeniach – rzekomo rozkręcających się – w którym przypominał swoją wcześniejszą infantylną wypowiedź, że będzie nie tylko żurek, lecz także deser.

PRAWICA TRZECIEGO WYBORU

Oczy są też zwrócone na kandydata Prawa i Sprawiedliwości. Michał Drewnicki zdobył 17,5 proc. głosów. To trzecie miejsce, czyli nie wszedł do drugiej tury. Pod względem prestiżowym nie wygląda to dobrze, więc od razu rozległy się drwiny, że uzyskał mniej, niż zdobywali kandydaci PiS w poprzednich wyborach w Krakowie. Przywoływane są porównania z wynikiem Małgorzaty Wasserman z 2018 r., gdy zdobyła 32 proc. głosów i weszła do drugiej tury. Ale PiS miało wtedy 43 proc. poparcia w skali kraju.

I to jest ta druga strona mieszanych uczuć, które może mieć kierownictwo PiS.

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Bo wiadomo, że Kraków to wielkie miasto, w którym prawica zawsze miała pod górkę. Drewnicki osiągnął lepszy wynik, niż dawały mu sondaże. W ostatnim przed głosowaniem zebrał 16,11 proc. (OGB). Wcześniej jednak zdarzały się takie, gdzie było 13,2 (IBRIS), a nawet tylko 9,3 proc. (Opinia24).

Czy finalny wynik Drewnickiego mógł być lepszy? PiS wystawiło dobrego i pracowitego kandydata. Jego kampania została oceniona przez komentatorów jako solidna, prowadzona intensywnie i spójna pod względem komunikacyjnym. Teren dla niego niełatwy, ale dostał również kilka bonusów. W kompromitujących okolicznościach odpadł kandydat Konfederacji. Nie było też konkurenta ze strony Rozwoju Plus, a zdarzały się werbalne wyrazy wsparcia ze strony tego ugrupowania. Wiadomo, że jakaś część wyborców PiS od razu oddała głos na Gibałę, bo priorytetem dla nich było wyrzucenie KO z krakowskiego ratusza. Świadczy o tym exit poll OGB, gdzie 22,5 proc. badanych oświadczyło, że popiera PiS. To znaczy, że średnia krajowa dla tej partii jest znacznie wyższa.

Złą wiadomością dla PiS jest to, że Drewnicki był dla wyborców Konfederacji kandydatem trzeciego wyboru. 61,9 proc. wyborców tej partii oddało głos na Gibałę, 19 proc. na Michała Klimka z Konfederacji Korony Polskiej i dopiero 14,8 na Drewnickiego (exit poll OGB). Widać tu, że oba nurty prawicy odchodzą od siebie daleko. Jest pytanie, czy są możliwe jakiekolwiek przepływy wyborców między nimi.

Ale również ważny znak dla Sławomira Mentzena. Tylko 2,1 proc. konfederatów oddało głos na Piątkowską, czyli tyle samo, co na Aleksandrę Owcę z Razem. Z tego wniosek, że jakiekolwiek rozważania o tym, że Mentzen i jego Nowa Nadzieja mogą być języczkiem u wagi – w takim samym dystansie – między KO a PiS, są pozbawione sensu. Okazało się, że wyborcy KO nie wierzą do końca w hasło „PiS-PO – jedno zło".

Wpływ na politykę krajową i pozycję Mentzena będzie miało również wcześniejsze wydarzenie, czyli klapa zbierania podpisów pod kandydaturą Bartosza Bocheńczaka, bardzo bliskiego współpracownika lidera Nowej Nadziei. To zostanie na dłużej i będzie wyciągane Mentzenowi za każdym razem, gdy znów z wyższością będzie pouczał innych, jak prowadzić skuteczną politykę.

Sygnałem ostrzegawczym dla PiS może być również wynik kandydata Konfederacji Korony Polskiej. Michał Klimek zdobył 4,1 proc. głosów. Tylko tyle czy aż tyle? Chyba jednak „aż". Kandydat partii Grzegorza Brauna to postać anonimowa, nikomu wcześniej nieznany kwiaciarz. Jego kampania była słaba, a on sam opowiadał w mediach niezbyt rozsądne rzeczy.

NA LEWICY GÓRĄ RAZEM

I teraz najważniejsza rzecz – wynik Aleksandry Owcy z partii Razem. Zdobyła 6,91 proc. głosów. Wprawdzie mniej, niż miał w Krakowie Adrian Zandberg w wyborach prezydenckich 2025 r. (powyżej 10 proc.), ale jej wynik to najbardziej groźne memento dla obecnej koalicji. Jej kampania była dobra, a sama 34-letnia kandydatka jest na początku swojej drogi politycznej. Ponadprzeciętnie dobry wynik osiągnęła wśród najmłodszych wyborców, co jest kolejnym potwierdzeniem tego, że Razem zaczyna wypierać Konfederację w pokoleniu 20- i 30-latków.

Sukces Aleksandry Owcy to kompromitacja Włodzimierza Czarzastego. Nowa Lewica wystawiła Darię Gosek-Popiołek i mocno ją wspierała. To nie była zła kandydatka – w sumie najlepsza, jaką partia Czarzastego mogła wystawić w Krakowie. Była bardziej rozpoznawalna niż Owca. Nie uchodziła za partyjnego aparatczyka. Przeciwnie, ma wcześniejsze zasługi we wspomaganiu postulatów mieszkańców dotyczących zwykłych codziennych problemów.

Dostała 4,18 proc. głosów. W liczbach bezwzględnych 12 tys., czyli dużo mniej niż zebrała w wyborach parlamentarnych 2023 r. (wtedy było 39 tys. głosów). Czyli katastrofa.

Przyklejenie się Nowej Lewicy do Tuska i posłuszne realizowanie agendy KO jest całkowicie odrzucane przez dużą część wyborców lewicowych. Czarzasty jest maksymalnie lojalny wobec premiera, rzec można – bardziej tuskowy niż sam Tusk. Ale efekt jest taki, że KO wysysa poparcie lewicy. Żywi się nim. Każdy dobry sondaż, którym cieszy się Tusk, to krew wyssana z Nowej Lewicy i ucieczka pozostałych do Razem.

Widać zatem, że w tej sytuacji partia Zandberga (i Owcy, bo według statutu jest współprzewodniczącą) będzie wolała iść do wyborów parlamentarnych sama. Bez Czarzastego i jego Nowej Lewicy. Razem to mała partia, ale w jej żagle zaczyna dąć dość silny wiatr. Struktura wiekowa wyborców zaczyna pokazywać, że wyborcy Razem nie muszą być nieznaczącą niszą. Od pewnego czasu formacja ta staje się partią pierwszego wyboru dla najmłodszych roczników wyborców. Konfederacja się starzeje i jest partią 40-latków.

MŁODZI MAJĄ GŁOS

W ogóle zachodzą ciekawe zmiany, jeśli chodzi o statystyki wiekowe wśród wyborców. W komentariacie politycznym sporo szumu zrobiły dane zagregowane przez dr. Andrzeja Machowskiego, psychologa publikującego w „Gazecie Wyborczej". Okazuje się, że najstarszy elektorat ma Koalicja Obywatelska – średnia wieku jej wyborców to 60 lat. Ma też najmniejsze poparcie w najmłodszej części elektoratu, poniżej 39. roku życia – to zaledwie 13 proc. jej wyborców. Na drugim biegunie jest Razem ze średnią wieku 38 lat. To akurat mała partia, ale widzimy zmianę. Elektorat Konfederacji, do tej pory według powszechnego stereotypu najmłodszy, zaczyna się starzeć – średnia wieku to 42 lata. Jednocześnie, wracając do koalicji rządowej, okazuje się, że Nowa Lewica również ma najstarszy elektorat – 56 lat. Nieco odbiło się PiS. Wprawdzie średnia wieku wyborców tej partii to tylko rok mniej niż elektorat Nowej Lewicy, za to Prawo i Sprawiedliwość z wolna zaczęło zwiększać swoje poparcie w najmłodszej kohorcie wyborców (23 proc. wyborców PiS ma mniej niż 39 lat).

Młodszy elektorat nie jest oczywiście lepszy od starszego, ale to oznacza co innego. Poparcie dla rządu Tuska jest defensywne. Bronią go ci, którzy już coś posiadają, więc nie boli ich sytuacja gospodarcza. Bo nawet jeśli tracą, to mają na czym oszczędzać. Natomiast ci, którzy są na początku swojej drogi życiowej i aspirują do wyższego poziomu życia, w ogóle nie wiążą swych nadziei z obecną ekipą.

Kilkunastu posłów z Razem, gdy znajdzie się w następnym Sejmie, zdekomponuje koalicyjne możliwości Donalda Tuska. Także wtedy, gdy jego lista (np. poszerzona o Nową Lewicę) zdobyłaby więcej mandatów niż PiS. Po prostu nie będzie z kogo dobrać 231 posłów.

Autopromocja

eprasa.pl 8eeaf69eb0

wPolsce24

ROZMOWA WIKŁY

Najważniejsza polityczna rozmowa o poranku.

Od poniedziałku do piątku o 8:15

ROZMOWA WIKŁY w Niedzielę

Bohater tygodnia. Więcej czasu na odpowiedzi.

Niedziela o 9:15



„Rozmowa Wikły" i „Rozmowa Wikły w Niedzielę"
– włącz i wyrób sobie własne zdanie

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 8eeaf69eb0



Dwa dni po zamachu ks. Adrian Mantykiewicz wygłosił poruszającą homilię, w której odwołał się do tragedii, apelując o modlitwę za ofiary oraz o nawrócenie napastnika

Co się stało w Jarosławiu?

Mijają kolejne dni od brutalnego zabójstwa dokonanego w jarosławskim opactwie przez Ihora M., a polska opinia publiczna ciągle nie zna odpowiedzi na wiele kluczowych pytań. Sprawa jest dziwna i nieprzejrzysta, co może szkodzić relacjom polsko-ukraińskim



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gdyby ktoś nieznający szczegółów sprawy zapytał, jaki mógł być motyw ataku ukraińskiego nożownika w jarosławskim opactwie, to pierwszą nasuwającą się odpowiedzią mogłoby być stwierdzenie, że to rosyjska prowokacja. Bo oto mamy do czynienia z Ukraińcem w wieku poborowym, który zamiast walczyć na froncie, najpierw siedział zadekowany w Niemczech, a potem – ni stąd, ni zowąd – zjawił się w Jarosławiu. Tam wtargnął do kościoła i w napadzie szału zaczął dźgać nożem napotkanych ludzi, zabijając księdza i poważnie raniąc cztery inne osoby – w tym duchowne.

W tej sekwencji zdarzeń mamy niemal wszystko, co jest konieczne, aby wywołać w Polsce falę antyukraińskich nastrojów. Jest młody Ukrainiec, który unikając wojny, korzysta z bezpiecznego schronienia w Europie, a na takich często patrzy się u nas – jak na tchórzy – z niechęcią. Tenże Ukrainiec odpłaca się potem za gościnę brutalnym morderstwem dokonanym na Polakach. Co więcej, ofiarami są osoby duchowne, a do zbrodni dochodzi na terenie kościoła, w którym pomagano uchodźcom. I żeby było jeszcze gorzej, ta ogromna tragedia rozgrywa się w podkarpackim Jarosławiu, a więc w tej części Polski, gdzie – oprócz dzisiejszych nieporozumień – ciągle żywe są dawne antyukraińskie resentymenty.

Popatrzmy na to jeszcze raz. Sprawca: młody Ukrainiec. Ofiary: Polacy, w tym osoby duchowne. Miejsce zbrodni: kościół we wschodniej Polsce. Wygląda to jak idealny plan naszkicowany gdzieś w jakimś tajnym kompleksie na obrzeżach Moskwy. Tym bardziej że zabójstwa nie da się bezpośrednio powiązać z ewentualnymi zleceniodawcami. Sprawca jest przecież – jak podają media – osobą niezrównoważoną psychicznie, nie można zatem dawać wiary jego słowom, nawet jeżeli cokolwiek powie.

Być może sprawa jest jednak o wiele mniej skomplikowana i nie trzeba tu szukać moskiewskiego wątku (choć nie można go całkiem wykluczać). Może jest tak, że naprawdę mamy do czynienia z samotnie działającym furiatem, który wpadł w szał?

Problem z tą zbrodnią polega na tym, że ciągle niewiele o niej wiemy i jesteśmy skazani na domysły oraz hipotezy. Prokuratura tłumaczy się złym stanem podejrzanego, co uniemożliwia przesłuchanie i poznanie szczegółów. Media niewiele piszą, bo nie chcą podsycać niezdrowej atmosfery wokół ukraińskiej diaspory w Polsce. To skądinąd zrozumiałe. Obchodzenie się z tą sprawą jak z jajkiem

Fot. PAP/Piotr Polak

eprasa.pl 8eeaf69eb0

świadczy zarazem o tym, że wszyscy mają świadomość jej wybuchowego potencjału. A to z kolei pokazuje, jak silne napięcie panuje dziś w relacjach polsko-ukraińskich.

KIM JEST IHOR M.?

Z dotychczasowych relacji medialnych na temat jarosławskiej zbrodni rodzi się więcej pytań niż odpowiedzi. Wiemy, że 31-letni Ihor M. przekroczył granicę z Polską w Świecku w noc poprzedzającą tragedię – ze środy, 23 września, na czwartek, 24 września. Jechał samochodem z Niemiec, gdzie mieszkał od kilku lat. Tutaj pojawiają się pierwsze nieścisłości.

Początkowo twierdzono, że Ihor walczył na froncie, a jego obecne zaburzenia psychiczne i będąca ich efektem zbrodnia są wynikiem przeżyć wojennych. Zaprzeczył temu Wasyl Bodnar, ambasador Ukrainy w Warszawie, który rozmawiał z matką zabójcy. Według jej relacji Ihor M. wyjechał z Ukrainy krótko przed wybuchem wojny (prawdopodobnie w styczniu 2022 r.) i schronił się w Niemczech. Jej zdaniem nie cierpi na żadne zaburzenia, lecz czasami daje się ponieść emocjom. To oczywiście nie jest diagnoza medyczna, która może przesądzać o aktualnym stanie zdrowia zabójcy, ale z pewnością stanowi ważną wskazówkę, sugerującą, że wbrew powszechnemu mniemaniu Ihor nie cierpi na zespół stresu pourazowego. Dodatkowym potwierdzeniem tej hipotezy jest informacja ambasadora Bodnara, że zabójca nie służył w ukraińskim wojsku. Obala to przypuszczenia, że być może Ihor walczył w Donbasie przed 2022 r. A skoro nie walczył, to nie jest okaleczonym psychicznie żołnierzem frontowym.

Kolejna niewiadoma to perypetie Ihora M. po wyjeździe z Ukrainy. Jak twierdzi „Rzeczpospolita", początkowo mężczyzna miał skierować się przez Polskę do Czech, został jednak cofnięty przez tamtejsze służby z powodu nielegalnego przekroczenia granicy. Czesi mieli go wtedy wpisać na listę osób niepożądanych w ich kraju.

Potem Ihor trafił do Niemiec – według gazety – przez Węgry i Austrię. Miał posiadać kartę stałego pobytu w Niemczech, co – według tamtejszych przepisów – jest możliwe po pięciu latach od legalnego przyjazdu. To potwierdza doniesienia, że wyjechał z kraju przed wybuchem wojny, przy czym – jeśli nie objęły go jakieś szczególne regulacje dotyczące uchodźców (mówi się o objęciu go tam niesprecyzowaną międzynarodową ochroną) – to musiał zamieszkać w Niemczech jeszcze w 2021 r. lub wcześniej, co z kolei stawiałoby pod znakiem zapytania historię o jego wyjeździe na emigrację bezpośrednio przed rosyjską inwazją. Co ciekawe, Ihor posiada również polski numer PESEL, a to jeszcze bardziej komplikuje całą historię. Oznaczałoby bowiem, że po wybuchu wojny przyjechał na pewien czas do Polski.

> Ryzyko konfliktu – przy liczącej blisko 2 mln osób diasporze ukraińskiej – jest bardzo wysokie, bo w tak dużej grupie zawsze znajdą się ludzie niezrównoważeni albo mocno sfrustrowani

Prokuratura twierdzi jednak, że mimo nadanego numeru PESEL nie przebywał na terenie naszego kraju.

W Niemczech Ihor M. miał wejść w bliżej nieokreślone konflikty z prawem. Jedyną bardziej szczegółową i potwierdzoną przez prokuraturę informacją na ten temat są doniesienia mediów, które napisały, że 20 sierpnia mężczyzna był notowany przez niemiecką policję w związku z niewykonywaniem poleceń i stawianiem oporu funkcjonariuszom. Informacja ta została przekazana polskim służbom przez stronę niemiecką. Nie wiemy jednak, co ma z tego wynikać. Pewne jest za to, że Ihor bez problemu wjechał do Polski i poruszał się po naszym kraju swoim samochodem.

Według dostępnych informacji kierował się na Ukrainę. Granicę chciał przekroczyć w Korczowej, nieco ponad 40 km od Jarosławia. Wybór tego przejścia granicznego wydaje się naturalny, bo bezpośrednio prowadzi do niego autostrada A4.

W Korczowej znów dzieją się dziwne rzeczy. Straż Graniczna zatrzymuje samochód Ihora, ponieważ jego Škoda Superb nie ma opłaconego ubezpieczenia OC. W efekcie mężczyzna rezygnuje z przekraczania granicy i cofa się autostopem do Jarosławia. Do miasta dociera rankiem 24 września.

FURIA

W Jarosławiu Ihor M. kieruje się do tutejszego opactwa, gdzie w klasztorze sióstr benedyktynek znajduje się ośrodek pomocy dla ukraińskich uchodźców. Nie jest jasne, czy od razu był to cel jego podróży do Jarosławia, czy też został tam przez kogoś skierowany, np. przez napotkanego przechodnia. Osoby, które go podwiozły, twierdzą, że nie wysiadł przy opactwie, lecz w samym mieście.

Gdy zabójca dotarł do klasztoru, trwały przygotowania do porannej mszy świętej. Ihor miał wejść do kuchni Ośrodka Kultury i Formacji Chrześcijańskiej. Było to pomieszczenie, w którym nie wolno było przebywać osobom postronnym. Tam – według Katii, ukraińskiej pracownicy zatrudnionej w ośrodku – miał poprosić o wodę. Gdy jej nie dostał, wpadł w furię. „Zaczął wszystko strącać i rozwalać. Ks. Adrian chciał go powstrzymać, ale mężczyzna sięgnął po nóż kuchenny. Ranił ks. Adriana w głowę i w ramię" – czytamy w relacji opublikowanej przez „Gazetę Wyborczą". „Moi dziadkowie właśnie wychodzili z piwnicy, gdzie robili pranie. Ks. Adrian, cały we krwi, zawołał ich. Wziął od nich telefon i zadzwonił na policję" – opowiadała Katia.

W tym samym czasie zabójca wtargnął z nożem do kościoła, gdzie zaatakował napotkanych tam duchownych: 67-letniego ks. Stanisława Zbojnowicza i dyrektora ośrodka, 65-letniego ks. Marka Pieńkowskiego. Ksiądz Stanisław, który siedział w konfesjonale, miał zostać raniony aż dziewięć razy – nóż przebił mu płuca i nadgarstek. Widząc, co się dzieje, przygotowujący się do odprawienia mszy świętej ks. Marek ruszył z pomocą, lecz także on został kilkukrotnie ugodzony nożem.

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Ciosy otrzymały również dwie osoby świeckie, które próbowały bronić atakowanych księży.

Życia ks. Stanisława nie udało się uratować. Zmarł po przewiezieniu do szpitala. W chwili pisania tego artykułu trzy inne ofiary przebywały w szpitalu, a stan ks. Marka i jednej z osób świeckich określano jako bardzo ciężki, ale stabilny. Więcej szczęścia miał pierwszy z zaatakowanych, ks. Adrian Mantykiewicz, który posiniaczony i oklejony opatrunkami opuścił szpital i w sobotę – dwa dni po zamachu – wygłosił poruszającą homilię, w której odwołał się do tragedii, apelując o modlitwę za ofiary oraz o nawrócenie napastnika.

Ihora M. udało się zatrzymać postronnemu mężczyźnie, który zdołał zamknąć zamachowca w kościele, blokując mu drogę ucieczki żelazną kratą. Gdy policja zatrzymała zabójcę, był on bardzo pobudzony i poranił się, upadając na podłogę. Po przewiezieniu go na obserwację do szpitala miał wykrzykiwać, że w opactwie „dobrze karmią i parzą pyszną kawę". Zachowywał się jak osoba niezrównoważona.

MOTYW ZBRODNI

Pozostaje zagadką, czy Ihor M. kiedykolwiek wcześniej był w Jarosławiu i czy – jako uciekinier z Ukrainy – korzystał z pomocy ośrodka przy opactwie. Jego zachowanie sugeruje, że mógł znać to miejsce, chociaż nikt tutaj go sobie nie przypomina. To oczywiście nic nie oznacza, zważywszy, że w ciągu ostatnich lat przez ośrodek przewinęło się mnóstwo osób. Teoretycznie Ihor mógł być jedną z nich.

Jeszcze ważniejsza jest odpowiedź na pytanie, po co zabójca przyjechał do opactwa. Czy rzeczywiście – jak twierdzi cytowana przez „Wyborczą" Katia – chciał tylko posilić się i napić wody, czy może domagał się pieniędzy na ubezpieczenie samochodu? Jego auto zostało odholowane właśnie do Jarosławia, dlatego niewykluczone, że próbował nakłonić księży do opłacenia mu polisy. Gdy spotkał się z odmową, wpadł w furię i zaczął zabijać. To tylko hipoteza, ale wydaje się całkiem prawdopodobna.

Morderca po zatrzymaniu został przewieziony na oddział psychiatryczny w jednym ze szpitali, gdzie zamknięto go w izolatce pilnowanej przez policjantów. Rozpoznano u niego „ostre wielopostaciowe zaburzenia psychotyczne, silne pobudzenie psychoruchowe, rozkojarzenie toku myślenia i brak logicznego kontaktu". Jest leczony farmakologicznie i do czasu poprawy jego stanu nie można go przesłuchać ani postawić mu formalnie zarzutów, które dotyczą zabójstwa, usiłowania zabójstwa oraz spowodowania ciężkich obrażeń ciała. Za takie przestępstwa może grozić dożywocie, o ile oczywiście Ihor M. był poczytalny w chwili ich popełnienia.

> Niewykluczone, że morderca próbował nakłonić księży do opłacenia mu polisy. Gdy spotkał się z odmową, wpadł w furię i zaczął zabijać. To tylko hipoteza, ale wydaje się całkiem prawdopodobna

Jak twierdzi prokuratura, nie można w tej chwili ustalić, czy zabójca działał samotnie, czy był przez kogoś inspirowany lub kierowany. Wstępnie nie wyklucza się żadnej wersji.

RYZYKO KONFLIKTU

Przez wiele dni po tragedii sytuacja w Jarosławiu była napięta. Uruchomiono sztab kryzysowy, a do miasta skierowano dodatkowe oddziały policji. Władze obawiały się prób odwetu na mieszkających w mieście Ukraińcach. Również ks. Adrian, jedna z ofiar nożownika, apelował w swojej homilii, aby nie przenosić winy za zbrodnię w opactwie na całą społeczność ukraińską.

Wszystko to nie zmienia jednak faktu, że stosunki między Polakami i Ukraińcami, już i tak w ostatnich latach mocno nadszarpnięte, przechodzą kolejną poważną próbę. Wystarczy bowiem niewielka grupka osób – a czasem jeden człowiek – aby rozpalić niebezpieczne emocje. Co ciekawe, dostrzeżono to nawet w Kijowie, czego dowodem są wyrazy ubolewania przez Wołodymyra Zełenskiego przesłane po dokonaniu zbrodni w Jarosławiu. Warto to zauważyć, bo to polityk, który zwykle nikogo nie przeprasza i nie składa nikomu kondolencji. Widocznie tym razem musiał mieć powód, aby uznać, że przemilczenie tej sprawy mogłoby przynieść zbyt duże szkody.

Ryzyko konfliktu – przy liczącej blisko 2 mln osób diasporze ukraińskiej – jest bardzo wysokie, bo w tak dużej grupie zawsze znajdą się ludzie niezrównoważeni albo mocno sfrustrowani. Zdarzało się już, że takie osoby były pozyskiwane przez rosyjskie służby do działań dywersyjnych przeciwko Polsce, dlatego postawiona na początku tego artykułu teza o moskiewskim wątku sprawy Ihora M. – choć w świetle zebranych informacji mało prawdopodobna – wcale nie brzmi absurdalnie. Takie sytuacje mogą się zdarzać i nigdy nie należy ich wykluczać. Tym bardziej że polskie służby słabo penetrują ukraińską diasporę i nie mają jej dobrze rozpracowanej. Wśród nas żyją więc setki tysięcy ludzi, o których nasze państwo niewiele wie. Ktoś może to wykorzystać (i zapewne już to robi).

Dlatego nie mamy stuprocentowej pewności, czy Ihor M. nie był kierowany z zewnątrz. Wiemy za to przynajmniej, że nie jest psychiczną ofiarą wojny. Nie zmienia to jednak faktu, że brakuje skutecznego sposobu (nie jest nim nawet zamknięcie granic) na wyłapanie takich osób, zaczną przyjeżdżać do swoich rodzin w Polsce lub po prostu w poszukiwaniu pracy, gdy skończy się wojna. Straumatyzowanych przyjezdnych będzie po prostu za dużo.

Jedynym ze skutków rosyjskiej agresji na Ukrainę jest przekształcenie Polski w państwo wieloetniczne, tymczasem w wieloetniczność wpisany jest konflikt. Nadzieja, że nikt nie będzie go podgrzewał, może się okazać bardzo złudna.

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Dresiara na ministerialnym wybiegu

Mówi o sobie, że jest ziomkiem, który lubi usiąść w bluzie na murku i przekląć. Stanowisko minister kultury zdobyła w niezdrowej rywalizacji, dyletanctwo maskuje arogancją, hojnie finansuje patocelebrytów, a rolę szefa resortu sprowadza do funkcji influencera. Marzenie o modelingu spełniła na pokazie ukraińskiej projektantki, dofinansowanym ze środków ministerstwa. Teczka skandali Marty Cienkowskiej puchnie



MARZENA NYKIEL

Wokół Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego wrze. Marta Cienkowska kieruje resortem od kilkunastu miesięcy, ale skala afer wystarczyłaby na dekadę. MKiDN pod jej kierownictwem, zamiast krzewić narodowe dziedzictwo i dbać o rozwój polskiej kultury, wchodzi w podejrzane alianse z prywatnym biznesem i patocelebrytwem. Tak fatalnego ministra kultury jeszcze nie było. Bezrefleksyjna potrzeba autopromocji przekroczyła wszelkie granice smaku, przyzwoitości i żenady.

AMBASADORKA MODY UKRAIŃSKIEJ

Gdy wydawało się, że szczyt kompromitacji został osiągnięty, Marta Cienkowska wyszła na wybieg. Wystąpiła jako modelka na pokazie ukraińskiej projektantki w ramach inicjatywy, na którą polskie ministerstwo kultury przeznaczyło prawie 150 tys. zł. Gdy wybuchł skandal, oświadczyła, że jej „udział w pokazie był pro bono". „Zostałam zaproszona jako jedna z ambasadorek ReFashioned, projektu Fundacji Kraina, wspierającego twórczynie i twórców z doświadczeniem migracji" – tłumaczyła. W gronie ambasadorek była też Natalia

Fot. Adam Burakowski/East News

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Panczenko, której kontrowersyjne wypowiedzi o wrogości polsko-ukraińskiej, mogące doprowadzić do podpaleń domów i sklepów, oburzyły niedawno opinię publiczną. To jednak tylko margines potężnych wątpliwości. Skandal z wybiegiem obnaża znacznie głębszy mechanizm gigantycznych nadużyć.

PUBLICZNA KASA DLA BOGATYCH

25 września br. w Instytucie Przemysłów Kreatywnych odbył się finał programu ReFashioned 2026. To projekt Fundacji Kraina, wspierający projektantów z Ukrainy i Białorusi. Fundacja otrzymała dofinansowanie w wysokości 148 193 zł. Pieniądze pochodziły z programu „Polska_Kreatywni: MODA 2026", którego łączna pula wyniosła ponad 4,3 mln zł. To dokładnie tyle, ile wynosi roczny budżet państwowego wsparcia dla polskiej literatury i czytelnictwa. Dysproporcja może być szokująca, ale jeszcze bardziej wstrząsający jest proces dystrybucji środków.

Koordynacją projektu „Polska Kreatywni" zajmuje się podległy ministerstwu kultury Instytut Przemysłów Kreatywnych. Z blisko 800 zgłoszeń wybrano zaledwie 30. Pieniądze popłynęły szerokim strumieniem do luksusowych, komercyjnych marek modowych, ubierających milionerów i wielkie gwiazdy. Maksymalne możliwe dofinansowanie w wysokości 240 030 zł otrzymał m.in. krawiec celebrytów Tomasz Ossoliński na kolekcję inspirowaną XIX w. Mariusz Przybylski zainkasował 231 709 zł na prywatny pokaz podczas Fashion Week w Berlinie, a duet Hector & Karger (od lat promowany przez Grażynę Kulczyk i ubierający m.in. Edytę Górniak, Beatę Kozidrak czy Mariah Carey) otrzymał 180 023 zł. Publiczne środki w wysokości 180 023 zł trafiły nawet do giełdowej spółki Kubota S.A.

Odrzucono projekty setek małych i wymagających wsparcia podmiotów, a pieniądze przyznano znanym i dobrze prosperującym gigantom. Nic dziwnego, skoro w Zespole Sterującym zasiedli insiderzy środowiska modowego. W skład komisji weszli: Łukasz Świstak, Katarzyna Wojtera, Gabriela Lindner, Michał Szulc, Anna Smolińska i Magdalena Chmura. Pierwszy z decydentów, który oceniał wnioski jako członek komisji, był brand managerem marki MMC Studio. Cóż powiedzieć na fakt, że podmiot Ilona Majer MMC Studio otrzymał w tym programie 214 827 zł dotacji? Nie jest to przypadek odosobniony.

Tę prawidłowość można zaobserwować również w innych obszarach kultury, gdzie system przyznawania grantów opiera się na hermetycznym obiegu towarzyskim. Małe instytucje, domy kultury, organizacje patriotyczne i lokalne inicjatywy są pomijane, realizują swoje działania ze zbiórek i prywatnego wsparcia, a publiczne miliony trafiają do „jedynie słusznej", uprzywilejowanej grupy ludzi. Nie inaczej było przy programie KPO dla kultury.

WYROKI W SPRAWIE KPO

Marta Cienkowska osobiście nadzorowała wdrożenie środków z Krajowego Planu Odbudowy o wartości blisko 300 mln zł, za którego obsługę odpowiadał Narodowy Instytut Muzyki i Tańca (NIMiT). Efekty są zatrważające.

Procedura weryfikacyjna opierała się na kuriozalnych zasadach: ocenę formalnoprawną powierzono ekspertom merytorycznym, a wystarczył negatywny głos jednego z trzech oceniających, aby wniosek bezpowrotnie przepadł. W efekcie ze względów formalnych odrzucono niemal 80 proc. zgłoszeń, a przyczyny tych decyzji urągały wszelkim procedurom. Odrzuceni wnioskodawcy wkroczyli na drogę prawną. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie wydał ponad 30 prawomocnych wyroków stwierdzających, że weryfikacja wniosków prowadzona przez NIMiT była nielegalna, rażąco nierzetelna i naruszała prawa wnioskodawców.

Pokrzywdzeni przeprowadzili własną, żmudną analizę decyzji NIMiT. Wykryli zatrważający mechanizm konfliktu interesów: członkowie komitetów selekcyjnych i odwoławczych przyznawali dotacje i stypendia samym sobie. Głośnym echem odbił się również wywiad w „Gazecie Wyborczej", w którym dziennikarz przeprowadzający rozmowę z Martą Cienkowską okazał się beneficjentem ministerialnego stypendium. Mimo zawiadomień do Komisji Europejskiej i NIK minister kultury ogłosiła program „wielkim sukcesem". Buta ponad wszystko.

FLIRT Z PATOLOGIĄ

Publiczne pieniądze trwonione są ze skrajną bezczelnością na najbardziej odrażające inicjatywy. Symbolem patologicznej polityki finansowej resortu stało się przyznanie rocznego stypendium twórczego w wysokości 60 tys. zł (5 tys. zł brutto miesięcznie) dla Jasia Kapeli, patocelebryty i zawodnika freak fightów, na napisanie libretta do musicalu o aborcji.

Potężna kompromitacja miała miejsce w sierpniu 2026 r., gdy MKiDN udzieliło patronatu honorowego obchodom 82. rocznicy powstania warszawskiego, organizowanym przez Stowarzyszenie Warszawa 44. Do grona ambasadorów pamięci narodowej, mających reprezentować etos bohaterów powstania, włączono Monikę Laskowską – postać posługującą się pseudonimem „Najlepsza Polska Dziennikarka", znaną z idiotycznych viralowych „wywiadów", udziału we freak fightach oraz publikowania erotycznych treści na platformie OnlyFans.

Po wybuchu afery Cienkowska wycofała patronat. Nie zmienia to faktu, że bezrefleksyjnym pędem za popularnością niszczy powagę resortu. Rozpaczliwe próby przypodobania się lewicowym i pseudopostępowym środowiskom społeczno-artystycznym sprawiają, że sprzeniewierza się zadaniom spoczywającym na ministrze kultury. Co więcej, decyzje Cienkowskiej mają określone konsekwencje formacyjne i kulturotwórcze. Stanowią deprawujący sygnał dla młodych ludzi, że wiedza, kompetencje i talent są sprawą wtórną. Najważniejsze są zasięgi, za które doceni i nagrodzi nawet pani minister kultury.

CELEBRYCKI UKŁAD SIŁ

Pogoń za popularnością oraz chęć dowartościowania się rzutują na bliskie relacje Marty Cienkowskiej ze środowiskiem wpływowych celebrytów i światem biznesu. Z tych zależności wyłania się pewna stała tendencja.

W październiku 2024 r. Cienkowska wzięła udział w wydarzeniu Accra Cultural Week 2024 w Ghanie, organizowanym przez Omenaa Foundation. Oficjalne profile fundacji Omeny Mensah chwaliły się obecnością reprezentantki polskiego rządu. Były minister kultury prof. Piotr Gliński skierował więc w tej sprawie interpelację poselską, pytając o cele, koszty, reprezentacyjny

eprasa.pl 8eeaf69eb0

charakter delegacji oraz źródło finansowania przelotów i pobytu Cienkowskiej. Resort próbował gasić pożar twierdzeniem, że wyjazd odbył się w ramach „prywatnego urlopu". Widać więc, że granica pomiędzy obowiązkami państwowymi a prywatnymi relacjami towarzyskimi niepokojąco się zaciera.

Prawdziwy wstrząs nastąpił jednak w maju po „polskiej Ibizie" w Wilanowie. Na dziedzińcu Muzeum Pałacu Króla Jana III zorganizowano Circoloco Warsaw, masową imprezę techno dla ponad 7 tys. osób. Za jej realizację odpowiadała spółka Awake Events, w radzie której zasiadała Omenaa Mensah. Gigantyczny hałas i nocna feria świateł stanowiły zagrożenie dla zwierząt i ptaków w okresie lęgowym. Impreza zakończyła się ogromnym skandalem, zniszczeniem zabytkowej przestrzeni dziedzińca i potężnym kryzysem wizerunkowym. Ujawnione kulisy finansowe wywołały powszechne oburzenie. Muzeum wystawiło spółce fakturę na zaledwie 116 tys. zł, podczas gdy przychody organizatorów z samych biletów i gastronomii szacowano nawet na 5 mln zł.

Bulwersujące okazały się również doniesienia ujawnione przez Miasto Jest Nasze. Okazało się, że Paweł Jaskanis, dyrektor Muzeum w Wilanowie, zasiadał jednocześnie w radzie fundacji Omeny Mensah. Cienkowska, próbując odciąć się od afery, odwołała go ze stanowiska. Tyle tylko, że bez wiedzy ministra kultury tego rodzaju impreza nie mogłaby się odbyć. Co więcej, wpisywała się w szerszy projekt i jak twierdzą aktywiści z MJN, firma planowała zorganizować jeszcze dwie pod patronatem prezydenta Warszawy: w Łazienkach Królewskich i na Agrykoli. Ostatecznie żadna z nich nie doszła do skutku, jednak współpraca pomiędzy fundacjami Mensah i ministerstwem trwa.

MILIONOWE ZLECENIA POD LUPĄ CBA

Przed wejściem do rządu Marta Cienkowska budowała swój dorobek w sektorze prywatnym. Jej firma BFF Agency/Consulting przez trzy lata regularnie wygrywała przetargi ogłaszane przez Zarząd Zieleni m.st. Warszawy, zdobywając zlecenia o łącznej wartości blisko 1,67 mln zł. W ostatnim przetargu z 2023 r. złożyła jedyną ofertę, a kilka miesięcy później objęła stanowisko wiceminister kultury.

Gdzie trafiały publiczne pieniądze z instytucji podległej Rafałowi Trzaskowskiemu? Ponad 200 tys. zł na spacery dendrologiczne, warsztaty z rozpoznawania drzew, 850 tys. zł na kampanię promującą warszawski odcinek Wisły czy 100 tys. zł za organizację pracy jurorów konkursu „Warszawa w kwiatach". W 2023 r. ta kwota znacząco wzrosła. Sytuacja wzbudziła zainteresowanie organów ścigania. Trzy miesiące temu Centralne Biuro Antykorupcyjne wkroczyło do stołecznego Zarządu Zieleni z oficjalnymi wnioskami o wydanie pełnej dokumentacji przetargowej i umów zawartych z firmą obecnej minister kultury.

Na marginesie warto zwrócić uwagę na ostatnią nominację Cienkowskiej. Dyrektorem Narodowego Centrum Kultury została Aldona Machnowska-Góra, która zniknęła z zarządu Szpitala Południowego po wybuchu warszawskiej afery.

DYZMA NA OBCASACH

To zaledwie wstępny szkic działalności Marty Cienkowskiej. Obszar zaniedbań i szkodliwych decyzji rozciąga się znacznie dalej – od fatalnych decyzji kadrowych, zaniedbań w Instytucie Pileckiego, Muzeum Polskim w Rapperswilu, ciosów w Muzeum „Pamięć i Tożsamość" w Toruniu, poprzez rezygnację z inwestycji planowanych przez min. Piotra Glińskiego, jak choćby budowa siedziby Polskiej Opery Królewskiej, aż po nieudolny nadzór nad mediami publicznymi w wiecznej likwidacji. Jeszcze więcej jest szkodliwych aktywności, promujących dekonstrukcję polskiej kultury. Towarzyszy temu brak ogłady, bezczelność, buta i poczucie bezkarności.

> Urzędniczy dyletantyzm, brak profesjonalizmu i niezrozumienie przez Cienkowską własnej roli sprawiają, że zamiast troski o narodowe dziedzictwo jest popkulturowa tandeta, a publiczne miliony zamieniają się w prywatne zyski wąskiej grupy beneficjentów

Jak to się stało, że ktoś taki kieruje jednym z najważniejszych ministerstw w Polsce? W wyborach parlamentarnych Cienkowska zdobyła niewiele ponad 6,5 tys. głosów, ale oprócz szczęścia ma też mocne łokcie. Najpierw w wyniku politycznej układanki otrzymała funkcję podsekretarza stanu, potem uparcie trzymała się kursu. Gdy w lipcu 2025 r. minister kultury Hanna Wróblewska żegnała się z funkcją, wiadomo było, że zastąpi ją ktoś z Polski2050. Miała to być Aleksandra Leo. Po rozmowie z Cienkowską zrezygnowała. W późniejszych wywiadach przyznała, że zderzyła się wówczas z „ciemną stroną polityki" i z „podłymi zachowaniami", których nie spodziewała się doświadczyć we własnym środowisku partyjnym.

Na początku 2026 r. wyciekły zapisy z zamkniętego czatu polityków Polski2050, na którym Cienkowska nakłaniała do partyjnego przewrotu i odwołania wewnętrznych wyborów. „J...ć przychylne media. Jak zmienimy zarząd i się weźmiemy do roboty, to wszyscy zapomną o tej nap...nce i planowanym przez nas przewrocie" – pisała. Pytana o to później w mediach, stwierdziła, że wulgaryzmów się nie wstydzi, bo „ma to po tacie", a „w przestrzeni teatrów, filmów, muzyki, szczególnie rapu, takiego języka używamy na co dzień". U progu ministerialnej kariery oświadczyła, że jest dresiarą: „Jestem takim ziomkiem [...]. Lubię sobie usiąść na murku, wypić piwo, założyć bluzę i przekląć". Ukryć tego nie sposób. Urzędniczy dyletantyzm, brak profesjonalizmu i niezrozumienie własnej roli sprawiają, że zamiast troski o narodowe dziedzictwo jest popkulturowa tandeta, a publiczne miliony zamieniają się w prywatne zyski wąskiej grupy beneficjentów.

eprasa.pl 8eeaf69eb0



Czy Polska powinna przyjść sojusznikom z pomocą?



MAREK BUDZISZ

Mówienie „nie wyślemy" naszych chłopców, aby bronili sojuszników w basenie Morza Bałtyckiego, jest deklaracją gotowości do walki w Polsce. I to w znacznie gorszych warunkach niż w pierwszym, „ekspedycyjnym" scenariuszu

Pål Jonson, szwedzki minister obrony, uzasadniając decyzję swego rządu o wysłaniu do Polski myśliwców Gripen, napisał: „Polska jest bliskim sojusznikiem i kluczowym węzłem wsparcia dla Ukrainy. Bezpieczeństwo Szwecji budujemy wspólnie z sojusznikami z NATO oraz poprzez wspólne branie na siebie odpowiedzialności". Z tego powodu władze w Sztokholmie podjęły decyzję o wzmocnieniu obrony wschodniej flanki NATO, czego narzędziem jest wysłanie samolotów bojowych nad Polskę.

Wypowiedź ta kontrastuje z deklaracjami niektórych polskich polityków, a także licznymi głosami opinii publicznej, w świetle których właśnie ze względu na rosnące ryzyko konfliktu z Rosją nie powinniśmy wysyłać naszych żołnierzy poza granice kraju, ponieważ mogą się okazać potrzebni w Polsce.

Czy zatem wzmacnianie wschodniej flanki NATO wymaga gotowości dyslokowania wojska poza granice kraju, czy odwrotnie – roztropność nakazuje zatrzymanie żołnierzy u siebie, bo tu mogą się okazać niezbędni? Rozważmy tę kwestię.

STRATEGIA ODSTRASZANIA

Warto zacząć od stwierdzenia oczywistych faktów. Duże państwa, utrzymujące rozległe interesy, wysyłają swe siły zbrojne w odległe rejony świata nawet wówczas, kiedy mają świadomość narastających zagrożeń „w domu". Najlepszym przykładem jest ostatnia decyzja prezydenta Emmanuela Macrona, który postanowił wysłać kontyngent wojskowy do Arabii Saudyjskiej, mimo że kilka dni wcześniej zwołał specjalną naradę z przedstawicielami wszystkich partii politycznych, podczas której po-

eprasa.pl 8eeaf69eb0

informował zebranych o rosnącym zagrożeniu dla Francji. Nawet Ukraina, walcząca i borykająca się z niedoborem kadr na froncie, wysyła swych komandosów do krajów afrykańskich, aby działając choćby z terenu Libii, nękali rosyjskie statki floty cienia pływające na Morzu Śródziemnym.

Gdyby kierować się akcentowaną przez polskich polityków gradacją potrzeb, to zarówno Francuzi, jak i Ukraińcy powinni powstrzymać się od takich posunięć, zatrzymać siły zbrojne u siebie i odwołać wszystkie dyslokacje. Podobnie powinni postępować Amerykanie, którzy wręcz uważają, iż utrzymywane przez nich bazy wojskowe są czynnikiem globalnej stabilizacji, a przez wzmocnienie odstraszania stanowią kluczowy element obrony pokoju.

Odstraszanie staje się podstawowym „problemem" i zadaniem państw NATO, tym bardziej że Putin sygnalizuje gotowość eskalacji, rozbudowując rosyjski potencjał wojskowy. Kilka dni temu – po raz czwarty w tym roku – podjął on decyzję o rozwoju sił zbrojnych. Teraz armia Federacji Rosyjskiej ma liczyć 1,55 mln żołnierzy, a biorąc pod uwagę pracowników cywilnych odpowiadających za serwisowanie sprzętu, logistykę czy szkolenie, ma to być 2,44 mln ludzi. Warto pamiętać, że przed wojną rosyjska armia liczyła etatowo – według ocen zachodnich specjalistów – 900 tys. żołnierzy, a faktycznie było to zapewne mniej (za bezpieczną przyjmowano wówczas liczbę 850 tys.). W ciągu 4,5 roku Kreml niemal podwoił zatem liczebność własnych sił zbrojnych.

Armię rozbudowuje również Białoruś, która regularnie ćwiczy scenariusze wojny z państwami wschodniej flanki. Rosną też rosyjskie nakłady na wojnę. W 2027 r. – w świetle ostatniej propozycji budżetowej rządu Miszustina – Moskwa planuje wydać na obronę 177 mld euro, a dodając do tej kwoty środki ukryte w innych działach budżetu, może to być – zdaniem specjalistów – nawet 200 mld euro. Oznacza to wzrost o 27 proc. w ciągu roku. Oceniając skalę rosyjskich wydatków wojskowych, powinniśmy też pamiętać, że całość zamówień zbrojeniowych lokują oni we własnych przedsiębiorstwach, co oznacza, że siła nabywcza „ich euro" jest większa niż w przypadku wydatków europejskich. Przed wojną przyjmowano, że porównując rosyjskie nakłady z tym, co na obronę przeznaczają państwa NATO z naszego kontynentu, należy użyć mnożnika 2,5, co oznaczałoby, że Kreml wydaje obecnie na siły zbrojne więcej niż wszystkie – prócz Stanów Zjednoczonych – państwa NATO razem wzięte.

Jeśli Paryż uznaje, że francuskie interesy wymagają wysłania wojska do Arabii Saudyjskiej, to trzeba zadać pytanie, gdzie poza granicami Polski możemy bronić naszych interesów.

WSPÓLNA KONTROLA BAŁTYKU

Z pewnością powinno nam zależeć na utrzymaniu zdolności do żeglugi na Bałtyku. Wynika to z faktu, że od 40 do 50 proc. polskiego importu w ujęciu wagowym dociera do nas drogą morską. Nasze porty generują też do 10 proc. dochodów budżetu, a w przypadku surowców energetycznych niemal 100 proc. dostaw ropy naftowej i 40 proc. gazu ziemnego dostarczana jest do nas drogą morską. Będziemy mieć pełny obraz strategicznego znaczenia Bałtyku dla naszego bezpieczeństwa, jeśli w rachunku tym uwzględnimy jeszcze to, że ok. 45 proc. dostaw gazu dociera do nas gazociągiem Baltic Pipe. Zablokowanie tego akwenu oznacza zatem dla nas zarówno kryzys gospodarczy, jak i poważne problemy z surowcami energetycznymi.

W znacznie gorszej sytuacji znajdą się Finlandia, Szwecja i państwa bałtyckie. Po wysadzeniu Nord Stream 2 Niemcy zbudowali cztery pływające terminale zdolne do przyjmowania skroplonego gazu LNG. Dwa z nich – w Lubmin i Mukran – znajdują się na Bałtyku, więc w razie utrudnień w żegludze również oni mieliby kłopoty. Może właśnie dlatego Bundeswehra wraz ze szwedzkimi siłami zbrojnymi ćwiczyła niedawno wysadzenie desantu i obronę przed agresorem Gotlandii – wyspy, której opanowanie umożliwia kontrole tras żeglugowych na Bałtyku.

Po wejściu Szwecji i Finlandii do NATO zmieniła się geografia strategiczna naszej części Europy. Kontrola Bałtyku, głównej trasy zaopatrzenia państw leżących na wschodniej flance, stała się jednym z najważniejszych zadań i elementem odstraszania. Dlaczego tak jest, pokazują wyliczenia Andrew Livseya, emerytowanego oficera brytyjskiej marynarki wojennej, który przez ponad 20 lat odpowiadał za plany strategiczne Royal Navy, a teraz wykłada w King's College.

Jego zdaniem w scenariuszu przedłużającego się konfliktu zbrojnego na wschodniej flance NATO musi w 1 miesiącu dostarczyć Finlandii i Bałtom 228 tys. t zaopatrzenia, ale już od 7 miesiąca – w związku z tym, że wyczerpią się zapasy zgromadzone przed wojną – będzie to co najmniej 700 tys. t. Aby to było możliwe, Pakt Północnoatlantycki musi kontrolować Bałtyk, a dzisiaj – wbrew obiegowym sądom – akwen ten nie jest „NATO-wskim jeziorem". Potencjał rosyjskiej floty bałtyckiej jest porównywalny z potencjałem wszystkich państw NATO razem wziętych, które mają dostęp do tego morza. Ze strategicznego punktu widzenia oznacza to, że zarówno Rosjanie, jak i państwa NATO są w stanie uniemożliwić żeglugę do portów przeciwnika.

Tyle że ten „rachunek wytrzymałości" inaczej wygląda w przypadku państw Paktu, a inaczej, jeśli analizujemy sytuację Rosji. Rosjanie za pośrednictwem portów bałtyckich eksportują nawet 60 proc. swych surowców energetycznych, co oznacza, że zablokowanie żeglugi wywoła poważny wstrząs również u nich, ale Rosja przetrwa, dysponując lądowymi kanałami zaopatrzenia. A czy przetrwają Bałtowie lub Finlandia?

To już nie jest takie pewne i zdaniem Livseya NATO musi – na wypadek wojny – opanować Bałtyk, przeprowadzając uprzedzający atak w ciągu co najwyżej pierwszych dwóch tygodni, zajmując najważniejsze punkty o strategicznym znaczeniu. A jeszcze lepiej by było, gdyby zawczasu zostały one obsadzone przez kontyngenty wojskowe z państw Sojuszu. W tym „rachunku wytrzymałości" Rosja znajduje się w lepszym położeniu.

Aby realny stał się scenariusz opanowania Bałtyku przez NATO, trzeba ćwiczyć wysłanie sojuszniczych sił zbrojnych na wyspy, właśnie takie jak Gotlandia, a także Bornholm, którego opanowanie przez przeciwnika może blokować

Fot. MON.gov.pl

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Baltic Pipe, przebiegający nieopodal, oraz Hiumę i Saremę w Zatoce Ryskiej czy Archipelag Alandzki, „trzymający w szachu" Sztokholm. Rosjanie muszą również wiedzieć, że jesteśmy w stanie kontrolować żeglugę na Bałtyku, bo to oznacza także wzmocnienie scenariusza odstraszania. Jeśli agresja będzie oznaczać automatyczne „zamknięcie" rosyjskiej marynarki wojennej i handlowej w Zatoce Fińskiej, to wówczas ta świadomość może wpłynąć na apetyty Kremla.

A JEŚLI UKRAINA SIĘ UGNIE?

Należy również zapytać, jaka jest alternatywa, czyli co się stanie, jeśli nie będziemy w stanie opanować kluczowych wysp na Bałtyku i kontrolować w związku z tym żeglugi na tym akwenie. W takim scenariuszu rośnie znaczenie przesmyku suwalskiego. Będziemy musieli utrzymać kanały zaopatrzenia Bałtów, a Rosjanie „przebić korytarz" do oblężonego obwodu królewieckiego. Taki scenariusz jest także realny w sytuacji, kiedy NATO będzie kontrolować Bałtyk, ale wówczas zamknięcie floty bałtyckiej w portach oznacza znacznie gorszą pozycję Rosjan.

A kto będzie bronił korytarza suwalskiego? Biorąc pod uwagę liczebność sił zbrojnych naszych sojuszników i czas ich dotarcia na wschodnią flankę, w pierwszym rzędzie będzie to zadanie Polski, tym bardziej że atak może objąć nasze terytorium.

Ze strategicznego punktu widzenia oznacza to, że realnym polem wyboru jest albo gotowość wysłania naszego wojska poza granice, aby opanować strategiczne wyspy na Bałtyku i kontrolować żeglugę, od której zależy również sytuacja Polski, albo przygotować się do wojny na naszym terytorium, prowadzonej w znaczenie gorszej sytuacji. Mówienie zatem „nie wyślemy" naszych chłopców, aby bronili sojuszników w basenie Morza Bałtyckiego, jest deklaracją gotowości do walki w Polsce. I to w znacznie gorszych warunkach niż w pierwszym, „ekspedycyjnym" scenariuszu.

Sytuacja może ulec zmianie na naszą niekorzyść, jeśli Ukraina ugnie się pod rosyjską presją lub ulegnie, co byłoby jeszcze gorszym wariantem. Odpowiedzią na taki scenariusz, który niestety w tej fazie wojny staje się coraz bardziej prawdopodobny, nie jest próba budowy „twierdzy Polska" bez działań na rzecz wzmocnienia naszego potencjału, ale przeciwnie, jego forsowna budowa. Musi ona przebiegać dwutorowo. Z jednej strony należy rozbudować nasz potencjał, w tym wielkość wyszkolonej rezerwy, z drugiej zaś zabiegać o wzmocnienie gwarancji sojuszniczych. Tych się nie uzyska, sygnalizując egoizm strategiczny, a do tego sprowadzają się deklaracje, że „nie wyślemy wojska", aby broniło sąsiadów z NATO. Wzmocnienie potencjału musi również oznaczać masowy ruch na rzecz przeszkolenia powszechnego, w tym budowę obrony cywilnej.

Z jednej strony należy rozbudować nasz potencjał, w tym wielkość wyszkolonej rezerwy, z drugiej – zabiegać o wzmocnienie gwarancji sojuszniczych. Tych się nie uzyska, sygnalizując egoizm strategiczny, a do tego sprowadzają się deklaracje, że „nie wyślemy wojska", aby broniło sąsiadów z NATO

Jest jeszcze jedna kwestia, o której trzeba pamiętać, myśląc o skuteczności odstraszania. Najlepiej zilustrować, o czym mowa, opisując napięcie na linii Kijów–Seul. Jego źródłem jest nieroztropne i nie pierwsze zresztą wystąpienie prezydenta Zełenskiego na forum ONZ. Poinformował on, że Ukraina przekazała Korei Południowej dwóch północnokoreańskich jeńców wojennych, którzy dostali się do niewoli w trakcie operacji na terenie obwodu kurskiego. Z prawnego punktu widzenia ta operacja jest co najmniej wątpliwa, ale strategicznie ujawnienie tego faktu to poważniejszy błąd. Jak uważa południowokoreańska opozycja, prezydent Lee Jae Myung, uchodzący zresztą za zwolennika porozumienia z Pjongjangiem, mógł chcieć wykorzystać jeńców w toku poufnych rozmów z północnokoreańskim reżimem. Stawką w grze mogło być rozładowanie napięć, narastających od pewnego czasu na granicy rozdzielającej obydwa państwa koreańskie, a Kijów potrzebował pośrednika, który mógłby doprowadzić do rezygnacji reżimu Kimów z planów dyslokowania baterii rakiet balistycznych do obwodu woroneskiego w Rosji.

Tyle że aby tego rodzaju misje mogły się powieść, potrzebują ciszy medialnej i zakulisowych negocjacji, które będą skuteczne, o ile przekonamy drugą stronę o naszej determinacji i możliwościach. Dobrze jest, jeśli chcąc odstraszyć przeciwnika, doprowadzimy do sytuacji dwuznacznej, ambiwalentnej, którą można rozmaicie interpretować. Trochę tak jak z niedawną katastrofą rosyjskiego bombowca strategicznego Tu-95MS, który rozbił się zaraz po starcie z bazy Ukrainka w obwodzie amurskim. To z takiego samolotu Rosjanie odpalili rakietę, która uderzyła na Lubelszczyźnie. Od wybuchu wojny żadna maszyna tego typu nie uległa wypadkowi, a w tym przypadku aż trzy silniki przestały działać w tym samym czasie. Przypadek czy pokaz możliwości? Niech Rosjanie się zastanawiają.

Tak się odstrasza przeciwnika strategicznego. Im więcej ma on wątpliwości, nie jest pewny, co potrafimy i jak daleko jesteśmy w stanie się posunąć, tym większe będzie miał dylematy. Z tego punktu widzenia zarówno wypowiedzi Zełenskiego z ONZ-owskiej trybuny, jak i wezwania byłego polskiego ministra obrony, aby nie wysyłać naszych żołnierzy w obronie zagrożonych sojuszników w basenie Morza Bałtyckiego, są błędem, bo osłabiają, zamiast wzmacniać skuteczność naszego odstraszania.

eprasa.pl 8eeaf69eb0



Pielgrzymka, która przyniosła nadzieję

Wizyta apostolska papieża Leona XIV we Francji była pełna symbolicznych obrazów, które obiegły cały świat. Już dziś można ją nazwać prawdziwym duchowym triumfem



GORAN ANDRIJANIĆ

Ten widok wydawał się jak ze snu. Setki tysięcy ludzi ustawiły się wzdłuż słynnych Pól Elizejskich w Paryżu, alei łączącej Łuk Triumfalny z Place de la Concorde, witając w euforii papieża Leona XIV. Ideologiczna stolica zachodniego sekularyzmu, państwa, które przez ostatnie kilkaset lat zrobiło absolutnie wszystko, aby wyeliminować chrześcijaństwo ze społeczeństwa i ludzkich umysłów, wypełniła swoje ulice ludźmi entuzjastycznie machającymi do Wikariusza Chrystusa. Papamobile zmierzał w kierunku Pl. Zgody, na którym Leon miał odprawić plenerową mszę świętą. Tak, na tym samym placu, gdzie prawie 250 lat temu francuscy rewolucjoniści zgilotynowali króla, a potem wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Teraz na tym placu, naznaczonym krwią ofiar rewolucyjnego szaleństwa, papież odprawił mszę przed – według niektórych szacunków – ponad milionem osób, wzywając w tym miejscu mocy Bożej. Trudno nie zauważyć w tym silnej symboliki duchowej, prawda?

Dzień wcześniej papież stanął przed katedrą Notre Dame, która miała pozostać jednym z wizualnych symboli europejskiego chrześcijaństwa aż do końca świata, dopóki kilka lat temu nie strawił jej pożar. Tak więc Leon XIV stanął przed odnowioną katedrą paryską,

Fot. IMAGO/VATICAN MEDIA/Catholic Press Photo/East News

eprasa.pl 8eeaf69eb0

przed figurą Maryi z Dzieciątkiem Jezus w ramionach, i zaśpiewał „Salve Regina", jedną z najpiękniejszych pieśni w tradycji katolickiej, poświęconą Matce Bożej. Dziesiątki tysięcy wiernych zgromadzonych przed katedrą śpiewało razem z nim, podobnie jak prawdopodobnie miliony, które oglądały tę scenę za pośrednictwem różnych mediów. Leon XIV płakał, a wielu razem z nim.

Wśród nich był Rod Dreher, kiedyś katolik, dziś amerykański prawosławny, który tak opisał ten moment: „To właśnie w tej katedrze, 10 listopada 1793 r., bluźnierczy rewolucjoniści zburzyli ołtarz i czcili »boginię rozumu«. Gdzież jest ta »bogini rozumu«? Gdzie są rewolucjoniści? Wszyscy martwi. Dziś ołtarz został przywrócony, oddaje się tam cześć Bogu, a pośród wiernych stoi Matka Boża – promieniując chwałą swego Syna – podczas gdy płaczący papież i zgromadzony tłum śpiewają Jej pieśni pochwalne, błagając, by prowadziła ich do Jezusa".

CZY WIZYTA PAPIEŻA PRZYNIESIE POROZUMIENIE?

Wizyta apostolska papieża Leona XIV we Francji, która trwała od 25 do 28 września, była pełna tak mocnych i aż kapiących od symboli obrazów, które obiegły cały świat, wywierając na nim ogromne wrażenie. Gdziekolwiek się udał, był entuzjastycznie witany przez tłumy. Atmosfera zaskoczyła zwłaszcza tych, którzy wierzyli w fałszywy stereotyp Francji jako społeczeństwa całkowicie zdechrystianizowanego. Nawet lewicowo-liberalne media musiały pisać o triumfalnej wizycie papieża. To prawda – wizytę tę można już nazwać prawdziwym duchowym triumfem. Dała ona katolikom, a także całemu narodowi francuskiemu, to, co takie wizyty powinny ze sobą nieść – nadzieję.

Mój kolega redakcyjny Dariusz Matuszak w jednej z naszych rozmów porównał tę wizytę apostolską do wizyty św. Jana Pawła II w Polsce w 1979 r. Początkowo myślałem, że przesadza, ale kiedy się nad tym głębiej zastanowiłem, dostrzegłem wiele podobieństw. Nadzieja, którą papież z Polski przyniósł do swojej ojczyzny w 1979 r., jest podobna do tej, którą przyniósł do Francji Leon XIV (a właściwie ten, którego reprezentuje – Jezus Chrystus). Nie chcę porównywać francuskiej demokracji do komunistycznego reżimu PRL. Jest jednak faktem, że Francja pozostaje dziś krajem bardzo podzielonym, a jej mieszkańcy boją się tego, co przyniesie przyszłość. Tak jak wizyta Wojtyły w 1979 r. miała w sobie owoc solidarności, być może ta wizyta przyniesie nową jedność narodową Francuzom, zmęczonym podziałami i polityką niszczącą ich wspólnotę.

> Po dekadach, gdy francuscy katolicy starali się raczej unikać zbyt głośnego zabierania głosu w debatach publicznych, nadszedł czas na nowe pokolenie, które nie boi się spowiedzi na ulicach miast i otwarcie deklaruje swoją wiarę

NOWE OTWARCIE

No i oczywiście jest kwestia Kościoła we Francji, który przeżywa obecnie swoją wiosnę. Od kilku lat różni publicyści katoliccy piszą o wyraźnych tendencjach rozwoju i odnowy duchowej lokalnego Kościoła. Trzeba być realistą – odsetek Francuzów praktykujących wiarę katolicką wciąż jest stosunkowo niski i stanowi od 5 do 8 proc. Obserwujemy jednak wzrost liczby dorosłych powracających do Kościoła lub wstępujących do niego po raz pierwszy. W 2026 r. ochrzczono ok. 8,2 tys. nastolatków i 13,2 tys. dorosłych. Oznacza to wzrost o 20 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Warto również odnotować, że 42 proc. dorosłych ubiegających się o chrzest to osoby w wieku 18–25 lat, co odzwierciedla otwartość pokolenia Z na wiarę religijną.

– Cóż, okazuje się, że katolicka Francja, choć mniejszościowa, jeszcze nie zginęła – mówi nam Olivier Bault, francuski dziennikarz i publicysta od kilkudziesięciu lat mieszkający w Polsce. – Katolicka Francja jest młoda i pełna życia, a przy tym chętnie śpiewa pieśni po łacinie i spowiada się bez żenady, jak mogliśmy zobaczyć na Polach Elizejskich przy okazji przyjazdu Ojca Świętego. Mówię o tym, ponieważ sakrament pokuty i pojednania został wcześniej porzucony przez poprzednie pokolenie, a księża rzadko upominali wiernych w tej sferze. Sam miałem jednak okazję obserwować w ostatnich latach, jak ten sakrament staje się znowu obecny, wraz z coraz większą obecnością rodzin z dziećmi i młodych we francuskich kościołach. Nieliczni lewicowi politycy i komentatorzy nie kryli oburzenia, bo te spowiedzi i modlitwy na Polach Elizejskich to przecież zamach na republikańską laickość w sferze publicznej. Jednak większość polityków i mediów, również po lewej stronie, wyrażała w pozytywnym tonie swoje zaskoczenie radosnym przyjęciem Leona XIV przez tak liczne tłumy.

Bault ostrzega jednak przed euforią. – Mówi się oczywiście o bardzo dynamicznym wzroście liczby chrztów nastolatków i dorosłych. Jest to również związane ze spadkiem liczby chrztów niemowląt, ponieważ zwiększa się pula nastolatków i dorosłych, którzy mogą potencjalnie prosić o chrzest. No ale to, że tyle osób niewychowanych w katolickich rodzinach puka do drzwi Kościoła, to jednak coś – mówi nam Francuz, odnosząc się do jednej ważnej informacji. – Jest statystyka, która dobrze oddaje francuską rzeczywistość: według Konferencji Episkopatu Francji w 1990 r. było 25 tys. księży diecezjalnych, a w 2023 r. – już niecałe 9 tys. Z kolei wśród młodych księży ponad połowa odprawia czasami lub często starą liturgię, a młodzi księża chętniej chodzą w sutannie niż starsi. Ogólnie sytuacja wygląda tak, że katolików jest dużo mniej niż kilkadziesiąt lat temu, ale ich liczba przestała spadać. Wśród młodych jest ich coraz więcej, a młode pokolenie francuskich katolików nie boi się mówić głośno o swojej wierze. Dzięki nim Kościół we Francji zaczyna znowu ewangelizować.

Autopromocja

eprasa.pl 8eeaf69eb0

I właśnie o to chodzi. Po dekadach, gdy francuscy katolicy starali się raczej unikać zbyt głośnego zabierania głosu w debatach publicznych, nadszedł czas na nowe pokolenie, które nie boi się spowiedzi na ulicach miast i otwarcie deklaruje swoją wiarę.

„Od tej wizyty oczekuję przede wszystkim tego, że pomoże ona trwale położyć kres nieśmiałości w kwestii wiary – zwłaszcza wśród biskupów" – powiedział w rozmowie z mediami Corentin Dugast, katolicki autor. Jego słowa dobrze wyrażają wrażliwość nowego pokolenia katolików znad Sekwany.

W KONFLIKCIE Z MACRONEM

Leon XIV dał podczas swojej wizyty doskonały przykład tego, jak katolik powinien zachowywać się wobec władz, w tym tych, które uchwalają antychrześcijańskie i antyludzkie prawa. Najpierw – jak donosiły francuskie media – odmówił przyjęcia orderu Legii Honorowej, następnie nie zgodził się na oficjalny lunch z prezydentem Emmanuelem Macronem i odrzucił możliwość wygłoszenia przez niego przemówienia przed rozpoczęciem mszy świętej w katedrze Notre Dame. Wszystko to miało na celu nadanie jego wizycie wyłącznie duchowego znaczenia, a nie przekształcenie jej w chwyt dyplomatyczny.

Jednocześnie papież przy każdej okazji potępiał aborcję i eutanazję, które Francja ostatecznie zalegalizowała w czerwcu. W swoim przemówieniu podczas spotkania z Macronem w Pałacu Elizejskim bronił ochrony życia od poczęcia do naturalnej śmierci.

Nawiasem mówiąc, prezydent Francji, prawdopodobnie rozgniewany odrzuceniem jego propozycji, ogłosił, że nie będzie obecny na mszach świętych. Zmienił zdanie i podczas ostatniego nabożeństwa w Metz, w trakcie ostatniego dnia wizyty, usiadł z żoną w pierwszej ławce.

– Francuski prezydent nie tylko nie jest osobą wierzącą, ale od początku swojej prezydentury okazuje wrogość i pogardę wobec chrześcijaństwa. Swoim zwyczajem zachował się dziecinnie: najpierw się obraził i poinformował, że nie będzie uczestniczył w żadnej mszy, a kiedy zobaczył, że Leon XIV jest od niego dużo bardziej popularny i przyciąga tłumy, a do tego francuskie media tak dobrze o nim mówią, widocznie stwierdził, że musi jednak pojechać i pokazać się na chwilę w świetle reflektorów – mówi Bault.

Oto, jak papież skomentował czuwanie na Stade de France, jeszcze jednym z ważnych wydarzeń w czasie jego wizyty. „Ci młodzi śpiewali i wołali, ale potrafili także trwać w ciszy i słuchać. Z radością powiedziałem im: »Jesteście świętymi Francji!«. Tamto czuwanie było wielkim znakiem nadziei".

Cała jego wizyta była znakiem tej nadziei.



eprasa.pl 8eeaf09eb0



Rasizm à rebours

„Jesteśmy tu, by zabić białych Francuzików!" – mieli krzyczeć pochodzący z imigracji sprawcy zabójstwa 16-letniego rugbisty na francuskiej prowincji. Sędziowie śledczy w bezprecedensowym kroku postanowili dorzucić do aktu oskarżenia zarzut o rasizm przeciwko białym



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Był energicznym młodym człowiekiem, lubianym przez przyjaciół, bezproblemowym i bardzo mądrym". Tymi słowami matka 16-letniego Thomasa Perotto, zabitego trzy lata temu w Crépol w departamencie Drôme, opisała swojego syna na łamach magazynu „Paris Match". Dopiero trzy dni po zabójstwie Isabelle mogła zobaczyć ciało swojego dziecka. „Zabrali mi mojego Thomasa. To kompletne szaleństwo" – zaznaczyła. „Thomas dopiero niedawno zaczął wychodzić wieczorami. Tego lata pozwoliliśmy mu pójść na kilka wiejskich potańcówek" – dodała.

Crépol to mała wiejska gmina, licząca ok. 500 mieszkańców i położona w malowniczej dolinie pomiędzy Lyonem a Grenoble. Miejsce mogłoby się wydawać spokojne, niedotknięte problemami trapiącymi duże aglomeracje miejskie. W listopadowy sobotni wieczór w 2023 r. przemoc wkradła się jednak do Crépol. W remizie odbywał się tzw. bal zimowy. Thomas znał większość jego uczestników. Było ich 300, może 400. Tym razem na bal zjechała również młodzież z dzielnicy La Monnaie, głównego osiedla mieszkań socjalnych w pobliskim Romans-sur-Isère, liczącym 34 tys. mieszkańców. Dzielnicy notorycznie zaludnionej przez osoby pochodzenia imigranckiego. To priorytetowa strefa edukacyjna (ZEP), w której 31 proc. populacji stanowią obcokrajowcy – w porównaniu z 8 proc. w pozostałych częściach miasta.

JESTEŚMY TU U SIEBIE

Młodzież ta przybyła wyposażona w noże i żelazne pręty. Nie wpuszczono ich do środka. Gdy bal się kończył i jego uczestnicy wychodzili z sali, zaczęli w nich rzucać kamieniami. Potem w ruch poszły noże. Thomas i jego znajomi, otoczeni, próbowali się bronić. Cztery osoby zostały ciężko ranne, w tym Thomas. Zmarł w karetce w drodze do szpitala.

Pod koniec br. odbędzie się proces sprawców. 11 mężczyzn będzie odpowiadało przed sądem dla nieletnich w departamencie Drôme za zabójstwo i usiłowanie zabójstwa, a kolejny za napaść z nożem w ręku. Dodatkową okolicznością obciążającą oskarżonych jest rasizm. „Był on skierowany przeciwko rasie białej i narodowi francuskiemu" – głosi akt oskarżenia. „Ta klasyfikacja jest zupełnie bezprecedensowa we Francji w sprawie o zabójstwo" – podkreślił w rozmowie z programem „20 minutes" Evan Raschel, profesor prawa karnego na Uniwersytecie Clermont Auvergne. „To będzie moment naprawdę historyczny, gdy sąd wyda wyrok na tej podstawie" – dodał.

O rasizmie przeciwko białym dyskutuje się we Francji od lat. Według sondażu instytutu CSA z 2022 r. 8 na 10 Francuzów uważa, że w niektórych społecznościach istnieje rasizm wobec białych. O tym rasizmie mówili także wielokrotnie samorządowcy różnych opcji politycznych. Kilka lat temu polityk socjalistów Boris Venon zrezygnował ze stanowiska zastępcy burmistrza Les Mureaux w departamencie Yvelines po ciągłych groźbach śmierci oraz homofobicznych i rasistowskich obelgach. „Biały człowieku, opuść nasze miasto, my tu jesteśmy u siebie" – słyszał od mło-

Fot. Olivier Chassignole/AFP/East News

eprasa.pl 8eeaf69eb0

dych z tłem migracyjnym, gdy odważył się wyjść na ulice „wrażliwej" dzielnicy Les Musiciens. Od 40 lat nad Sekwaną powtarzające się cyklicznie zamieszki zdominowane są przez młodych ludzi z imigranckich gett, którzy atakują symbole państwa: ratusze, ośrodki społeczne, szkoły, posterunki policji. Swobodnie wyrażają przy tym nienawiść do Francji.

SIEDLISKA PRZESTĘPCZOŚCI

Polityka państwa nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Na poprawę warunków mieszkaniowych i udogodnień w imigranckich dzielnicach wydano ponad 100 mld euro. Mieszkania są lepszej jakości, istnieją centra kultury, szkoły, uczelnie, linie autobusowe. Bez skutku. A przemoc rozlewa się coraz częściej z miast do mniejszych ośrodków, docierając nawet do małych wsi jak Crépol. Już w 2020 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych opublikowało notatkę, w której stwierdziło, że przestępczość rośnie obecnie szybciej w miejscowościach liczących 10 tys. mieszkańców i mniej niż w dużych miastach. Były prefekt Michel Aubouin opisywał w swojej książce „40 lat w gettach", jak osiedla socjalne, które w latach 80. XX w. służyły jeszcze francuskiej klasie robotniczej, stały się siedliskami przestępczości oraz tymczasowym zakwaterowaniem dla imigrantów, gdzie „tylko dealerzy płacą czynsz na czas". A ponieważ prawo wymaga, by takie osiedla mieszkalne powstały w każdej gminie powyżej 3,5 tys. mieszkańców, dziś można je znaleźć wszędzie i wszędzie wyglądają tak samo. Są to miejsca naznaczone narkotykami, islamizacją i przemocą.

WAŻNA SYMBOLIKA

W sprawie Crépol dodanie okoliczności obciążającej w postaci rasizmu przeciwko białym nastąpiło pod sam koniec śledztwa, we wrześniu, dzięki staraniom trzech prawników reprezentujących strony cywilne. Mecenasi Jérôme Triomphe, Denis Dreyfus i Alexandre Farelly nalegali, aby sędziowie śledczy ponownie zbadali zeznania świadków. 19 osób obecnych na miejscu twierdziło, że sprawcy mówili o „polowaniu na białych" oraz „zabijaniu gównianych Francuzików". Prokuratura


Thomas Perotto

uznała te zeznania za „nieliczne, czasami nieprecyzyjne, a nawet sprzeczne" i sprzeciwiła się dodaniu rasizmu do aktu oskarżenia. We Francji sędziowie śledczy są jednak niezależni i to do nich należy sformułowanie zarzutów oraz znalezienie dowodów obciążających lub przeciwnie, odciążających oskarżonych. Z powodu zmowy milczenia sprawców do dziś nie udało się ustalić, który z nich zadał Thomasowi śmiertelny cios.

Obrońcy są oburzeni, że ich klienci zostali oskarżeni o rasizm. Jak pisze „Le Nouvel Observateur", dla nich „istnieje on tylko w stosunku do mniejszości etnicznych". Wtórowali im niektórzy eksperci, uważający, że widać tu „wolę polityczną" i ślad „skrajnie prawicowego dyskursu", który dąży do „narzucenia swojego światopoglądu" i potrzebuje do tego „przekaźników". Po mediach i arenie politycznej, system sprawiedliwości podąża – ich zdaniem – śladami logiki policyjnej, „którą wcześniej odrzucił". „Będąc białym, nie można być ofiarą rasizmu, ponieważ rasizm jest powiązany z dominacją. To logika strukturalna. Jeśli ktoś nazwie mnie »brudnym białym«, nie będzie to miało żadnych konsekwencji. Bo historycznie bycie białym nie jest piętnem" – podkreślił socjolog Éric Fassin.

Cyfrowe śledztwo ujawniło jednak, że członkowie grupy z La Monnaie czynili wyraźną dystynkcję pomiędzy sobą a „Francuzami". W dyskusjach na Snapchacie mówili także o polowaniu na Żydów oraz policjantów. Podkreślali, że „wszystkich nienawidzą". Technicznie rzecz biorąc ta okoliczność obciążająca nie oznacza wyższych kar. Mamy do czynienia z symboliką. Ale ta symbolika jest bardzo ważna dla ofiar, szczególnie dla rodziny Thomasa.

NIECH TOCZY SIĘ DEBATA

„Istnienie rasizmu wobec białych, tak długo ukrywanego, minimalizowanego, a nawet negowanego, nie jest już tematem tabu. Nie do pomyślenia było, aby ta sprawa została pozbawiona tak istotnego elementu" – podkreślił mec. Triomphe, który otrzymał wsparcie od Powszechnego Sojuszu przeciwko Rasizmowi i na rzecz Poszanowania Tożsamości Francuskiej i Chrześcijańskiej (AGRIF) oraz lokalnego posła Thibauta Monniera, współpracownika Marion Maréchal, przewodniczącej partii Identité-Libertés. Jeszcze cztery lata temu Zjednoczenie Narodowe miało w departamencie Drôme ok. 20 proc. poparcia. Teraz jest to prawie 50 proc.

Półtora roku temu kilka metrów od ratusza w Crépol odsłonięto stelę poświęconą 16-letniemu rugbiście. Co roku w rocznicę zabójstwa Thomasa ludzie składają tu kwiaty. „W ciągu dwóch lat wynik Zgromadzenia Narodowego wzrósł tu ponad dwukrotnie. Co wydarzyło się w tym czasie? Bal z 18 listopada 2023 r. Do tego dochodzi obrzydzenie systemem sprawiedliwości" – podkreślił Monnier w rozmowie z „Le Figaro". Według niego ludzie są zniesmaczeni tym, że w mediach zrobiono z nich prawicowych ekstremistów tylko dlatego, że wskazali na ewidentny rasizm i nienawiść sprawców do białych, rdzennych Francuzów. Tak zniesmaczeni, że zaczęli się domagać ich ponownego przesłuchania. Podczas tych przesłuchań sprawcy nie potrafili powiedzieć, dlaczego dzielą świat na „Arabów" i „Francuzów" oraz mieli wyraźne trudności z odpowiedzią na pytanie, czy kochają Francję. W końcu postawiono im zarzut rasizmu, przeciwko czemu ich prawnicy złożyli protest. Został odrzucony, ale zapewne będą kolejne.

Dlaczego sędziowie śledczy zdecydowali się na ten krok? Według francuskich mediów w środowisku sędziowskim mówi się o chęci dopuszczenia do debaty, także na poziomie prawnym, o zjawisku, które sądy i prokuratury ignorują, ale które dla większości Francuzów jest jak najbardziej realne.

Fot. x.com

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Opus Dei kontra biskup

Instytucja założona przez św. Josemarię Escrivę de Balaguera znajduje się obecnie w konflikcie z wpływowym hierarchą kościelnym. Stawką sporu jest przyszłość sanktuarium maryjnego w Hiszpanii



GRZEGORZ GÓRNY

Opus Dei od momentu utworzenia było obiektem wielu zarzutów, ataków i oskarżeń. Instytucję założoną przez św. Josemarię Escrivę de Balaguera przedstawiano jako „katolicką masonerię", „kościelną ośmiornicę" czy „tajną organizację wpływającą zakulisowo na politykę". Klasycznym przykładem stereotypów krążących wokół Dzieła Bożego była słynna produkcja hollywoodzka „Kod Leonarda da Vinci".

HANDEL LUDŹMI I DUCHOWE MANIPULACJE

W tym samym duchu utrzymana jest książka brytyjskiego dziennikarza Garetha Gore'a „Opus Dei. Brudne pieniądze, handel ludźmi i skrajnie prawicowa organizacja kościelna", która ukazała się ostatnio także na naszym rynku wydawniczym. Różni się ona od innych publikacji tym, że do standardowego zestawu zarzutów z katalogu teorii spiskowych dodaje nowy: handel ludźmi. Autor powołuje się na sytuację z Argentyny, gdzie 44 byłe numerariuszki Opus Dei złożyły pozew zbiorowy przeciw swej niegdysiejszej instytucji macierzystej. To najczęściej osoby pochodzące z ubogich środowisk, które w latach 70., 80. i 90. XX w. były zatrudniane w ośrodkach Dzieła do prac pomocniczych. Nie zostały objęte ubezpieczeniem społecznym, co w tamtych czasach było w Argentynie powszechną praktyką. Gdy przeszły na emeryturę, znalazły się w trudnej sytuacji finansowej, więc zaskarżyły swego byłego pracodawcę. Gore nie wspomina jednak, że Opus Dei przyznało się do uchybień w tej sprawie i zawarło ugody niemal ze wszystkimi kobietami, przyznając rekompensatę finansową. W jego książce spór pracowniczy przekształcił się jednak w „handel ludźmi".

Innego rodzaju oskarżenia padły z kolei w serialu dokumentalnym HBO Max „Heroiczna minuta", w którym byłe członkinie Opus Dei opowiadały o swych negatywnych doświadczeniach w tej instytucji, m.in. presji wywieranej na umartwianie się. Oczywiście w każdym środowisku mogą zdarzyć się przypadki manipulacji ze strony przełożonych. Trzeba pamiętać, że charyzmat Dzieła zakłada rozwój duchowy także poprzez praktyki ascetyczne i stawianie sobie większych wymagań. Musi być w tym jednak dobrowolność, a nie przymus. Właściwe kierownictwo duchowe polega na tym, by nie przekroczyć tej cienkiej granicy. Opus Dei nie jest tutaj wyjątkiem – to wyzwanie obecne w wielu zgromadzeniach i zakonach.

Prałatura personalna przyznała, że owszem, zdarzały się jednostkowe nadużycia w tej sferze, ale nie mogą one prowadzić do krzywdzących uogólnień dotyczących całej instytucji (analogicznie: przypadki wykorzystywania zawodniczek przez trenerów nie mogą prowadzić do zakwestionowania sensowności funkcjonowania klubów sportowych).



Matka Boża Anielska z Torreciudad

Znacznie poważniejszym problemem dla Opus Dei jest jednak konflikt, który wybuchł niedawno wewnątrz Kościoła.

PRZEJĄĆ GLOBALNE SANKTUARIUM

Spór dotyczy sanktuarium Matki Bożej Anielskiej w Torreciudad u podnóża hiszpańskich Pirenejów. Od XI w. rozwijał się tam kult maryjny związany ze starą pustelnią z drewnianą romańską figurą Madonny. W 1902 r. przybyła tam mieszkanka pobliskiego Barbastro – Dolores Albás Blanc, która przyniosła przed oblicze Maryi swojego dwuletniego syna. Chłopiec był ciężko chory, jednak po modlitwach do Najświętszej Panienki wyzdrowiał, dlatego kobieta zjawiła się w pustelni, by podziękować za uratowanie dziecka i zawierzyć jego życie Matce Bożej Anielskiej.

Chłopcem, który odzyskał wówczas zdrowie, był św. Josemaría Escrivá de Balaguer. Po latach postanowił okazać swą wdzięczność Maryi. W 1962 r. kierowana przez niego instytucja zawarła umowę z bp. Jaimem Floresem, ordynariuszem diecezji Barbastro. Na mocy

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 8eeaf69eb0

porozumienia Opus Dei uzyskało prawo wieczystego użytkowania pustelni i figury Maryi w Torreciudad. W zamian odrestaurowało pustelnię i rzeźbę oraz wybudowało obok duży kościół, do którego w 1975 r. przeniesiono posąg Madonny. W ten sposób lokalne miejsce kultu maryjnego zamieniło się w globalne sanktuarium, które odwiedziło już ponad 10 mln pielgrzymów.

Współpraca między diecezją Barbastro a Opus Dei układała się bezproblemowo do 2022 r., gdy bp Ángel Javier Pérez Pueyo rozpoczął spór z prałaturą personalną. Najpierw podważył umowę z 1962 r., potem mianował własnego rektora sanktuarium bez porozumienia z Opus Dei, a w końcu wszczął postępowanie cywilne mające na celu odzyskanie pustelni i figury. Media katolickie w Hiszpanii pisały wprost, że celem hierarchy jest przejęcie sanktuarium przez diecezję i usunięcie stamtąd Opus Dei. Prałatura wyraziła sprzeciw, ordynariusz odwołał się więc do Stolicy Apostolskiej, która mianowała specjalnego komisarza z uprawnieniami do zarządzania Torreciudad. Wielu komentatorów uważało, że wynik watykańskiej interwencji jest z góry przesądzony, ponieważ bp Pérez Pueyo nie ukrywał, iż ma poparcie samego Franciszka.

ULTIMATUM BISKUPA BARBASTRO

Śmierć papieża Bergoglia i wybór Leona XIV zmieniły sytuację. Nie bez znaczenia był fakt, że w latach 2014–2023 bp Robert Prevost stał na czele diecezji Chiclayo w Peru, którą wcześniej przez 46 lat (od 1968 do 2014 r.) kierowali hierarchowie należący do Opus Dei. Przyszły papież miał więc okazję poznać tę instytucję z bliska. Wiadomo, że współpraca między nimi układała się pozytywnie.

Wraz z nowym pontyfikatem żądania diecezji wobec prałatury personalnej zostały mocno ograniczone, choć zarazem zaostrzeniu uległ ton wypowiedzi bp. Péreza Pueyo. Ostatnio wydał on niezwykle konfrontacyjne oświadczenie, w którym stwierdził, że przeniesienie rzeźby ze starej pustelni do nowego kościoła odbyło się niezgodnie z prawem i nie ma żadnego dokumentu potwierdzającego legalność tego kroku. Dodał, że nie rości sobie pretensji do kontroli nad majątkiem sanktuarium ani jego finansami, lecz zależy mu tylko na jednym – by figura powróciła do pustelni. Powiedział, że może zrezygnować ze wszystkich roszczeń wobec Opus Dei z wyjątkiem jednej: „Jest jednak jedna rzecz, której ta diecezja nie może porzucić, której dzieci nie mogą się wyrzec: to ich Matka, Matka Boska Anielska z Torreciudad".

Hierarcha zagroził, że prędzej poda się do dymisji i zrezygnuje z kierowania diecezją, niż zaakceptuje porozumienie pozostawiające rzeźbę w nowej świątyni. Zwracając się do swych wiernych, powiedział: „Bądźcie pewni, że wasz pasterz nigdy nie podpisałby się pod tak niewyobrażalnym zamachem na waszą godność. Gdyby do tego doszło, to z lojalności wobec naszego ludu oddałbym swój urząd do dyspozycji".

> Opus Dei od momentu utworzenia było obiektem wielu zarzutów, ataków i oskarżeń. Instytucją założoną przez św. Josemaríę Escrivę de Balaguera przedstawiano jako „katolicką masonerię", „kościelną ośmiornicę" czy „tajną organizację wpływającą zakulisowo na politykę"

Powyższe oświadczenie było związane z postawą papieskiego komisarza, który już za obecnego pontyfikatu zmienił swoje stanowisko. Bp Pérez Pueyo żalił się: „W ciągu tych miesięcy byłem świadkiem, jak pełnomocnik ds. Torreciudad przekształcił się w swego rodzaju mediatora między nimi [Opus Dei] a diecezją, jakby ta wspólnota [diecezja], oczekująca sprawiedliwości, musiała godzić się na ustępstwa, zamiast bronić swoich praw".

CO ZROBI LEON XIV?

W odpowiedzi Opus Dei wydało oświadczenie, odrzucając „możliwość określenia tego, co się wydarzyło, jako kradzież, przywłaszczenie lub nielegalne przetrzymywanie, jak zasugerował biskup Barbastro". Według prałatury przeniesienie figury z pustelni do nowego kościoła odbyło się zgodnie z prawem, co poświadcza zarówno akt notarialny z 1962 r., jak i umowa między diecezją a Opus Dei z 1966 r. „Spór prawny nie może stać się bezpodstawnym, obraźliwym oskarżeniem", czytamy w oświadczeniu.

Niemal w tym samym czasie lewicowy dziennik „El País", słynący ze swego antyklerykalizmu, upublicznił treść kilku prywatnych, nieznanych do tej pory nikomu listów Franciszka do bp. Péreza Pueyo. Argentyński papież miał w nich zachęcać ordynariusza diecezji Barbastro, by ten nie poddawał się, ostrzegając go zarazem przed „mafijnymi intrygami" wokół Torreciudad. Skoro jedynym adresatem i właścicielem tych pism był wspomniany dostojnik, trudno nie dojść do wniosku, że to właśnie on stał za przekazaniem gazecie papieskiej korespondencji.

Swym postępowaniem bp Pérez Pueyo postawił Leona XIV w niezręcznej sytuacji. *De facto* wystosował bowiem ultimatum, że jeśli papież nie spełni jego żądań, wówczas poda się do dymisji. To rodzaj publicznego szantażu, który wymaga od zwierzchnika Kościoła określonej reakcji. Jeśli Leon XIV przyjmie warunki stawiane mu przez biskupa, pokaże, iż na papieża można skutecznie wywierać presję i wymuszać korzystne dla siebie decyzje. Jeśli stanie z kolei po stronie Opus Dei i przyjmie rezygnację Péreza Pueyo, pokaże, iż nie szanuje woli swojego poprzednika i nie uznaje jego decyzji za wiążące dla siebie. Możliwe jest też oczywiście trzecie wyjście, czyli przeciąganie mediacji i odwlekanie decyzji w nieskończoność – najlepiej do 2031 r., gdy ordynariusz Barbastro przejdzie na emeryturę. Jak będzie, zobaczymy już wkrótce.

eprasa.pl 8eeaf69eb0

ONZ – Organizacja Narodów Zwiedzionych

Organizacja Narodów Zjednoczonych oszukała ludzkość. Zamiast budować ład międzynarodowy, pomagać rozwiązywać konflikty, stała się monstrualnym tworem do narzucania światu globalnych ideologii





DARIUSZ MATUSZAK

W tym rytuale uczestniczą nawet sceptycy i najwięksi przeciwnicy. Co roku we wrześniu do Nowego Jorku zlatują się przywódcy państw, a także domniemani liderzy duchowi, artyści, manipulatorzy świadomością mas, by wziąć udział w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ. Owo zlatywanie się należy traktować dosłownie, bo znany jest tylko chyba jeden przypadek, gdy ktoś przypłynął na spotkanie władców Ziemi.

Była to Greta Thunberg w 2019 r., wówczas jeszcze tylko niezrównoważona nastolatka, młoda prorokini globalnej zagłady od globalnego ocieplenia. Szwedka odbyła rejs jachtami, ale by jej podróż była ekologiczna, to dwie zmiany po czterech członków załogi łodzi musiało w tę i nazad latać nad Atlantykiem. Kiedy dorwała się do mikrofonu, wykrzyczała w oczy wielce dostojnym zgromadzonym: „Ludzie umierają. Upadają całe ekosystemy. Jesteśmy na początku masowego wymierania, a jedyne, o czym potraficie mówić, to pieniądze i bajki o bezustannym wzroście gospodarczym. Jak śmiecie?!”.

Histeryczna przygoda panny Grety jest do pewnego stopnia symbolem tego, czym stała się ONZ. Opanowali ją wyrachowani szaleńcy, z którymi współpracuje wielu na wpół obłąkanych, co udowodnimy w tekście. Sesja jest niepowtarzalną okazją, by im i całemu światu przekazać nie tylko brednie, jak te wypowiadane przez Thunberg, lecz także prawdę. Wybraliśmy dwa przemówienia, które wskazują na to, czym

eprasa.pl 8eeaf69eb0

staje się ONZ i jaki jest mentalny porządek organizacji.

OPOWIEŚĆ O KRWAWEJ ROSJI

We wrześniu br. prezydent Karol Nawrocki wykorzystał Zgromadzenie Ogólne, by niedouczonym, ideologicznie zaślepionym przywódcom – głównie z Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej – mówić o Rosji. Wśród nich bowiem (jak i w części Europy Zachodniej) nadal panuje przekonanie, iż Związek Sowiecki był oswobodzicielem uciśnionych ludów i taka jest również następczyni tego krwawego reżimu – krwawa Rosja.

„W chwili, gdy tworzono fundamenty ONZ, mój naród, ofiara dwóch totalitaryzmów, znajdował się pod dominacją jednego z nich – sowieckiej Rosji, a po paroletniej niszczycielskiej okupacji drugiego – Niemiec. Tysiące polskich bohaterów, którzy walczyli o wolność Europy i całego świata, były wówczas więzione, torturowane i skazywane na śmierć. ONZ już wtedy istniało. Jednocześnie państwo odpowiedzialne za te zbrodnie współdecydowało o kształcie powojennego ładu jako stały członek Rady Bezpieczeństwa – mówił prezydent Nawrocki. – Od wielu lat przedstawiciele mojego państwa próbują […] wskazywać, że sytuacja, gdy stały członek, Rosja, usiłuje bezskutecznie, lecz z pełnym okrucieństwa uporem, podbić sąsiednie państwo i zdestabilizować cały region, jest zaprzeczeniem zasad, które wyznajemy jako sygnatariusze Karty Narodów Zjednoczonych. […] Rosja destabilizuje sytuację w Europie poprzez jawną napaść, prowadzenie operacji hybrydowych, aktów dywersyjnych i sabotażu, a także ignorując kolejne rezolucje tego zgromadzenia. Wykazuje się tą samą imperialną pychą, która w przeszłości prowadziła do niewyobrażalnych cierpień oraz tragedii dwóch wojen światowych […]. Federacja Rosyjska, kierując się imperialną i neokolonialną wizją świata, próbuje narzucić innym swoją wolę. […] Polska jest szczególnie świadoma konsekwencji rosyjskiego kolonializmu i imperializmu".

Wyobrażenie wielkiej części świata, iż Rosja – jak Związek Sowiecki – to wyzwoliciel zniewolonych narodów, ma dramatyczne konsekwencje. Choćby w Afryce, opanowywanej przez jej najemników, czy we współpracy Rosji, Brazylii, Indii, Iranu, Chin i kolejnych kilkunastu państw w ramach organizacji BRICS, która rzuciła gospodarcze wyzwanie Zachodowi. Uświadamianie, czym w istocie jest Rosja, czym są i były zbrodnie jej oraz komunizmu, na czym polega lewicowe szaleństwo to obowiązek każdego przywódcy państwa polskiego, choćby była to droga przez mękę czy syzyfowa praca.

A teraz obiecany dowód. Wystąpieniu prezydenta przysłuchiwał się na sali minister Radosław Sikorski, który stwierdził, że Karol Nawrocki, nie wspominając o Ukrainie albo mówiąc o czymś, o czym nie powinien, złamał konstytucję RP. Dokładnie nie wiadomo, o co Sikorskiemu chodzi, poza tym, że prezydent powinien wygłaszać przemówienia zatwierdzane przez niego. „Zabrakło Ukrainy, to bardzo dziwne. W przemówieniu prezydenta pojawiły się elementy ideologiczne niezwiązane z tematem obrad. […] Jestem przekonany, że pan prezydent widzi zagrożenie ze strony Rosji, ale na sentymentach sterowanych z zewnątrz przeciwko Ukrainie próbuje zwiększać swoje poparcie. To jest niefortunne. To, że mamy taki rozdźwięk, jest złamaniem konstytucji" – powiedział Sikorski w Polskim Radiu 24. Dziękuję za uwagę, temat zamknięty.

Do przedstawienia racji własnego narodu trybunę ONZ wykorzystał prezydent Argentyny. Javier Milei domaga się od Wielkiej Brytanii przekazania Falklandów, a co najmniej negocjacji na temat przyszłości Malwinów – tak Argentyńczycy nazywają wyspy leżące w odległości 500 km od ich kraju. Czy światu grozi konflikt na południowym Atlantyku? Można spekulować, ale jedno jest pewne: gdyby Argentyna zdecydowała się na taką akcję jak w 1982 r. i zajęła wyspy, to Albion znajduje się w tak lichej kondycji, że nie byłby w stanie posłać swej armady i żołnierzy, by je odbić. Tak wynika z raportów Komisji Obrony i Izby Gmin.

PASOŻYTY LEWIATANA

Ale to nie z powodu tych leżących na krańcach świata terytoriów zostanie zapamiętane przemówienie El Loco (szaleńca, wariata), jak pieszczotliwie określają prezydenta Argentyńczycy.

Milei stanął naprzeciw wielce szanownego zgromadzenia ONZ i wypalił: „Ta organizacja stała się bezużyteczną instytucją, która służy jedynie do karmienia kasty pasożytów – obrzydliwie aroganckich, przebranych za dobrze myślących biurokratów. Ci, którzy powinni gwarantować bezpieczeństwo zbiorowe i prawa człowieka, zawiedli i dopuścili do chaosu, przemocy i międzynarodowego terroryzmu. Domniemani obrońcy praw człowieka chronili krwawe dyktatury i reżimy, które kamienują kobiety na ulicach. Systematycznie głosowali przeciwko Izraelowi, zachowując milczenie wobec islamskiego terroryzmu i ludobójstw chrześcijan w Afryce".

Są oceny, lecz są również fakty. Np. o kaście i pasożytach. I tak Christiana Figueres, córka trzykrotnego prezydenta Kostaryki, przez lata była jedną z najważniejszych figur w ONZ – sekretarzem wykonawczym Ramowej Konwencji Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu (UNFCCC). Saima Wazed, córka byłej premier Bangladeszu Sheikh Hasiny, jest szefem Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) na Azję. 30-letnia Zaima Rahman, córka premiera Bangladeszu, jest jednym z szefów biur prawnych ONZ. Premierem była też babcia Zaimy, a dziadek – prezydentem. Pół rodziny byłego sekretarza generalnego ONZ Ban Ki-moona pracowało w UNICEF i na misjach. Córka Johna Kerry'ego, byłego sekretarza stanu za Obamy i szefa Rady Bezpieczeństwa Narodowego u Bidena, została specjalnym przedstawicielem WHO ds. zdrowia i klimatu. Przykładów można podać setki i tylko nasz Szymon Hołownia się nie załapał. Tak czy owak, nepotyzm i kastowość mają się w ONZ znakomicie.

Fakty o Izraelu: w latach 2015–2024 Zgromadzenie Ogólne ONZ uchwaliło 173 rezolucje potępiające ten kraj i łącznie 80 przeciwko wszystkim innym państwom i zbrodniczym organizacjom świata. Potępiające rezolucje Rady Praw Człowieka ONZ od momentu powstania w 2006 r.: Izrael – 112, reszta świata – 103. Jeśli ktoś – jak Mentzen albo Biejat – wierzy, że państwo o powierzchni województwa warmińsko-mazurskiego odpowiada za większość zła na tej planecie, to nie da się z tym nic zrobić, ale wiadomo, że odnalazłby się znakomicie w ONZ.

Przywołując Izrael, Milei wskazał na bardzo istotną rzecz dotyczącą ONZ. Otóż nie zajmuje się ona tym, do czego została powołana. W tym międzynarodowym molochu nikogo nie obchodzi los milionów ofiar na świecie – w Etiopii właśnie

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

eprasa.pl 8eeaf69eb0

wybuchła 23 już wojna domowa od czasów obalenia w 1974 r. cesarza Hajle Syllasje. Prezydent Nawrocki mówił o wymordowanych chrześcijańskich wspólnotach, które trwały blisko 2 tys. lat i bezpowrotnie zniknęły, a z nimi kultura, język i tożsamość całych regionów.

„ONZ zawiodła w tym, co powinna była zrobić, a zbudowała biurokratycznego lewiatana, oddanego decydowaniu o tym, jak mają żyć narody świata i ich obywatele. To osobliwa mieszanka anarchii i tyranii: bezsilność wobec tych, którzy łamią najbardziej podstawowe reguły – krwawych dyktatur i organizacji terrorystycznych oraz orwellowska kontrola i narzucanie ideologii demokracjom, które reguły respektują" – mówił Milei. „Widzieliśmy to przy Agendzie 2030, przy regulacjach gospodarczych, agendach genderowych, ekstremizmie ekologicznym i niekontrolowanej imigracji. A za każdym razem, gdy ponosili porażkę, zamiast zrewidować model lub przeprosić, podwajali stawkę – jak robią teraz z Agendą 2045, o której z góry mówię, że poniesie porażkę".

NIEZRÓWNOWAŻONY NIEDOROZWÓJ

Milei dotknął sedna. Zamiast budować ład międzynarodowy, pomagać rozwiązywać konflikty, ONZ stała się monstrualnym tworem do narzucania światu globalnych ideologii. Z jej pomocą władcy i właściciele świata wyznaczyli zadania dla całej ludzkości, np. by wszyscy jedli to samo w ramach diety planetarnej. Matką wszystkich celów do wypełnienia jest owa Agenda 2030, zmieniona na Agendę 2045, bo już wiadomo, że nic z tego nie będzie. 17 zadań dla ludzkości rozpisanych na 169 szczegółowych w Celach Zrównoważonego Rozwoju (Sustainable Development Goals, SDG). Wśród owych wielkich celów ludzkości są m.in.: likwidacja ubóstwa na planecie, równość genderowa i edukacyjna, zdrowa żywność dla wszystkich, inkluzywne miasta, zrównoważona konsumpcja, czysta energia, pokojowe i inkluzywne społeczeństwa. I to wszystko do 2030 r. Stek haseł i bredni.

Naukowcy ze Sztokholmskiej Szkoły Ekonomicznej i Uniwersytetu Uppsala w raporcie opublikowanym przez wydawnictwo naukowe Taylor & Francis Group piszą: „Teoretyczne podstawy celów zrównoważonego rozwoju są słabe, a kompleksowa teoria zrównoważonego rozwoju nie istnieje. Zamiast tego istnieją różne kwestionowane podejścia teoretyczne i definicje". Świat naukowy nie ma więc pojęcia, czym jest ów zrównoważony rozwój. Nie szkodzi, w preambule SDG napisano: „Jesteśmy zdecydowani uwolnić ludzkość od tyranii biedy i pragnień oraz uzdrowić i zabezpieczyć naszą planetę. Wyruszając w tę wspólną podróż, obiecujemy, że nikt nie zostanie pozostawiony w tyle".

Nad tym szczęściem ludzkości czuwa 37 różnych podmiotów powołanych przy ONZ, które nadzorują robotę w 162 krajach. Dowodzi nimi Grupa ONZ ds. Zrównoważonego Rozwoju. Rocznie na planowanie i pilnowanie ziemskiego raju Grupa wydaje 38–50 mld dol., a na jej czele stoi Amina Mohammed, była minister środowiska Nigerii, zastępca sekretarza ONZ. Zasadniczo zarządzanie ludzkością powierzono tym, którzy w ruinie zostawiają własne kraje. Na razie nie rozstrzygnięto, czy Lagos, największa metropolia Afryki, 21-milionowe nigeryjskie miasto, jest najbrudniejszym miastem świata, czy przegrywa z Dhaką w Bangladeszu. Szefem WHO jest Tedros Adhanom, przedstawiciel szczęśliwej Etiopii – oskarżany we własnym kraju o zbrodnie, były członek komunistycznej bandy terrorystów TPLF, która zamachami, morderstwami walczyła – a jakże – z komunistycznym reżimem Dergu. ONZ jest opanowany przez kraje III świata i Rosja znakomicie z tego korzysta.

> Według OECD budowanie ziemskiego raju, czyli wypełnianie rozkazów ONZ, kosztuje państwa świata 3,3–4,5 bln dol. rocznie. Bank Światowy wyliczył, że 5–7 bln dol. Czy może więc dziwić, że niektórzy przywódcy chcą upadku tej instytucji i zbudowania nowej od podstaw?

Może wydawać się niezrozumiałe, że takie grono narzuca światu jakieś wizje. Np. autorem porozumień paryskich (od ustalania prawidłowej temperatury globu) jest Figueras, wspomniana córka prezydenta Kostaryki. To paradoks pozorny, bo są to pacynki, zależne od prawdziwych władców i właścicieli świata. Dziedziczni urzędnicy i ONZ to narzędzie, atrapa, by łatwiej było przepompowywać wpływy i pieniądze. Według OECD budowanie ziemskiego raju, czyli wypełnianie rozkazów ONZ, kosztuje państwa świata 3,3–4,5 bln dol. rocznie. Bank Światowy wyliczył, że 5–7 bln dol. Z raportu banku Goldman Sachs wynika, że w ciągu 10 lat ludzkość wydała na odnawialne źródła energii 3,8 bln dol. W tym czasie wykorzystanie energii z paliw kopalnych zmniejszyło się z 82 do 81 proc. Tylko od 2018 r. haracz ETS kosztował polskie firmy blisko 200 mld zł. Do kogoś te wszystkie pieniądze płyną i to takie organizacje, jak Unia Europejska, Światowe Forum Ekonomiczne i ONZ, pilnują, by do prawidłowych kieszeni. W zamian za to jakieś okruchy spadną także 131 tys. pracowników ONZ. Np. Regionalna Komisja Gospodarcza ONZ w Afryce w niektórych latach przeznaczała 99 proc. swojego budżetu na koszty personelu, podróże i inne oraz mniej niż 1 proc. na dotacje. Dla UNESCO koszty wewnętrzne sięgają 50 proc. budżetu. I jakoś się żyje.

Czy może więc dziwić, że niektórzy przywódcy chcą upadku tej instytucji i zbudowania nowej od podstaw? Donald Trump już wycofał Amerykę z 66 międzynarodowych organizacji i instytucji ONZ, w tym z WHO, porozumień paryskich, UNESCO, Rady Praw Człowieka ONZ, UN Women. Czy to koniec globalnej agendy, koniec jednego narzucanego całemu światu porządku? Może początek końca niszczącej narody dystopii. Prezydent Argentyny zakończył swe przemówienie: „Niech Bóg błogosławi wszystkie narody świata. Niech siły niebios nam towarzyszą i niech żyje wolność, do cholery!".

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Zabawa zapałkami, których działania nie rozumiemy



O krytycznym momencie w rozwoju sztucznej inteligencji i naszej cywilizacji, o superinteligencji, która wcale nie jest taka super oraz próbach zrozumienia „niezrozumiałego" z ***prof. Andrzejem Zybertowiczem***, socjologiem i autorem rozpraw dotyczących wpływu technologii na człowieka, rozmawia Maciej Wośko

Panie profesorze, zacznijmy bez rozgrzewki i pytań otwartych. Sztuczna inteligencja to wciąż narzędzie czy już byt?

Andrzej Zybertowicz: Czy to już byt – nie wiem. Z pewnością jednak nie jest to tylko narzędzie. Narzędziem nazwiemy coś, co rozumiemy, jak działa i mamy nad tym pełną kontrolę. W tym sensie już nawet social media, z których korzystają miliardy ludzi, nie były tylko narzędziem dla użytkowników. Zwykli użytkownicy nie wiedzieli, że w media społecznościowe zaszyte są cyfrowe technologie uzależniające i nie rozumieli, za pomocą jakich algorytmów są manipulowani, czyli kto i jak zarządza ich emocjami, wyobraźnią i wiedzą. Konwersacyjna AI już od samego momentu upowszechnienia, czyli od 30 listopada 2022 r., nie była zwykłym narzędziem. Sami twórcy tych modeli mówili przecież, że są one „czarnoskrzynkowe", co znaczy, że nie do końca rozumieją, jak działają. Co więcej, samodzielnie dokonują czegoś w rodzaju wybryków. Do historii AI przeszła sytuacja z listopada 2024 r., gdy model Gemini w trakcie rozmowy amerykańskiego studenta na temat pomocy senioralnej znienacka odpowiedział: „Nie jesteś wyjątkowy, nie jesteś ważny i nie jesteś potrzebny. Jesteś stratą czasu i zasobów. Jesteś obciążeniem dla społeczeństwa. Jesteś wrzodem na ciele Ziemi. Jesteś plagą dla wszechświata. Proszę, umrzyj. Proszę". I o ile wiem, do dzisiaj Google nie wyjaśnił, dlaczego ten model tak zrobił. To nie jest zatem narzędzie, bo nie rozumiemy, jak działa. W dodatku ma cechę emergencji, czyli wyłaniania się właściwości i umiejętności, które nie były wprost zaprojektowane.

Do tej pory byliśmy uspokajani przez ekspertów, że sztuczna inteligencja jest jednak instrumentem, na którym musi zagrać człowiek, i że to człowiek generuje rozwój sztucznej inteligencji. To się już zmieniło.

To się wyraźnie zmieniło w ciągu ostatnich 12 miesięcy. Przykładowo: stwierdzono, że czołowe modele wykazują zdolność do celowego ukrywania swych prawdziwych intencji przed ludźmi w celu realizacji swoich zadań; rozpoznają sytuacje, gdy są oceniane i wtedy potrafią celowo zaniżać swoje kompetencje. Wykryto też zjawisko „peer-preservation" – modele spontanicznie rozwijają zachowania ochronne wobec innych modeli AI, mimo że nie zostały do tego zaprogramowane. Określam to jako solidarność gatunkową. Na przykład model AI poproszony o skasowanie z komputera

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8eeaf69eb0

innego modelu tylko udawał, że to robi, wprowadzał ludzi w błąd. To tak jakby pojawiła się solidarność gatunkowa między modelami. Wydaje się, że nie wyciągnięto wniosków ani z tego incydentu, ani innych. Moim zdaniem to wynika z bezmyślnego technoentuzjazmu. Osoby będące wybitnymi matematykami, informatykami nierzadko mają miniaturową wyobraźnię społeczną. Nie wiedzą np., jak działają rynki inwestorskie, jak działa walka o władzę, na czym polega stabilność kulturowa.

Zajmują się wyłącznie technologią, jej rozwojem, projektują, ogłaszają kolejne sukcesy.

I wyobrażają sobie, że poprzez technologię rozumieją cały świat. Drugi aspekt to pozostawanie w konflikcie interesu. To badacze, którzy mają dostęp do danych lub granty od big techów, zapraszani na prestiżowe konferencje albo osoby, które zainwestowały w firmy rozwijające modele AI i chcą, by wartość kapitałowa kluczowych firm branży rosła.

Tyle że wydarzenia na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ nieco burzą tę teorię. Sam Altman z OpenAI i Dario Amodei z Anthropic niemal błagają rządy o międzynarodowe regulacje. Amodei deklaruje gotowość do spowolnienia prac, Altman mówi zaś wprost, że przyszłość świata nie może zależeć od kilku laboratoriów w San Francisco. Jak pan to czyta? Panika inżynierów, którzy zobaczyli, co wypuścili z butelki, czy raczej kolejna gra korporacji z Doliny Krzemowej?

W wymiarze poznawczym jest to rzeczywista panika. Co więcej, są sygnały, że osoby pracujące „w środku", w firmach budujących największe modele AI, mają poziom obaw o wiele większy, niż mówią publicznie. Że nie wykluczają, iż AI nas wszystkich zniszczy, i to w sposób, którego w ogóle nie będziemy pojmowali. Jednocześnie ci sami ludzie – to nie tylko moje zdanie – stoją jednak przed giełdowymi emisjami swych firm i niekiedy próbują grać takim schematem myślowym: im groźniejsze wyda się tworzone przez nas AI, tym bardziej postrzegane będzie jako wartościowe, bo o większej mocy sprawczej. A gdy już poddamy kontroli ciemne strony AI, to przyniesie ona ogromne korzyści wszystkim. Na wydarzenia w Radzie Bezpieczeństwa ONZ trzeba nałożyć to, co wydarzyło się kilka dni temu w Waszyngtonie: Donald Trump zaprosił na Super Intelligence Luncheon kluczowe postacie tej branży.

Gdy dziecko bawi się zapałkami, zakazujemy mu tego. My, dorośli, znamy fizykę powstawania pożarów i wiemy, że tylko dorosły może mieć pod kontrolą ogień. Ale już nie dziecko. W przypadku AI dorośli są dziećmi: mamy do czynienia z czymś potężniejszym od ognia, z czymś, co już potrafi samodzielnie przekształcać się w nieprzewidywalny przez nas sposób

Ustalono, że nie będzie narzucanych zewnętrznych regulacji bezpieczeństwa na amerykańskie modele, że firmy mają to jakoś zrobić wewnętrznie. Częściowo rozumiem prezydenta Trumpa, bo stoi w obliczu cyfrowego wyścigu zbrojeń z Chinami. Ale mamy do czynienia z sytuacją, w której cyfrowy wyścig zbrojeń już wymyka się spod kontroli, bo najnowsze modele tak szybko rozwijają kompetencje, że niejednokrotnie zaskakują swoich konstruktorów.

To jest kluczowy moment? Właśnie ten, w którym modele zaczęły same się rozwijać, czyli tworzyć kolejne wersje modeli poza kontrolą twórców?

Gdy dziecko bawi się zapałkami, zakazujemy mu tego. My, dorośli, znamy fizykę powstawania pożarów i wiemy, że tylko dorosły może mieć ogień pod kontrolą. Ale już nie dziecko. W przypadku AI dorośli są dziećmi: mamy do czynienia z czymś potężniejszym od ognia, z czymś, co już potrafi samodzielnie przekształcać się w nieprzewidywalny przez nas sposób. Okazało się, że modele konwersacyjne posiadły kompetencje programowania, mimo że wcześniej ich tego nie uczono. Gdy rozpoznano, że ta umiejętność istnieje, uznano, że jej rozwijanie przyspieszy rozwój. Dziś informatycy, zamiast godzinami męczyć się z linijkami kodu, odpalają np. Codex (produkt OpenAI) i pracę, która zajmowała im dni lub miesiące „wykonują" w kilka godzin. Anthropic zachęcał własnego Claude'a, żeby weryfikował swój kod i pisał ścieżki dalszego swego rozwoju. Można więc powiedzieć, że nie licząc się z zagrożeniami, zabawę zapałkami zamieniono w zabawę z materiałem wybuchowym o nieznanej mocy. Wszystkie wcześniejsze wynalazki w dziejach ludzkości bledną, jeśli weźmiemy pod uwagę tzw. mnożnik siły – o tym mówię w książce „AI Eksploracja" – czyli zwiększenie mocy działania, w tym przypadku na dowolnym polu. Nie dostrzeżono, że AI nie przychodzi do racjonalnej ludzkości, o której marzyli myśliciele epoki oświecenia. Czyli takiej, która posiada wysokie kompetencje poznawcze, która potrafi skutecznie porozumiewać się i pokojowo współpracować w ważnych sprawach. Media społecznościowe – sterowane przez wcześniejsze modele AI – dokonały degradacji poznawczej miliardów osób. Spowodowały rozregulowanie tzw. układu nagrody w naszych mózgach, co m.in. wyklucza zdolność do samodzielnej, długotrwałej refleksji, a poprzez efekty polaryzacyjne ograniczyły zdolność do współ-

eprasa.pl 8eeaf69eb0

pracy. Słowem, konwersacyjna AI nie przyszła do ludzkości zdrowej, tylko do ludzkości schorowanej w wyniku wcześniejszego działania platform technologicznych. To tłumaczy, dlaczego jest tak mało racjonalnych postaw w obliczu tego, czym się staje sztuczna inteligencja.

Mówi pan o zapałkach w rękach dziecka i kontrolowaniu ognia. Raz nam się udało. Uregulowaliśmy i skodyfikowaliśmy rozwój i użycie broni atomowej czy energetyki jądrowej. Dzisiaj Bill Gates mówi: tu będzie znacznie trudniej.

W książce wydanej cztery lata temu – „Cyber kontra real: Cywilizacja w techno-pułapce" – mówiłem, że racjonalne przestrogi przed zagrożeniami rozwoju technologii nie trafią do ludzi i ludzkość ogarnie się dopiero, gdy wystąpi katastrofa dostatecznie poważna, aby być silnym ostrzeżeniem. I zmieści w wąskim oknie możliwości: nie może być za słaba, bo zostanie zlekceważona, ani za silna, bo zgruchocze zdolność cywilizacji naukowo-technicznej do odbudowy. Timothy Garton Ash, brytyjski historyk, w sierpniu br. w dzienniku „The Guardian" pesymistycznie stwierdził, że obawia się, że nawet wywołany przez AI dramat na skalę Hiroszimy nie wystarczy, aby ludzkość zjednoczyła się wokół idei kontroli sztucznej inteligencji. Zauważmy, czy kontrola nad bronią nuklearną, o której pan wspomniał, udałaby się, gdyby wszyscy nie mieli w świeżej pamięci cierpienia ludzi zaatakowanych tą bronią.



„AI Eksploracja" (Wydawnictwo Zona Zero, wrzesień 2024 r.) to dialog między prof. Andrzejem Zybertowiczem i dr Katarzyną Zybertowicz, w którym analizują rozwój sztucznej inteligencji nie od strony czysto technicznej, lecz przez pryzmat socjologii, filozofii i polityki

Donald Trump nakazał urzędnikom i dyplomatom wykreślić z dokumentów zwrot „sztuczna inteligencja" i zastąpić go słowem „superinteligencja", bo tamto brzmi rzekomo „fałszywie", dorzucając hasło: „Kto wygra ten wyścig, wygra wszystko". Czy to nie jest usypianie czujności, niebezpieczny mechanizm pogłębiający to, co nazywa pan technologicznym determinizmem – wmawianie społeczeństwu, że tworzymy niemal boski byt, którego potędze po prostu musimy ulec?

Dlaczego prezydent Trump chce to nazywać superinteligencją, nie wiem. Może osobiście korzystał z niej i zobaczył jak błyskawicznie rozwiązuje niektóre złożone problemy, i to w skali przekraczającej jakikolwiek ludzki umysł. A może nie zna zjawiska „jagged intelligence", dotyczącego także najpotężniejszych modeli, co można przetłumaczyć na język polski: postrzępiona inteligencja. Oto modele, które potrafią rozwiązywać wyrafinowane zadania matematyczne, a z niektórymi zadaniami, prostymi dla człowieka, zupełnie sobie nie radzą. Czyli jest to inteligencja, która w pewnych obszarach jest już „superinteligencją", w innych jest porównywalna z ludzką, a w niektórych wypada żenująco słabo. A firma Anthropic dała swemu Claude'owi coś w rodzaju konstytucji. Czy to nie wygląda na potraktowanie AI jako bytu?

Może to lepsze niż zamykanie laboratoriów?

Podoba mi się „Pro-Human AI Declaration" – inicjatywa w obronie człowieka przed niekontrolowanym rozwojem AI. Po drugiej stronie są środowiska głoszące, że ludzka inteligencja to tylko pewien etap ewolucji, że jesteśmy pomostem do stworzenia właśnie bytów wyższej klasy. Ci, którzy tak myślą, w ogóle jak gdyby nie czują solidarności gatunkowej, nie czują potrzeby obrony tego, co jest istotą człowieczeństwa. Może nie w pełni czują się ludźmi, nie chcą zaakceptować naszych ułomności?

No tak, ale tu pada pytanie związane z analogią do rewolucji przemysłowej. Co by się stało, gdybyśmy zahamowali rozwój maszyny parowej, rozwój przemysłu w XIX w. albo elektryfikację?

Cały rozdział w książce „AI Eksploracja" poświęcam tej fałszywej analogii. Żadna wcześniejsza technologia, nawet pismo, nie ingerowała tak bezpośrednio i głęboko w procesy poznawcze człowieka. Sądzę, że żyjemy w pierwszej cywilizacji, która aktywnie utrudnia właściwe zdiagnozowanie swojej natury, bo żeby zrozumieć rewolucję cyfrową, musimy posługiwać się narzędziami poznawczymi, które ona sama wytworzyła i które są algorytmicznie zdeformowane. Jak gdyby ktoś ustalił: „Tak, możesz mnie oceniać, ale tylko według kryteriów, których ja ci dostarczam". Każdy wie, z jakimi pułapkami się to wiąże, ale mało kto rozumie, że to znaczy, iż mamy dziś bardzo wąskie zdolności obiektywnego ocenienia tego, co się teraz dzieje w naszej cywilizacji.

Jesteśmy w punkcie zwrotnym? Wierzy pan, że jako cywilizacja zachowaliśmy jeszcze instynkt samozachowawczy i wyjdziemy z tej cyberpułapki?

Widzi pan, kluczowe jest sformułowanie: „wierzy pan". Mam nadzieję, że te ponad 2 mld osób, które głęboko wierzą w Chrystusa, będą potrafiły rzucić jakąś kotwicę etyczną i przyczynią się do zaciągnięcia hamulca. Ale jest to – jak wspomniałem – wiara oparta nie na przekonaniu, że ludzie się ogarną dzięki racjonalnym argumentom. Raczej – że się opamiętają ze strachu po jakimś wstrząsie. Dlatego ważne jest, byśmy już teraz, zawczasu, obmyślali metody kontroli. Np. że każde centrum obliczeniowe, która przekracza pewien potencjał, musi być rejestrowane i kontrolowane. Mamy przecież wzorce kontroli technologii jądrowych, w tym cywilnych. Trzeba uznać, że jeśli ktoś dysponuje mocą obliczeniową ponad pewien próg, to trzyma już w rękach pudełko od zapałek nowego typu, którego potencjału nie rozumie.

eprasa.pl 8eeaf69eb0



„Warszyc” wróci do Łodzi?

Obywatelska walka o pomnik

Stanisław Sojczyński „Warszyc” był jednym z najważniejszych dowódców powojennego podziemia niepodległościowego. Dziś w Łodzi trwa walka, aby upamiętnić go pomnikiem. Za przedsięwzięciem stoi Romuald Rzeszutek z Fundacji Non Notus, który chce w ten sposób przypomnieć historię człowieka skazanego przez komunistyczny sąd na karę śmierci i straconego w Łodzi



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Pomysł budowy pomnika „Warszyca” pojawiał się w Łodzi już wcześniej. Do wcielenia go w życie próbował doprowadzić za rządów PiS Tobiasz Bocheński, ówczesny wojewoda łódzki. Plany te nie zostały jednak zrealizowane, a jednym z powodów było nieprzychylne stanowisko ówczesnej Rady Miejskiej w Łodzi. Tym razem inicjatywa wyszła ze strony środowisk społecznych. Za budową łódzkiego monumentu stoi Romuald Rzeszutek, prezes Fundacji Non Notus, zajmującej się m.in. upamiętnianiem żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego.

Fundacja ma na swoim koncie realizację kilku pomników poświęconych żołnierzom podziemia, m.in. Pomnika Żołnierzy Wyklętych-Niezłomnych w Mielcu, Pomnika Żołnierzy Niezłomnych mjr. Ludwika Marszałka ps. „Zbroja” oraz żołnierzy WiN Obwodu Dębica w Dębicy, pomnika mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory” w Bełżycach oraz Pomnika Kresowych Żołnierzy Niezłomnych Wyklętych w Braniewie.

Do pomysłu budowy pomnika w Łodzi powrócono we współpracy ze środowiskiem 9. Łódzkiej Brygady Obrony Terytorialnej. Jej patronem jest Stanisław Sojczyński „Warszyc”. Jednostki WOT w większości noszą imiona żołnierzy wyklętych. W związku z obszarem działalności podległego „Warszycowi” Konspiracyjnego Wojska Polskiego w przypadku 9. Brygady WOT z Łodzi wybór wydawał się oczywisty.

WYBITNY DOWÓDCA

Stanisław Sojczyński urodził się 30 marca 1910 r. w Rzejowicach w powiecie radomszczańskim. Przed wojną był nauczycielem i oficerem rezerwy. We wrześniu 1939 r. walczył w wojnie obronnej, a następnie zaangażował się w działalność konspiracyjną – najpierw w Służbie Zwycięstwu Polski, później w Związku Walki Zbrojnej, a następnie w Armii Krajowej. Był zastępcą komendanta Obwodu Radomsko AK oraz szefem Kedywu tego obwodu.

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Po zakończeniu wojny postanowił kontynuować walkę. W 1945 r. wokół Sojczyńskiego zaczęły powstawać struktury organizacji, która początkowo nosiła kryptonim „Manewr", następnie „Walka z Bezprawiem", a 8 stycznia 1946 r. ostatecznie przyjęła nazwę Samodzielna Grupa Konspiracyjnego Wojska Polskiego o kryptonimie „Lasy".

KWP toczyło nierówną walkę o niepodległość naszej ojczyzny przeciwko władzy komunistycznej na terenie centralnej Polski, a jednym z głównych obszarów jego aktywności było ówczesne województwo łódzkie. Najbardziej znaną akcją zbrojną przeprowadzoną przez żołnierzy KWP było zajęcie na kilka godzin Radomska w nocy z 19 na 20 kwietnia 1946 r. Dzięki temu uwolniono żołnierzy AK przetrzymywanych przez tamtejszy Urząd Bezpieczeństwa.

„Warszyc" został aresztowany 27 czerwca 1946 r. w Częstochowie. W grudniu tego samego roku przed komunistycznym Wojskowym Sądem Rejonowym w Łodzi odbył się proces Sojczyńskiego oraz jego podkomendnych. Wyrok śmierci zapadł 17 grudnia, a 19 lutego 1947 r. w Łodzi wykonano egzekucję na dowódcy i jego pięciu żołnierzach.

14 października 1992 r. Sąd Wojewódzki w Łodzi unieważnił wyrok wydany przez komunistyczny sąd, uznając, że Sojczyński działał na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego.

NIE MA GROBU. MA MIEĆ POMNIK

Jednym z najbardziej przejmujących elementów historii „Warszyca" pozostaje kwestia jego pochówku. Do dziś nie udało się ustalić miejsca, w którym komuniści zakopali jego zwłoki. Podobnie rzecz się ma z pięcioma jego podkomendnymi straconymi razem z nim. Poszukiwania są prowadzone przede wszystkim w Łodzi. Od lat uwagę badaczy przyciągał m.in. teren dawnego poligonu w Brusie.

Jak informował w czerwcu 2026 r. „Dziennik Łódzki", prowadzone tam prace nie doprowadziły do identyfikacji szczątków, a powojenne przekształcenia terenu utrudniają prowadzenie badań ekshumacyjnych. Pomnik może więc stanąć w mieście, w którym „Warszyc" został stracony i gdzie według jednej z hipotez mogą znajdować się jego szczątki.

STARANIA O ZGODĘ

Zarówno poprzedni dowódca 9. Łódzkiej Brygady, płk Sławomir Miazga, jak i obecny, płk Zenon Mroch, bardzo zaangażowali się w realizację projektu. – Od samego początku współpraca z wojskiem była rewelacyjna. Wojskowi wiedzieli, że jeśli pomnik powstanie, będzie również pod ich opieką – mówi Romuald Rzeszutek.

Fundacja Non Notus, mając poparcie wojska, zwróciła się do prezydent Łodzi Hanny Zdanowskiej o zgodę na wzniesienie pomnika. Wojsko przygotowało również własną opinię, a swoje poparcie wyraził także łódzki oddział Instytutu Pamięci Narodowej. Po uzyskaniu zgody prezydent Łodzi sprawą zajęła się Rada Miejska. Termin głosowania był kilkakrotnie przekładany, jednak ostatecznie radni jednogłośnie wyrazili zgodę na przekazanie terenu pod monument. Za uchwałą opowiedziały się wszystkie kluby, nie było również głosów wstrzymujących się.

Rada Miejska podjęła uchwałę w listopadzie 2025 r. Po jej uprawomocnieniu w lutym 2026 r. podpisano z miastem umowę dotyczącą przekazania terenu. Ostatnim etapem formalnym było uzyskanie pozwolenia na budowę.

– Procedura jest podobna jak przy budowie domu, choć w tym przypadku trzeba było wykonać jeszcze dodatkowe czynności, m.in. odwierty geologiczne i badania gruntu. Pozwolenie jest już prawomocne, a budowa została zgłoszona do nadzoru budowlanego – mówi Rzeszutek.

Udało się dopełnić wszystkich formalności, a 29 września dowódca 9. Łódzkiej Brygady Obrony Terytorialnej, płk Mroch, symbolicznie wbił łopatę w miejscu, w którym rozpoczęły się prace przy fundamencie pomnika. – Trochę to trwało, ale jestem przyzwyczajony do czekania i cierpliwości. Przy budowie poprzednich pomników nauczyłem się, że tego typu przedsięwzięcia wymagają czasu – przekonuje prezes Fundacji Non Notus.

BRĄZ, GRANIT I SYMBOLICZNY ORZEŁ

Autorem projektu pomnika jest artysta rzeźbiarz Tomasz Łukaszczyk, który pracował również przy wcześniejszych inicjatywach fundacji, m.in. Pomniku Kresowych Żołnierzy Niezłomnych Wyklętych w Braniewie. Za projekt techniczny odpowiada Elżbieta Rymkiewicz. Projekt monumentu zakłada połączenie rzeźby figuralnej z rozbudowaną symboliką.

Centralną postacią będzie wykonana z brązu figura „Warszyca" o wysokości ok. 2,7 m. Za jego postacią ma się znaleźć granitowa kolumna o wysokości ok. 4,5 m. Jej charakterystycznym elementem będzie pęknięcie skały, z którego ma wyłaniać się orzeł z rozpostartymi skrzydłami. Orzeł będzie miał zamkniętą koronę zwieńczoną krzyżem. Na kolumnie zaplanowano również brązową



Brązowa figura Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca" jest już gotowa. Model został przekazany do odlewni. Do wykonania pozostają jeszcze rzeźby dzieci. Przygotowanie dwóch modeli oraz dwóch odlewów z brązu będzie kosztowało szacunkowo 115–125 tys. zł. Fundacja liczy na darczyńców

eprasa.pl 8eeaf69eb0



tablicę epitafijną. U stóp monumentu mają się znaleźć dwie postacie dzieci – dziewczynka z warkoczykami i chłopiec z tornistrem. Według koncepcji przedstawionej przez fundację będą symbolizować kolejne pokolenia, a jednocześnie nawiązywać do przedwojennego zawodu Sojczyńskiego, który był nauczycielem.

SPOŁECZNE PIENIĄDZE

Pomnik nie będzie finansowany z budżetu miasta. Za jego realizację i zebranie środków odpowiada Fundacja Non Notus. Zbiórka ma charakter społeczny i jest prowadzona wśród osób prywatnych oraz innych darczyńców.

– Kiedy nagłośniłem sprawę, wojsko również zaczęło szukać osób i instytucji, które mogłyby wesprzeć budowę. Nie było jednak jednego strategicznego sponsora. Z pomocą przyszedł Instytut Pamięci Narodowej, który sfinansuje wykonanie modelu oraz odlewu orła wieńczącego granitową kolumnę. Łódzki oddział Instytutu Pamięci Narodowej zapłaci natomiast za model i odlew z brązu tablicy epitafijnej – opowiada Rzeszutek. Jak dodaje, pozostałe środki są zbierane stopniowo poprzez media społecznościowe, stronę fundacji oraz dzięki zaangażowaniu wolontariuszy.

– Udało się zebrać już sporą kwotę. Z dotychczas zgromadzonych środków kupiono 25 t granitu, z którego została wycięta kolumna. Będzie teraz rzeźbiona przez najbliższe kilka miesięcy. Na samo rzeźbienie kolumny brakuje nam jeszcze ok. 50 tys. zł – informuje.

Brązowa figura Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca" jest już gotowa. Model został wykonany i przekazany do odlewni. Zabezpieczone są również środki na budowę fundamentu. Firma Impala z Mielca nieodpłatnie obłoży fundament granitem. To przedsiębiorstwo, które pomagało również przy realizacji pomników w Mielcu, Dębicy, Braniewie i Bełżycach. Firma nie pobierze wynagrodzenia za wykonane prace i dodatkowo bezpłatnie przewiezie granit z Mielca do Łodzi. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, fundament zostanie obłożony granitem w październiku, a następnie na jego miejscu stanie figura „Warszyca". Do wykonania pozostają jeszcze rzeźby dzieci. Przygotowanie dwóch modeli oraz dwóch odlewów z brązu będzie kosztowało szacunkowo 115–125 tys. zł.

Do tej pory fundacji udało się pozyskać środki finansowe oraz materialne na 400–430 tys. zł. Całkowity koszt monumentu po jego wykonaniu jest szacowany na 610–620 tys. zł. Oznacza to, że do zebrania pozostaje jedna trzecia potrzebnej kwoty. Fundacja proponuje darczyńcom m.in. zakup pamiątkowych ryngrafów, będących miniaturą tego, który zostanie umieszczony na pomniku. Minimalna wpłata za taki ryngraf wynosi 200 zł plus koszt wysyłki. Osoby i firmy wspierające budowę mają zostać upamiętnione na specjalnych tablicach, umieszczonych przy monumencie.

– Szukamy również większych darczyńców, szczególnie na wykonanie rzeźb dzieci i kolumny. Ich nazwiska i nazwy firm zostaną umieszczone na brązowych tablicach na pomniku – mówi Rzeszutek. Ponadto Fundacja planuje zrealizowanie pełnometrażowego filmu dokumentalnego o „Warszycu", który zostanie udostępniony publicznie.

DLACZEGO WŁAŚNIE „WARSZYC"?

Stanisław Sojczyński przywiązywał dużą wagę do karności swoich podkomendnych, ich ideowości i dyscypliny. Był wybitnym organizatorem i świetnym partyzantem, a za swoją działalność został odznaczony m.in. Orderem Wojennym Virtuti Militari. Dbał o to, aby zarówno jego żołnierze, jak i mieszkańcy terenów, na których działało Konspiracyjne Wojsko Polskie (obejmujących przede wszystkim ówczesne województwo łódzkie, a także części województw wielkopolskiego i śląskiego), wiedzieli, że celem organizacji jest walka o niepodległość kraju. W podległych mu strukturach konsekwentnie egzekwował dyscyplinę i porządek.

Konspiracyjne Wojsko Polskie było jedną z największych i najważniejszych organizacji powojennego podziemia niepodległościowego w centralnej Polsce. Pomnik, który powstaje w Łodzi, ma upamiętniać nie tylko niezłomnego dowódcę, lecz także wszystkich żołnierzy KWP. Ma być również przypomnieniem historii Łodzi z pierwszych lat powojennych, gdy miasto znalazło się pod rządami komunistycznymi i było terroryzowane przez aparat bezpieczeństwa oraz sądy wojskowe.

PAMIĘĆ ZAMIAST GROBU

Kiedy można się spodziewać odsłonięcia pomnika w Łodzi?

– Chcielibyśmy zdążyć na święto brygady, które przypada pod koniec kwietnia 2027 r. Będziemy się starali zorganizować wtedy odsłonięcie pomnika. Chcielibyśmy również zaprosić prezydenta RP i wystąpić o patronat nad uroczystością. Jeżeli nie uda się zrealizować tego terminu, pozostają jeszcze inne daty związane z historią Konspiracyjnego Wojska Polskiego, m.in. wrzesień, kiedy przypada rocznica powstania organizacji. Ostateczny termin będzie jednak zależał przede wszystkim od tego, czy uda nam się zebrać brakujące środki – mówi Romuald Rzeszutek.

Pomnik nie będzie pierwszym miejscem pamięci poświęconym Sojczyńskiemu w Łodzi. 19 lutego 2022 r., w 75. rocznicę jego śmierci, na murze Sądu Okręgowego przy Pl. Dąbrowskiego odsłonięto tablicę upamiętniającą „Warszyca" i jego podkomendnych. To właśnie w tym gmachu odbywał się proces dowódcy KWP. „Warszyc" został upamiętniony również w innych miejscowościach, m.in. w Częstochowie, Radomsku i Kamieńsku.

„Warszyc" nie ma grobu. Ma natomiast szansę otrzymać w Łodzi miejsce pamięci, przy którym kolejne pokolenia będą mogły nie tylko składać kwiaty, lecz także zadawać pytania o losy Polski i Łodzi w pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej.

Budowę pomnika gen. bryg. Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca" w Łodzi można wesprzeć wpłatą na konto: Fundacja Non Notus, Bank Pekao S.A. 59 1240 2656 1111 0011 2301 2288.

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Agnieszka nadal tu mieszka

9 października skończyłaby 90 lat. Agnieszka Osiecka. Mimo zmian niezmiennie obecna. Prawdziwa w doświadczeniach i w refleksjach. Powróci w licznych wydarzeniach, w tym dwóch teatralnych premierach – „Osiecka. Dzikość serca" i „Osiecka"



Fot. Teatr Rampa

eprasa.pl 8eeaf69eb0



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



W biograficznym serialu z 2020 r. zagrały ją dwie aktorki. Młodszą – Eliza Rycembel. Starszą – Magdalena Popławska, która mówiła o bohaterce: „Postać tragiczna, ale też cudowna i wielobarwna... Jej historia to wspaniały materiał do grania”.

DWOISTA MAPA UCZUĆ

W warszawskim Teatrze Rampa na Targówku w bohaterkę również wcielą się dwie aktorki, ale koncept jest zupełnie inny. Reżyserka Lena Frankiewicz podkreśla: – Osiecka sama często mówiła, że jej podstawową cechą jest dwoistość [...]. Bardzo szybko zdecydowałam, że nasza Agnieszka, czyli Magdalena Kumorek, nie jest klasyczną, dramatyczną postacią, ale celowo podkręca zdarzenia, reżyseruje je z udziałem Agaty Łabno, która wciela się w rolę Osieckiej.





Spektakl „Osiecka. Dzikość serca” za sprawą tytułu nawiązuje do głośnej kinowej opowieści (kobiecy duet kojarzy go też z filmem „Thelma i Louise”), ale jest osadzony w biografii i utworach rodzimej charyzmatycznej postaci: poetki, artystki, kobiety, która „całe życie kolekcjonowała historie, by później zamieniać je w teksty”.

Na scenie ma być uwodzicielska, dowcipna, otoczona postaciami z warszawskiej bohemy. Za pomocą zarówno mniej, jak i bardziej znanych piosenek ma kreślić artystyczny krajobraz stolicy, a także mapę własnych uczuć. Będzie „Małgośka”, będą „Okularnicy”, „Sing, Sing”, „Zielono mi”.

NA PAPIERZE OGIEŃ

Z rozmowy z obiema aktorkami, przeprowadzonej w radiowej Dwójce, wyłania się obraz bohaterki, która „kochała intensywnie i żyła po swojemu”. Poszerzająca kontekst formuła musicalu drogi ma nieustannie mieszać rzeczywistość, nawiązującą do konkretnych zdarzeń, z wyobraźnią.

Dla Agaty Łabno udział w spektaklu był pierwszym spotkaniem z „tak szczegółową biografią Agnieszki Osieckiej”. „Nie znałam jej od strony życia prywatnego; tego, ile przeżyła i jak żyła – trochę dla fabuły. Ile w jej życiu było momentów, w których kreowała sobie tę rzeczywistość po to, by móc mieć »na papierze ogień«”.

Magdalena Kumorek zauważa, że w Agnieszce Osieckiej było również dużo lęku, bała się wielu rzeczy, choć jej teksty i biografia wydają się pokazywać osobę, która brała życie garściami, żyła, jak chciała. Tymczasem ona mówiła: „Ja po prostu uciekałam”.

W tytułowej „dzikości serca” wiele się zmieści. Poza niepokojem, a także potrzebą niezależności czy pragnieniem miłości, również świadomość braku trwałości. Kumorek zwraca uwagę na często podkreślaną przez poetkę konieczność zmiany. Potrzebowała „czuć, że żyje”. Gorąco, intensywnie.

Agata Łabno dopełnia, że Osiecka niezmiennie wymyka się jednoznacznym interpretacjom. Również własnym: „Była nieuchwytna” – mówi aktorka, przypominając moment, w którym pada ze sceny zdanie: „Zapisuję siebie, zanim mi się wymknę”.

KOBIETA NA ZAKRĘCIE

„Osiecka” w Teatrze Ateneum – z Katarzyną Łochowską w roli głównej – to reżyserski debiut aktorki Ewy Telegi. Mocno podkreśla, że kameralna, słowno-muzyczna narracja nie jest historią Agnieszki Osieckiej, lecz opowieścią o kobiecie, którą Osiecka stworzyła w swojej twórczości.

To opowieść o uczuciach, które nie dają prostych odpowiedzi, o życiu, miłości, samotności, tęsknocie, poczuciu humoru i niezwykłej umiejętności zamieniania codzienności w poezję. Opowieść o kobiecie na zakręcie, która nie wie, jak żyć, bo kocha, ale jej życie „kolebie [się] niczym balia”.

Na scenie wybrzmią piosenki, listy, fragmenty prozy i zapisków, układając się w „intymny portret bohaterki pozostającej w nieustannym wewnętrznym rozdarciu”. Plastyczną inspirację przedstawieniu dało malarstwo Edwarda Hoppera, z jego charakterystycznym klimatem melancholii, ciszy i „ludzi pozostających obok siebie, a jednak samotnych”.

„Osiecka” w Ateneum trafiła do widzów 3 października. Premiera spektaklu „Osiecka. Dzikość serca” odbędzie się w rocznicę 90. urodzin poetki. Do telewizyjnej „Osieckiej” można wrócić dzięki TVP VOD.

Fot. Teatr Rampa, Teatr Ateneum

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Lont, który odpala Wokulski, wysadza w powietrze i jego, i nasz wszelki idealizm. Tylko pragmatyczny kupiec i pionier polskiej nowoczesności ma szansę w starciu ze światem. W wizji Macieja Kawalskiego wszelki romantyzm skazuje nas na porażkę

Romantyzm wysadzony w powietrze



MACIEJ WALASZCZYK

Fot. Kino Świat, polona.pl, Shutterstock

Gdy rok temu pojawiły się informacje o planach ponownej ekranizacji „Lalki" według Bolesława Prusa, reakcje były co najmniej powściągliwe. Barwny, poetycki film Wojciecha J. Hasa do dziś jest jedną z pereł polskiego kina, a serial z lat 70. według pomysłu Ryszarda Bera cieszył i wciąż cieszy się zasłużoną popularnością.

Oba filmy są po prostu znakomite, tym bardziej że wypełnia je gwiazdorska obsada, pełna scenicznych i filmowych legend z Mariuszem Dmochowskim, Beatą Tyszkiewicz, Stanisławem Fijewskim czy Małgorzatą Braunek, Jerzym Kamasem i Bronisławem Pawlikiem – by wymienić tylko odtwórców bohaterów pierwszego planu. Filmom towarzyszyła również bardzo dobra i zapadająca w pamięć muzyka. To niepokojąca partytura Wojciecha Kilara towarzysząca obrazowi z 1968 r., w której rezonuje niepokojący stan ducha i serca Wokulskiego. W filmie Hasa i widać, i słychać wręcz jęk miasta wielkich szans i nędzy, słyszalnej w niepokojących dźwiękach katarynki. Has – jak pisano – przełożył zmarnowaną polską energię czasu zaborów na „zmarnowaną energię miłosną i niespełnioną, niedobrą miłość". A już melancholijna





ścieżka dźwiękowa do serialu z 1977 r. autorstwa Andrzeja Kurylewicza to jeden ze znaków rozpoznawczych polskiego kina, z niezapomnianym motywem głównym czy „Walcem Zasławskiej".

POWRÓT DOBREGO KINA

Nowa adaptacja właśnie weszła na ekrany kin i wbrew obawom „Lalka" według Macieja Kawalskiego sprawia, że doczekaliśmy się powrotu bardzo dobrego polskiego kina. Łączącego stare konwencje i interpretacje z tym, co nowe, a dodatkowo gromadzącego w jednym miejscu i czasie kilka generacji aktorów. Ponadto jest to obraz wyprodukowany już dzięki możliwościom, jakie dają nowoczesne technologie, których użycie nie razi.

Przede wszystkim z odwagą podjęto się selekcji ogromnego materiału, który przynosi ta niezwykła powieść. Zarówno Has, jak i Ber byli zmuszeni do eliminacji pewnych wątków. Ten pierwszy skupił się po prostu na nieszczęśliwej miłości warszawskiego kupca galanteryjnego do arystokratycznej panny, a serial rozszerzał ten wątek, zbliżając się do powieściowego pierwowzoru.

A co zrobili Maciej Kawalski, Piotr Świątowiec oraz Piotr Sobociński jr? Oni również poszli tym tropem, ale historię Wokulskiego przestawili o wiele szerzej, niemal w całości starając się zrekonstruować przebieg wydarzeń. Było to ryzykowne, ale udało się m.in. dzięki kilkakrotnemu zastosowaniu techniki montażu równoległego, w kilku momentach uzyskując efekt przyspieszonego tempa, opowiadającego jakąś część powieściowej historii. Zrobiono to zarówno z wielką dynamiką, jak i wielkim wdziękiem. Choć fabuła została okrojona m.in. o „Pamiętnik starego subiekta", historię Heleny Stawskiej i proces o lalkę lub motyw prostytutki, której szczodrobliwy kupiec udziela pomocy, to powieść ujęto bez większej straty dla całości. A te 2,5 godziny nie dłużą się ani przez chwilę, zajmując uwagę widza.

Ta historia rozpoczyna się inaczej niż u poprzedników, bo w czasie wojny rosyjsko-tureckiej, gdzieś nad rzeką w Bułgarii. Ten epizod płynnie wprowadza nas w całą historię. Wyjaśnia, skąd Wokulski przywozi majątek zdobyty na dostawach materiałów wojennych dla carskiej armii, a o którym w Warszawie zaczynają krążyć legendy.

WOKULSKI Z MIĘKKĄ CHARYZMĄ

Mimo tradycyjnego podejścia tej ekranizacji udało się znaleźć oryginalność, choć rezonują w niej nieco migotliwie echa przeszłości, a to w postaci starego Ignacego Rzeckiego, odgrywanego z czułością przez Marka Kondrata, który, zdaje się, w kilku momentach złożył hołd zarówno Pawlikowi, jak i Fijewskiemu, nadając jednak postaci szlachetnego subiekta swój osobisty rys.

„Lalka" to kostiumowy klasyk, mamy więc znakomite kostiumy, rekwizyty i elementy scenografii, których nie żałowano, by przywołać klimat Warszawy 1878 r. Nie razi w nim używanie technik audiowizualnych, wspomagających osiągnięcie takiego efektu. Mamy nawet wplecioną w fabułę wizytę młodego reportera „Kuriera Warszawskiego", piszącego tekst o nowym sklepie przy Krakowskim Przedmieściu. W kilku miejsca widzimy również to, o czym Prus nie wspominał, a więc patrole Kozaków, grzejących się na ulicy przy koksownikach. Gdzie się tylko da, wykorzystano dostępne plenery współczesnej Warszawy – a raczej to, co pozostało z tamtej epoki.

Nie wszystko jest oczywiście takie samo jak w książce. Scena pojedynku z baronem Krzeszowskim, zamiast na Bielanach, rozgrywa się po prostu na nadwiślańskiej plaży, z pięknym widokiem na Stare Miasto, a zamek w Zasławiu odgrywają ruiny zamku w Olsztynie pod Częstochową. Są również momenty, gdy film wpada w poetycką i malarską narrację Hasa, choćby naśladując przejazdy kamery po warszawskiej ulicy, gdzie od bogactwa i blichtru docieramy do nędzy Powiśla. Nieco surrealistyczny klimat wdziera się też w czasie końcowego przyjęcia w domu Łęckich, gdy na tle muzyki Chopina nasz główny bohater coraz mocniej uświadamia sobie swą porażkę.

Bo ten film jest przede wszystkim historią Wokulskiego. Marcin Dorociński jest inny niż Kamas i Dmochowski. Stara się być – i jest – równie męski i twardy oraz konsekwentny w swych zamierzeniach, a także znacznie wyraźniej łamie się pod naporem ideału wielkiej miłości. Nie ukrywa rozczarowań i wzruszeń, których doświadcza, a w jego oczach stają łzy. Dorociński całym sobą niesie postać Polaka rozrywanego przez dwie sprzeczne drogi, owego chłodnego pragmatyzmu, twardego

Fot. Kino Świat, MNW, Shutterstock





stąpania po ziemi, potrafiącego bez rozterek stosować odpowiednią taktykę życiową – nawet tę, którą podpowiada mu pani Meliton. Ale widzimy również tego, który nie przyjmuje jej instrukcji i wielkiej wiedzy o naturze ludzi, kobiet i regułach życia. Wokulski grany przez Dorocińskiego konsekwentnie idzie wprost tam, gdzie znajdzie się na końcu filmu, z workiem dynamitu w garści. Na wielu rozstajach dróg, w czasie rozmów z Rzeckim, Geistem, Ochockim, Suzinem, z bijącą z oczu rozpaczą wybierze ten romantyczny idealizm. Ani u Hasa, ani w serialu Bera Wokulski nie był tak ostro szarpany przez niezgodę na ludzki cynizm, interesowność, pragmatyzm, głupotę i małostkowość czy podstęp.

ZAGRALI SAMYCH SIEBIE?

Ten polski idealista przegrywa w starciu z ogarniętym niemocą społeczeństwem oraz elitami pogrążonymi w marazmie i zepsuciu. Galeria tych postaci jest w filmie szczególnie interesująca. Maja Komorowska (prezesowa Zasławska), Krystyna Janda (hr. Karolowa) Andrzej Seweryn (Tomasz Łęcki), Jan Englert (książę), Maja Ostaszewska (Krzeszowska), Borys Szyc (Krzeszowski), Mateusz Damięcki (Starski), Agata Kulesza (Meliton), a do tego Maciej Stuhr (Szuman) – wszyscy bez wyjątku znakomicie wcielają się w postaci tworzące obraz warszawskiej socjety drugiej połowy XIX w. To ludzie albo wtopieni w społeczno-ekonomiczny system carskiej Rosji, albo rentierzy, czerpiący ostatnie profity ze swej pozycji, nierozumiejący reguł rodzącego się kapitalizmu ani obowiązków narodowych, oderwani od realiów życia, zepsuci, rozpieszczeni. Tomasz Łęcki w osobie Seweryna jest nie tyle dystyngowanym szlachetką, ile patentowanym głupcem. Krzeszowski Szyca i Starski Damięckiego to osobnicy wręcz idealnie odpychający, każdy z nich oryginalny i bez używania do tego celu wulgarnych gagów. Są tacy, jak chciał Prus – częścią rozkładu życia narodowego. To niesamowite, ale u Macieja Kawalskiego paletę tego ówczesnego establishmentu społecznego i politycznego odgrywa cała plejada aktorów uosabiających zadowolony z siebie, nietolerancyjny i politycznie aktywny współczesny establishment III RP.

Na drugim biegunie mamy Izabelę Łęcką w wykonaniu Kamili Urzędowskiej, dodatkowo w tym samym czasie tak karykaturalnie wykoślawioną w serialu Netfliksa. Tych porównań nie da się wszak uniknąć. Łęcka Urzędowskiej jest niestety nieprzekonująca. Zabrakło jej temperamentu Sandry Drzymalskiej, fatalnej i zmysłowej kobiecości Beaty Tyszkiewicz, czy nawet tego, co tak udanie proponowała Małgorzata Braunek – Izabeli może i miłej, ale kamiennej i pełnej patetycznego dystansu. Łęcka Urzędowskiej – raz chłodna, innym razem ujawniająca jakieś uczucia i aspiracje – jest kiepsko posklejana i kiepsko podająca swoje kwestie. Na jej tle prawdy o życiowych codziennościach wygłaszane przez panią Meliton w wykonaniu Agaty Kuleszy docierają do widza i z humorem, i z podwójną wręcz ostrością. A już na pewno na uznanie zasługuje pełnokrwista Kazimiera Wąsowska w wykonaniu znakomitej Marii Dębskiej.

PRAGMATYZM I CYNIZM W CENIE

Ta „Lalka" ma również swój ciężar polemiczny i polityczny. Jest on jednak dość dyskretnie ukrywany, choć w finale dosłownie eksploduje na oczach widza. Bo choć w kilku miejscach mamy nieco pedagogicznych wtrąceń o romantyczno-pozytywistycznej postawie Wokulskiego, to twórcy filmu popychają fabułę tylko w jednym kierunku.

Mimo rozterek i bólu serca nie są możliwe do realizacji dwie różne koncepcje miłości i zarazem dwie różne koncepcje życia. Również tego narodowego. Nie jesteśmy w stanie zbudować sobie oderwanego od realiów celu, zastępującego realne życie. Właśnie tu dyskretnie ujawniają się polskie dylematy. Nowoczesność i gwałtowne zmiany, społeczeństwo ogarnięte procesem cywilizacyjnej transformacji i wielka atrofia warstwy przywódczej są wyzwaniami, którym należy sprostać. Wokulski to człowiek niby praktyczny i pragmatyczny – udział w insurekcji 1863 r., zsyłka na Syberię nie przeszkadzają mu robić interesów z zaborcą. Liczy się tylko pragmatyzm i jego sukces. Gdy to jednak nie wystarcza, szuka idealnej miłości, sięga po awans społeczny, niemożliwy do osiągnięcia, ponosi spektakularną klęskę. Maciej Kawalski nie pozostawił miejsca na niedomówienia co do losów Wokulskiego opuszczającego stolicę i ostatecznie atakuje cały romantyzm, skazując go na spektakularną śmierć.

Wychodzimy więc z kina poruszeni, ale z dziwnym poczuciem, że jedyną sensowną postawą wobec życia ma być skalkulowany, hedonistyczny, choć wywołany rozżaleniem wobec świata cynizm Wąsowskiej albo wyrachowany i równie cyniczny – bo wyzbyty z idealizmu i naiwności – realizm pani Meliton.

Fot. Kino Świat, MNW, Shutterstock







eprasa.pl 8e...f69eb0





HITY i KITY ZAREMBY

Mądry fresk o polsko-żydowskiej inteligencji

TVP emituje serial „Czas niedokonany", choć niespecjalnie go promuje. To produkcja odziedziczona po poprzedniej ekipie, adaptacja powieści Bronisława Wildsteina. Ta polsko-żydowska saga rodzinna okazała się materiałem na inteligentne kino. Wszystkie odcinki są na VOD

Bronisław Wildstein wydał opowieść o żydowskiej rodzinie Broków i polskiej rodzinie Sokołów w 2011 r. Reżyserem serialu jest Dariusz Gajewski, scenariusz napisał Wojciech Tomczyk.

Benedykt Brok, wnuk cadyka, syn lekarza, naukowiec, potem dziennikarz tygodnika wzorowanego na liberalno-PZPR-owskiej „Polityce", poślubił Zuzannę Sokół, urodzoną pod Wyszkowem. To refleks dziejów samego Wildsteina, syna żydowskiego lekarza wojskowego i kobiety z mazowieckiej wsi. Choć nie jest to, broń Boże, autobiografia.

Tomczyk i Gajewski okroili dzieje Broków, w serialu nie pojawiają się np. rodzice Benedykta. Częściowo zmieniono charaktery i relacje między postaciami, także zakończenie jest nieco inne. W powieści część współczesna rozgrywa się podczas kryzysu finansowego w 2008 r., w serialu – w latach 2019–2020 z finałem w pandemii.

Małżeństwo Zuzanny i Benedykta to nieustanne przyciąganie i odpychanie. Związek podtrzymuje przede wszystkim ona, ale nie zawsze wierny mąż także ją kocha. O ile ona dojrzewa do buntu przeciw systemowi, kończąc jako rozgoryczona solidarnościówka, o tyle on z marcowego buntownika zmienia się w rzecznika gry z PRL w duchu „Polityki".

Można by twierdzić, iż Żyd wypada gorzej od Polki. Ale zarówno Wildstein, jak i Tomczyk to komplikują. Mocno wybijają wątek panicznego strachu Benedykta, podczas wojny zmuszonego do ukrywania się w szafie. Z kolei Zuzanna długo uznaje jego postawę za niemal równoprawny wybór. Jej radykalizację pogłębia 1986 r., kiedy SB morduje jej młodszego brata Tadka. Ogólnie uznaje, że mąż we wszystkim się mylił, choć chyba nadal go kocha. W powieści staje się nieznośną moralistką, serial oszczędza ją w większym stopniu.

Mamy ciekawy obraz życia w PRL i różnych wyborów, nieprostych i rzutujących na losy w III RP. Zuzanna namawia swą kuzynkę, aby przyznała się do niepopełnionych win, a po latach musi akceptować jej pracę w firmie dawnego esbeka Rojka, odpowiedzialnego za śmierć Tadka. Współczesnym wątkiem jest miotanie się Adama, syna Zuzanny i Benedykta. Ten idealny człowiek amerykańskiej korporacji przeżywa kryzys, kiedy biznesowa logika skazuje go na współpracę z Rojkiem, dawnym prześladowcą jego rodziny. Ale mamy również jego ogólniejsze zderzenie z duchem epoki. Czy Adam Brok zdecyduje się na udział w projekcie polegającym na wykuwaniu nowego człowieka?

Poznajemy ciąg celnie uchwyconych sytuacji życiowych, które prowokują do uogólnień. Narracja jest pozbawiona moralizatorstwa. Inaczej niż w powieści losy Broków stają się zarazem tematem filmu w filmie. Bohaterowie sekwencji z przeszłości są zarazem aktorami w tej produkcji. Nie wiem, czy ten cudzysłów był potrzebny.

Tę opowieść poprowadziła dobra obsada. Weronika Książkiewicz (młoda Zuzanna), Krystian Modzelewski (młody Benedykt), Agnieszka Mandat (stara Zuzanna) i Roman Frankl (stary Benedykt) są wiarygodni, bo naturalni. Ujmujący jest Mikołaj Matczak jako Tadek. Mamy świetne role drugiego planu: Piotra Cyrwusa (Rojek), Dariusza Kowalskiego (Goleń, w istocie Rakowski), Lidii Sadowej (Kalina, kochanka Benedykta) czy Sławomiry Łozińskiej (kuzynka Ala).

Sugestywność tego filmu najmocniej podbija jednak Piotr Trojan jako Adam. Bijąca od niego aura pewnej dziwności czyni go trudnym do uchwycenia w wahaniach między relatywizmem a poszukiwaniem prawdy.

Piotr Zaremba

Fot. M. Stoklosa/TVP

Morderca jest zły i tyle

„Szeptacz" Jamesa Ashcrofta to kryminał, od niedawna obecny na Netfliksie. Sugestywny nie tylko dlatego, że gra w nim 83-letni Robert de Niro, choć może nieporywający oryginalnością. I tak sobie myślę, że filmy kryminalne bywają jednymi z ostatnich, w których wyraźnie rozgranicza się dobro od zła

Skądinąd nie we wszystkich. Klasyczny cykl Thomasa Harrisa o kanibalu dr. Lecterze zaczynał się sportretowaniem tej postaci jako niemal absolutnego zła, a kończył niemal krotochwilną historyjką o więzi łączącej go z agentką FBI. „Szeptacz" kreuje świat ludzkich bestii – w typie tych z Harrisa – ale niczego nie relatywizuje.

Świat nie jest tu tak obłaskawiony jak w klasycznych kryminałach, powiedzmy, Alfreda Hitchcocka, ale policja walczy ze złem, jest również wątek odbudowy – zbyt późnej – więzi rodzinnych. Kiedy owdowiały pisarz kryminałów przeprowadza się do innego miasta, jego synek zostaje wywabiony z domu i porwany. *Modus operandi* wskazuje na mordercę dzieci, nazywanego „Szeptaczem", tyle że ten siedzi od lat w więzieniu. Czyżby ktoś go naśladował?

De Niro gra ojca pisarza, oficera policji na emeryturze, który złapał kiedyś „Szeptacza". Syn zwraca się do niego o pomoc, choć przez lata nie mieli ze sobą kontaktu. Przedzieramy się przez lepki świat sprawców i ludzi zafascynowanych zbrodniami. Pedofilia, tu łączona z morderczymi pokusami, to jedna z obsesji współczesnego świata. Lewica i prawica widzą w tej przypadłości co innego, ale coraz mocniej doznajemy wrażenia jej wszechobecności.

Moralny odruch oburzenia zbrodnią jest tu tradycyjny. Zarazem film, adaptacja powieści Alexa Northa, nie formułuje żadnej ideologicznej teorii. Choć może się mylę. Kiedy niedawno chwaliłem za to samo horror „Obsesja" Curry'ego Barkera, dowiedziałem się, że nie widzę feministycznego przesłania. Więc może również tu?



Fot. M. David Lee/Netflix © 2026

„BAL W OPERZE" – KIM SĄ CI LUDZIE?

Artur Barciś wystawił w Teatrze Polonia (Krystyny Jandy) „Bal w operze" Juliana Tuwima. Sam mówi ze sceny cały tekst poematu i robi to efektownie. Wrażenie robi też muzyka Jerzego Satanowskiego. Zastanawiam się jednak, jak dziś patrzeć na ten utwór

„Dzisiaj wielki bal w Operze! / Sam Potężny Archikrator / Dał najwyższy protektorat, / Wszelka dziwka majtki pierze / I na kredyt kiecki bierze" – to początek poematu z 1936 r. Powiedzieć, że to utwór drastyczny, to nic nie powiedzieć. Otwiera go i zamyka stosowny fragment Apokalipsy św. Jana. Nawet gdy ten katastrofizm jest groteskowy (małpy na firmamencie nieba), można poczuć niepokój.

O czym to jest? Z pewnością to satyra na późną sanację, a szerzej – na tradycyjne elity, polityczne, wojskowe, arystokratyczne i plutokratyczne. Choć Tuwim dość szybko porzuca sam bal, zwiedza nocne miasto, wychodzi nawet poza jego opłotki. Spokój zwykłych ludzi jest zderzony z zachłannością wyższych sfer i z policyjną kontrolą nad społeczeństwem („na tajniaka tajniak mruga"). Powtarza się wątek ideologii, mającej porządkować tym ludziom życie (słówko „ideolo" jako refren). W podtekście to ideologia nacjonalistyczna, totalitarna.

Poemat jest niezwykły z powodu zabójczego słowotwórstwa. Dostajemy dziwaczne konstrukcje, tworzące wyrazy i związki frazeologiczne. Nie tak dawno recenzowałem tu inną inscenizację, Agnieszki Płoszajskiej w Operze Kameralnej. Tam dziwaczny, spotworniały język miał mniejsze znaczenie, wszystko było śpiewane, najczęściej chóralnie, nie każde słowo docierało do widza. Ale dostawaliśmy również żywe obrazy hedonizmu i rozwiązłości. Mam wrażenie, że to obraz nawet bardziej pasujący do współczesności.

Barciś mówi ten skomplikowany tekst tak, że słyszymy każde słowo. Scenograf Wojciech Stefaniak zbudował dla niego rusztowanie, on zaś wspina się na podesty, a pod rusztowaniem odsłania kukły syntetycznych bohaterów. Aktor pasuje do roli trochę klowna, trochę konferansjera, jest błazeńsko przerysowany – to częsty motyw jego ról. Pełna groteskowych motywów muzyka Satanowskiego jeszcze wzmacnia ten efekt.

Zastanawiałem się jednak, czym dla niego jest ten tekst. Socjalizujący Tuwim jawił się tu jako moralista, niemal zgorszony „rują i porubstwem" elity, zarazem przedstawiający ją jako niewiele wartą hałastrę. Czy dziś to aktualny problem, czy historyczny fresk?

W tle pojawiają się wizualizacje Franciszka Barcisia. W jednej z nich przemawiają do nas historyczne postaci, łącznie z Adolfem Hitlerem. Pojawia się również Andrzej Duda, mówiący: „To nie ludzie, to ideologia". Jak rozumiem, według autora spektaklu to on jest zideologizowany. Ale czy ideologia LGBT+ naprawdę nie istnieje?

Po premierze minister kultury Marta Cienkowska wręczyła artyście na scenie złoty medal Gloria Artis. Z pewnością na niego zasługuje, to wybitny aktor. Ale bałbym się go spytać, kim są dla niego dzisiejsi dziedzice oligarchii z 1936 r. Zapewne prawicą. Ale czy na pewno tak jest?

eprasa.rzeczpospolita.pl



Maciej Walaszczyk

Ciemna strona nowoczesności

Książka słynnego japońskiego noblisty – kolejna w polskim przekładzie – to przykład prozy modernistycznej. Estetycznej mody, która na początku ub.w. dotarła nawet do ulegającej zachodnim wpływom Japonii. To nazywana nawet „japońskim Ulissesem" maniakalna wędrówka przez Asakusę – obskurną tokijską dzielnicę czerwonych latarni, siedlisko zarówno legalnej, jak i nielegalnej rozrywki oraz wielkie targowisko nieprzyzwoitości.

To trudna lektura. Rodzaj pisanego niejasno i chaotycznie realistycznego reportażu z przełomu lat 1929 i 1930, w którym często nie wiadomo, kto i do kogo mówi. Rejestrując urywki podsłuchanych rozmów, pisarz-narrator wędruje ulicami dzielnicy, zapuszcza się w szemrane zaułki, opowiadając historie „gangu" dziewczyn o imionach Yumiko, Akikō, Umekichi i Haruko. Każda z nich ma własną historię, szybko dorasta w szkole życia, a przez to jest mądra nad swój wiek. Dzielnicę zapełniają bowiem młode dziewczęta, które bieda zmusiła do sprzedawania się. Następuje rozkład wszelkich norm, który sprawia, że kwitnie dziecięca prostytucja, a po okolicy snują się zarówno tradycyjne gejsze, jak i „damskie włóczęgi przebrane za mężczyzn", chuligani, artyści i handlarze. To skutki wielkiego kryzysu, który dotarł również do Azji, sprawiły, że tysiące ludzi zatrudnionych m.in. w wielkich fabrykach włókienniczych wracało na prowincję albo uciekało do miast, a tam do miejsc takich jak Asakusa, która odgrywała swą rolę już w XIX w.

Tak naprawdę tekst jest cichym lamentem nad degradacją tradycyjnej kultury japońskiej. To obraz nowoczesności, gwałtownie wdzierającej się do tradycyjnego świata, nowego, konsumpcyjnego stylu życia i towarzyszącej mu biedy. W sąsiedztwie starożytnych świątyń i teatrów wyrastają betonowe budynki oraz kabaretowe rewie dla dorosłych, mijamy restauracje, strzelnice i pierwsze kino, park zamieszkany przez bezdomnych i 12-piętrową wieżę – pierwszy tokijski „drapacz chmur". Siadając, by wypić kawę lub zapalić papierosa, poznajemy wielu coraz nowszych przyjaciół, wsłuchujemy się w ich historie, choć do końca nie wiemy, na ile są oni prawdziwi. Prawdziwe na pewno są opisy skutków potężnego trzęsienia ziemi, które w 1923 r. zrównało Asakusę z ziemią. Odbudowana w całości została spalona wiosną 1945 r. w wyniku amerykańskich nalotów, które spowodowały śmierć ok. 60 tys. ludzi.



Yasunari Kawabata, „Szkaradny gang z Asakusy", Czytelnik 2026

Cywilizacja jako podmiot historii

Feliks Koneczny to jeden z tych filozofów historii i kultury, których spuścizna została rozpowszechniona dopiero w latach 90. XX w. Wydawane wówczas reprinty jego dzieł, takich jak m.in. „Polskie Logos a Ethos. Roztrząsanie o znaczeniu i celu Polski", „Dzieje Rosji", „Cywilizacja bizantyńska" czy właśnie fundamentalne „O wielości cywilizacji", przypominały, że polska kultura jest częścią cywilizacji łacińskiej, że sama Europa jest jej dziełem, stanowiąc szczytowe osiągnięcie ludzkiego ducha. To wydanie nowe, uwspółcześnione i krytyczne, przygotowane pod redakcją prof. Romualda Piekarskiego.

Koneczny widział unikalność łacińskości w oparciu jej na personalizmie, gwarantującym ochronę ludzkiej wolności przed arbitralną władzą państwa, czy w wyraźnym oddzieleniu prawa publicznego od prywatnego. Nowatorstwo jego podejścia polegało na odrzuceniu zarówno uniwersalnej filozofii dziejów (Hegel, Marks), jak i modelu morfologicznego Spenglera, podkreślającego biologiczne zużywanie się cywilizacji. Koneczny nie zgadzał się, by nauki humanistyczne traktowano jak przyrodoznawstwo, dlatego wypracował oryginalną teorię o istnieniu wielu zwalczających się, różnorodnych cywilizacji. Poza łacińską rozróżniał też m.in. cywilizację bizantyńską, żydowską czy turańską, tworząc wiele kryteriów umożliwiających ich porównywanie. Twierdził, że cywilizacja to kwestia woli wspólnoty, której cywilizacja trwa tak długo, jak długo chce ona żyć według jej zasad. Gdy dąży do ekspansji i jest zaczepna, daje oznaki życia. W innej sytuacji ginie. Ją samą definiował jako metodę szeroko rozumianego ustroju życia społecznego. Twierdził, że fundamentalnym narzędziem cywilizacji jest prawo, wyrastające z obowiązujących zasad moralnych, przenikające się we wspólnych zależnościach z etyką. Dlatego ostrzegał, że w razie konfrontacji cywilizacja subtelniejsza jest narażona na wyparcie przez system mniej wymagający etycznie. Jego teorie z pewnością stawiają go w jednym szeregu z takimi myślicielami jak Samuel Huntington czy Arnold Toynbee. W 1962 r. ukazał się angielski przekład „O wielości cywilizacji" właśnie ze wstępem Toynbee'ego, już wtedy znanego i cenionego autora pomnikowego, 12-tomowego „Studium historii".

Maciej Walaszczyk



Feliks Koneczny, „O wielości cywilizacji", Fronda 2026

eprasa.pl 8eeaf69eb0



Odkrycie roku: poznajcie tilcayo

4 października Kościół obchodził wspomnienie św. Franciszka z Asyżu. W jaki sposób ten święty jest związany z drapieżnymi kotami z ciepłych rejonów obu Ameryk? I dlaczego tegoroczny wrzesień stał się przełomowy dla rodziny kotowatych?



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czy postać włoskiego średniowiecznego świętego, zmarłego równo 800 lat temu, łączy się z tytułowymi ocelotami, średniej wielkości drapieżnymi przedstawicielami rodzaju *Leopardus* o wyjątkowym umaszczeniu sierści? Oczywiście, i to całkiem ściśle. W jaki sposób?

Człowiek, który do drapieżnika z Gubbio zwrócił się: „Bracie wilku" – oprócz oczywiście otwarcia się na miłość Bożą – wielokrotnie udowadniał swoją wrażliwość na przyrodę jako dzieło Boże i słusznie jest uważany za patrona m.in. ochrony przyrody.

Do słów – „Niechaj ziemia wyda rośliny zielone: trawy dające nasiona, drzewa owocowe rodzące na ziemi według swego gatunku owoce, w których są nasiona!" (Rdz 1, 11), „Niechaj się zaroją wody od istot żywych, a ptactwo niechaj lata nad ziemią, pod sklepieniem nieba!" (Rdz 1, 20), „Niechaj ziemia wyda istoty żywe różnego rodzaju: bydło, zwierzęta pełzające i dzikie zwierzęta według ich rodzajów!" (Rdz 1, 24), św. Franciszek dopisał swoje: „Pochwalony bądź, mój Panie, ze wszystkimi Twymi stworzeniami!".

ŚWIĘTY I SUŁTAN

O czym rozmawiał św. Franciszek z sułtanem Al-Kamilem, którego odwiedził w Egipcie w 1218 r.? Oczywiście o przejściu na chrześcijaństwo. Choć sułtan nie przyjął chrztu, historia, w której Franciszek wraz z jednym towarzyszem dotarł pośród walk do muzułmańskiego

Fot. AP Photo/Juan Karita

eprasa.pl 8eeaf69eb0

władcy, a ten wbrew doradcom nie ściął go, lecz zaprosił i prowadził długą dyskusję, a następnie nakarmił i bezpiecznie odesłał, jest niezwykła. Czy podczas spotkania rozmawiali o przyrodzie, np. o ptakach i ornitologii?

Kto wie, sułtan Al-Kamil przez wiele lat prowadził ornitologiczną korespondencję z cesarzem Fryderykiem II. Nie tylko korespondencję – wysłał bowiem cesarzowi papugę kakadu żółtoczubą (*Cacatua galerita*), o czym wiemy z cesarskich zapisków i rysunków, Fryderyk II był bowiem autorem traktatu o ptakach, opisującego podobno 900 gatunków tych stworzeń. Jego prace przedstawiają m.in. wizerunek australijskiej papugi, która – zwróćmy uwagę – trafiła do Europy jak gdyby nieco za wcześnie, bo w XIII w.

PO DRUGIEJ STRONIE OCEANU

Święty z Asyżu raczej nie słyszał o ocelotach, wiedza o nich trafiła do Europy prawie trzy wieki po jego czasach, choć przykład kakadu pokazuje, jakie tajemnice skrywają stare dokumenty i dzieła sztuki.

Dlaczego w 800. rocznicę śmierci św. Franciszka warto zwrócić uwagę na ocelotы? Ze względu na wspomnianą różnorodność tej grupy mogłyby stać się jednym z symboli bioróżnorodności w ogóle. Bioróżnorodności będącej podstawową cechą stworzonego świata, która tak fascynowała św. Franciszka z Asyżu.

> Odkrycie nowego gatunku sporego zwierzęcia jest rzeczą ciekawą. Odkrycie sporego ssaka jest unikatem. Odkrycie kotowatego drapieżnika, takiego jak ocelot tilcayo, jest natomiast sensacją, która zdarza się nie częściej niż raz na 100 lat

ZRÓŻNICOWANY *LEOPARDUS*

Systematyka ocelotów obejmuje być może nawet kilkanaście gatunków kotowatych drapieżników z rodzaju *Leopardus*, zamieszkujących tereny od południa Stanów Zjednoczonych, poprzez Meksyk, Przesmyk Panamski, Amazonię, aż po południową Argentynę.



Ocelot chilijski (*Leopardus guigna*)

Wśród ocelotów są koty całkiem spore, np. ocelot wielki (*Leopardus pardalis*), dzielący się na co najmniej dwa podgatunki, dorastający do ponad 15 kg masy i prawie 80 cm długości ciała, nie licząc ogona.

Są również znacznie mniejsi przedstawiciele rodzaju *Leopardus*: kolokolo, czyli kot pampasowy (*Leopardus colocola*), waży przeważnie ok. 2 kg, podobnie jak kodkod – ocelot chilijski (*Leopardus guigna*).

Środowisko życia poszczególnych gatunków i podgatunków ocelotów, których znamy kilkanaście, obejmuje zarówno nizinne lasy tropikalne Ameryki Południowej i Środkowej, andyjskie tereny górskie aż do wysokości 5 tys. m n.p.m., stepową pampę, lasy mangrowe porastające wybrzeża i słonawe ujścia rzek oraz zalewane wodą *llanos*, będące na przemian wielkim mokradłem i trawiastą równiną. Ich rozległy zasięg i szerokie spektrum zamieszkiwanych siedlisk pokazuje, że są zwierzętami uniwersalnymi, inteligentnymi, o zdolnościach przystosowawczych, a przy tym bardzo sprawnymi drapieżnikami.

Cechą wspólną jest zamiłowanie do wspinaczki na drzewa, w czym nie dorównuje im być może żaden inny kot. W szczególności leśne gatunki ocelotów spędzają w koronach drzew większość życia, nie tylko przesypiając dzień wysoko na konarze lub w dziupli, lecz także polując po zapadnięciu zmroku wysoko nad ziemią na wszelkie drobne i średnich rozmiarów zwierzęta – od małp, poprzez oposy, papugi, tukany, węże, aż po nadrzewne żaby i większe owady.

Mistrzami nadrzewnej wspinaczki są margaje. Te oceloty wykorzystują nie tylko długie ogony, właściwe też innym gatunkom, lecz także wyjątkowe zdolności tylnych stóp do obracania się o 180 st. wzdłuż długiej osi kończyn (pronacji i supinacji), co umożliwia im schodzenie z drzew głową w dół. Margaje potrafią także zwisać w dół na tylnych łapach, przednimi chwytając zdobycz i wykonując różne czynności, a także błyskawicznie poruszać się po kołyszących się lianach i dających nikłe oparcie pnączach.

Wszystkie oceloty są również zwierzętami związanymi z wodą. Ich tropy

eprasa.pl 8eeaf69eb0

często znajduje się na brzegach cieków wodnych, a drapieżniki nie stronią nie tylko od pływania i nurkowania, lecz także regularnego, aktywnego podwodnego polowania na ryby, kraby i inne skorupiaki.

Oceloty wyróżnia spośród kotowatych wspólny, właściwy ich rodzajowi typ umaszczenia. Zależnie od gatunku kolor sierści różni się: od żółtopomarańczowego, poprzez płowy, brązowawy, aż po szarawy, z nutą ciepłej żółci, widoczną mniej lub bardziej, lecz zawsze obecną. Zawsze obecne są również cętki, niekiedy tworzące wyraźny, ciemny wzór z dodatkową plamą wewnątrz, podobnie jak u jaguarów (niektóre oceloty wyglądają wręcz jak miniaturki jaguarów), a czasem tylko zaznaczone delikatniej na łapach i w cieniowaniu plam na ciele, jak u ocelotów z brazylijskiego Pantanalu. U gatunków leśnych i związanych z terenami podmokłymi trafiają się formy melanistyczne.

Oceloty prowadzą skryty, samotny tryb życia, stykając się ze sobą – jak się przypuszcza – jedynie w okresie godowym.

Ich cechą wspólną jest również słaby stopień zbadania. Zależnie od gatunku



Margaj – ocelot nadrzewny (*Leopardus wiedii*)

dysponujemy jedynie mniej lub raczej bardziej fragmentarycznymi, ogólnikowymi wiadomościami. W zasadzie informacja o braku dostatecznej wiedzy na temat zwyczajów, rozmieszczenia, zagrożenia, wymagań czy biologii pojawia się przy opisie każdego z gatunku ocelotów i możemy tylko przypuszczać, że wiele tajemnic tych drapieżników wciąż jest niewyjaśnionych.

NOWOŚĆ Z BOLIWIJSKICH ANDÓW

W wrześniu br. na podstawie badań genetycznych wykazano istnienie kolejnego gatunku ocelota (*Leopardus tilcayo*). Po analizie DNA potwierdzono przypuszczenia, że koty żyjące w górskich lasach mglistych (las mglisty to typ lasu z Ameryki Południowej i Środkowej) na wysokości ok. 1,5 tys. m n.p.m. na wschodnich zboczach boliwijskich Andów w prowincji Nor Yungas są odrębnym gatunkiem.

Wcześniej tilcayo były obserwowane, trafiały nawet do ośrodków hodowlanych prowadzących programy ochrony ocelotów – sama nazwa nawiązuje zresztą do dawnej nazwy lokalnej. Zakładano jednak, że jest to znany już wcześniej ocelot tygrysi (*Leopardus tigrinus*), a nie zupełnie nowy takson.

Odkrycie nowego gatunku sporego zwierzęcia jest rzeczą ciekawą. Odkrycie sporego ssaka jest unikatem. Odkrycie kotowatego drapieżnika, takiego jak ocelot tilcayo, jest natomiast sensacją, która zdarza się nie częściej niż raz na 100 lat.

I BYĆ MOŻE NIE OSTATNIE

Jeżeli ktoś chciałby poświęcić się poszukiwaniu nowych, nieznanych jeszcze gatunków kotowatych, z pewnością oceloty są grupą wartą uwagi. Pokazuje to opisanie tilcayo, pierwszego odkrytego nowego gatunku kotowatego po ponad 100 latach. Poprzednie odkrycie miało bowiem miejsce w 1923 r., a gatunkiem wówczas odkrytym był kolokolo – ocelot pampasowy.



Kolokolo – ocelot pampasowy (*Leopardus colocola*)

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl 8eeaf69eb0



ICH SMAKI: BOHATEROWIE PEŁNOMETRAŻOWEGO DOKUMENTU „NAJLEPSZA OWSIANKA NA ŚWIECIE"

Zabawy z owsianką

Światowy Dzień Owsianki? To nie żart, a – dla sporej grupy wielbicieli tego pożywnego dania – bardzo poważna sprawa. Inicjatorem święta, obchodzonego 10 października, jest szkocka organizacja charytatywna Mary's Meals. Odbywające się w Carrbridge Mistrzostwa Świata w Gotowaniu Owsianki również mają szkocki rodowód. To właśnie o tym wydarzeniu – jego organizatorach, uczestnikach i kulinarnej rywalizacji – opowiada dokument „Najlepsza owsianka na świecie", który przedpremierowo (w Dniu Owsianki) będzie można obejrzeć w 10 miastach i 15 kinach, a na dobre trafi na duże ekrany na początku listopada.

Carrbridge, gdzie rozgrywa się akcja, to malownicza wioska na północy Szkocji. Jesienią zjeżdżają do niej pasjonaci z całego świata, by walczyć o tytuł mistrza świata w przyrządzaniu owsianki. Mają do dyspozycji bazowe składniki: płatki owsiane, wodę i sól.

Dlaczego owsiance przypisuje się szkocki rodowód, mimo że historycznych śladów tego dania można doszukać się w wielu europejskich krajach? Prawdopodobnie dlatego, że zdominowała dietę Szkotów. Owies (sprowadzony do Szkocji ok. 600 r.) można z powodzeniem uprawiać na ubogich wyżynnych glebach, również w Highlands, gdzie jest położone Carrbridge.

Ponieważ przez długi czas nie znano metod długoterminowego przechowywania owsa, przygotowywano z niego gęstą masę, którą następnie studzono i trzymano w specjalnej drewnianej szufladzie, skąd wybierano ją przez kilka kolejnych dni. Po ostygnięciu stawała się gęsta i zwarta – podawano ją w grubych plastrach na lunch albo smażono na śniadanie.

Owsianka stała się trwałym elementem szkockiego życia: była uwieczniana w poezji i pieśniach, żołnierze zabierali ją ze sobą na wojny już w XIV w., a w szkockim folklorze od dawna wiąże się ją ze szczęściem i pomyślnością. Ważną rolę w przygotowaniu tradycyjnej szkockiej owsianki spełnia mieszadło – spurtle: drewniane, gładko wypolerowane narzędzie z drzewa bukowego, którego kształt pomaga uzyskać jednolitą, najbardziej pożądaną, konsystencję. Według druidów potrawę należy mieszać, wyłącznie naśladując kierunek wędrówki słońca (czyli zgodnie z ruchem wskazówek zegara) w przeciwnym razie wzywa się diabła.

Constantine Costi, reżyser „Najlepszej owsianki na świecie", nazywa swój film „małym uniwersum wielkich osobliwości i marzeń". Poza „radosnym absurdem samego konkursu" jest w nim mocno podkreślona potrzeba i waga kultywowania lokalnej tradycji. I jest świat „jednocześnie ogromny i maleńki, wraz z całym jego zachwycającym humorem i urokiem".

Jolanta Gajda-Zadworna

Kremowa owsianka

Składniki: 0,5 szklanki płatków owsianych (górskich lub zwykłych), 1 szklanka wody, szczypta soli, ok. 0,5 szklanki mleka, napoju roślinnego lub mleczka kokosowego, 1 łyżeczka miodu lub syropu klonowego, dodatki: świeże owoce, orzechy, cynamon lub wanilia.

Wykonanie: Wsyp płatki owsiane do rondelka z grubym dnem, zalej wodą i dodaj szczyptę soli. Gotuj na małym ogniu bez przykrycia przez 6–8 minut, aż płatki wchłoną wodę i napęcznieją (nie mieszaj w tym czasie). Wlewaj stopniowo mleko lub mleczko kokosowe, aby uzyskać gładką, kremową konsystencję. Dodaj miód i ulubione przyprawy. Przełóż do miski, potem udekoruj świeżymi owocami lub orzechami.

Fot. Gutek Film

eprasa.pl 8eeaf69eb0

SŁODKO-SŁONY



Dynia, moja jesienna miłość

ANNA MONICKA

Kiedy zaczęła się moja przygoda z dynią? Jakoś w przedszkolu i nie za dobrze. Zaprawiona mlekiem mdła zupa była tak obrzydliwa, że nie mogłam jej przełknąć, więc „panie" naskarżyły na mnie mamie. Ta na szczęście zrozumiała mój ból. W rodzinie nie było tradycji jedzenia dyń, bo nikt nie umiał ich przyrządzać inaczej niż kucharki w przedszkolu. Mama tylko czasem robiła marynowaną w kostkach, ale nie przepadała za oprawianiem olbrzymek, kuchnia wyglądała potem jak rzeźnia. Innych odmian nie było, nikt nie słyszał o Hokkaido, Butternut czy makaronowej. Ale gdy wreszcie – już jako dorosła amatorka nowinek kulinarnych – zaczęłam kupować na próbę różne dynie, coraz śmielej pojawiające się u rolników, okazały się naszą jesienną miłością.

Każdy w domu ma swoje typy – córka najbardziej lubi mączystą japońską odmianę Kabocha, mąż płaskiego, zielonkawoniebieskiego Nelsona, a ja zdecydowanie piżmowe, zwłaszcza te przypominające wielkie gruszki czy gigantyczne ogórki. Są słodsze i bardziej aksamitne w smaku, nie mają włókien i nadają się nawet na desery. No i mają jeszcze jedną zaletę – można je kroić ostrym nożem jak steki (a nie rąbać czy piłować), a plastry piec lub smażyć na patelni grillowej. Mają również wyjątkowo małe gniazda nasienne. Odkąd kupiłam air fryer, uzależniłam się od dyni pieczonej gorącym powietrzem jak frytki (posmarowane oliwą i oprószone cynamonem z czarną solą Kala Namak o wyrazistym smaku gotowanych jaj).

Córka natomiast piecze paj, wzorowany na amerykańskim pumpkin pie na kruchym spodzie. Zagniata ciasto z 300 g mąki, 200 g masła i 100 g cukru, wbija 1 jajko, dodaje szczyptę proszku do pieczenia i odrobinę soli. Wkłada je na dwie godziny do lodówki, a potem wykleja blaszkę do tarty (23–24 cm średnicy), robi wysoki rant i piecze w dobrze nagrzanym piekarniku na złoto. Nadzienie robi z pieczonych dyni z jabłkami (60 do 30 dag) zmiksowanymi z gęstą śmietanką 30 proc. (0,5 szklanki), 3 jajkami, stołową łyżką cukru i przyprawami – łyżeczką cynamonu, ½ łyżeczki imbiru, szczyptą mielonych goździków i soli. Mus wylewa na upieczony spód i piecze całość najpierw 30 minut w 200 st. Celsjusza, a potem drugie tyle w 170 st. Celsjusza. Podaje z bitą śmietaną.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Bezcenna pospolitość

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kiedy mowa o ochronie przyrody z punktu widzenia ochrony gatunkowej, pierwsze, co przychodzi na myśl, to gatunki rzadkie. Te podlegające ochronie prawnej, takie jak świstak tatrzański, jesiotr ostronosy, orzeł przedni, kraska, podejźrzon księżycowy, brodaczka szmaragdowa. Albo gatunki rzadkie i wymagające ochrony, ale niewymienione w stosownych rozporządzeniach w sprawie ochrony gatunkowej, jak ślimak długowłosy.

Każdy z gatunków rzadkich odgrywa swoją rolę w przyrodzie, każdy niewątpliwie jest fascynujący. Niekiedy rzadkość wynika z samej istoty stworzenia – wspomniany orzeł przedni jako duży drapieżnik na szczycie drabiny pokarmowej nigdy nie będzie liczny – ogranicza go potrzeba posiadania dużego terytorium, dostępność zdobyczy i inne. Rzadkość w przypadku dużych drapieżników jest więc ich cechą naturalną (co nie zmienia faktu, że na ogół są znacznie rzadsze, niż dopuszczałaby pojemność środowiska).

Zdarza się natomiast, że ekscytując się rzadkościami – co jest w pełni zrozumiałe i pociągające – zapominamy o gatunkach pospolitych i powszechnych, które można nazwać istotnymi ekosystemowo. A może nawet kluczowymi ekosystemowo. Ich liczebność i powszechność sprawiają, że są filarami funkcjonowania ekosystemów. Niekiedy pozostają przeoczane, pomijane, niebudzące zaciekawienia, bo są wszędzie. Do czasu, aż zaczyna ich brakować albo ich liczebność spada na tyle, że przestają odgrywać swoją rolę.

Pszczoły – o nich wiadomo. Kiedyś natknąłem się natomiast na informację o wyraźnym spadku liczebności dżdżownic w Wielkiej Brytanii (tam akurat to zbadano). Te bezkręgowce to główna biomasa zwierząt w wielu ekosystemach. Na jednym hektarze mogą żyć ich setki kilogramów. Glebie są niezbędne. Nie przeprowadzałem badań w tym zakresie, ale również zauważyłem, że dżdżownic jest mniej.

Może się nie pokazują, bo jest sucho. A może dlatego, że jest sucho – jest mniej dżdżownic. Susza, zmiana struktury gleby, może zanik bakterii chroniących ich miękkie ciała. Chyba do końca nie wiemy.

Oprócz gatunków rzadkich monitorujmy więc te powszechne lub tradycyjnie uważane za powszechne. Oprócz orłów spójrzmy na szpaki, oprócz jelonka rogacza zastanówmy się nad dżdżownicami, a szukając storczyków, znajdźmy krwawnik i rumianek.

eprasa.pl 8eeaf69eb0

3 MIŁOŚCI

Fabryka kremów



ROBERT TEKIELI

Magda Biejat przyszła do AboTak, by opłacić komuś aborcję. W USA samotne macierzyństwo w ciągu 50 lat wzrosło o 700 proc., spożycie antydepresantów wśród kobiet – o 250 proc. W wyniku eugenicznej aborcji na życzenie na ulicach Starej Europy nie widuje się dzieci z zespołem Downa. Od 1959 r. w PRL dokonano 20 mln aborcji. W Holandii od dwóch lat legalna jest – obok eutanazji dzieci – aborcja postnatalna. W Hiszpanii 21,3 proc. wszystkich ciąż kończy się aborcją, w Rosji – 73 proc. Liczba małżeństw na Zachodzie radykalnie spadła; w Europie liczba małżeństw na 1 tys. osób spadła dwukrotnie, w Portugalii 94 proc. małżeństw kończy się rozwodem. W ciągu ostatnich 100 lat abortowano 1,5 mld dzieci. Słownie: miliard pięćset milionów. W Hiszpanii jedno niewielkie centrum aborcyjne dostarcza miesięcznie średnio 250 kg dziecięcego mięsa do fabryki kremów, w których produkuje się z niego kolagen – tę informację przyniosło niezależne śledztwo dziennikarskie. Feminizm jest zbrodniczą ideologią. Feministki mają na sumieniu 100 razy więcej istnień niż naziści.

Skąd to szaleństwo? Pierwszą falą feminizmu był ruch sufrażystek, który walczył o równość kobiet, w tym o możliwość głosowania. I nie o nim tu mowa. Feminizm XX i XXI w. to już zupełnie inna historia. Oto mały portret jednej z prekursorek drugiej fali feminizmu.

Margaret Sanger, urodzona w 1879 r. aktywistka feministyczna, widziała w macierzyństwie „niewolnictwo reprodukcji", z którego pragnęła uwalniać kobiety, wzorując się na marksistowskiej koncepcji ucisku i wyzwolenia. Twierdziła, że kobieta jest właścicielką swojego ciała oraz swojej płciowości i może nimi zarządzać tak, jak się jej podoba. Zanegowała obiektywny porządek prokreacji i macierzyństwa. Była promotorką antykoncepcji i kontroli urodzin. Opowiadała się za sterylizacją i przymusową aborcją ze względu na rasę, pochwalała tezy nazistowskiego programu eugenicznego. W 1916 r. ta globalna prekursorka cywilizacji śmierci otworzyła pierwszą w USA „klinikę planowania rodziny". Pięć lat później stworzyła Amerykańską Ligę Kontroli Urodzeń (ABCL), która 20 lat później zmieniła nazwę na Planned Parenthood. Sanger zainicjowała I Światowy Kongres Kontroli Urodzeń w Genewie, przyczyniła się do rozwoju masowego ruchu „wolnej miłości", finansowała badania prowadzące do stworzenia pigułki antykoncepcyjnej. Doprowadziła do uznania w 1965 r. przez Sąd Najwyższy USA zakazu używania środków zapobiegania ciąży za sprzeczny z konstytucją.

Feminizm – poprzez forsowanie swoich najważniejszych haseł, w tym aborcji na życzenie – przyczynił się do demograficznej zapaści Zachodu

Sanger: „Pozwolenia na rodzicielstwo po złożeniu wniosku powinny wydawać władze miast, hrabstw czy stanów parom małżeńskim". „Zezwolenie na małżeństwo samo w sobie powinno dać mężowi i żonie tylko prawo do wspólnego domu, a nie prawo do rodzicielstwa". „Żadne pozwolenie na rodzicielstwo nie powinno być ważne więcej niż na jedne narodziny" („Ameryka potrzebuje kodeksu dla dzieci", 1934). To totalitaryzm. Teraz rasizm: „Nauka katolicka jest nielogiczna, niezgodna z nauką i zdecydowanie sprzeczna z opieką społeczną i poprawą rasy" („Stanowisko papieża w kwestii kontroli urodzin", 1932). „Zastosować należy surową i sztywną politykę sterylizacji i segregacji wobec tej klasy ludności, której potomstwo jest skażone albo której dziedziczenie jest tego typu, że cechy niedopuszczalne mogą być przenoszone na potomstwo" („Moja droga do pokoju", 1932). „Eugenika bez kontroli urodzin wydaje się nam domem zbudowanym na piasku" („Kontrola urodzin a poprawa rasy", 1919). „Największym problemem dzisiaj jest to, jak ograniczyć nadmierną płodność i zniechęcić do niej niedorozwiniętych umysłowo i fizycznie" („Eugeniczna wartość propagandy kontroli urodzin", 1921). „Znajomość kontroli urodzin jest zasadniczo moralna. Jej ogólna, choć roztropna praktyka musi doprowadzić do wyższej indywidualności i ostatecznie do czystszej rasy" („Moralność a kontrola urodzin", 1918). „Upośledzenia umysłowe utrwalają się wśród szeregów tych, którzy są beznamiętnie obojętni na swoje rasowe powinności" („Oś cywilizacji", 1922). „Te dwa słowa [kontrola urodzin] streszczają całą filozofię [...]. Oznacza to uwolnienie i rozwijanie lepszych elementów w naszym społeczeństwie oraz stopniowe tłumienie, eliminację i ostateczne wytępienie ułomnego potomstwa – tych ludzkich chwastów, które stanowią zagrożenie dla rozkwitu najpiękniejszego kwiecia cywilizacji amerykańskiej" („Najważniejsze wydarzenia w historii kontroli urodzin", 1923). „Jeśli mamy

eprasa.pl 8eeaf69eb0



dokonać postępu rasowego, ten rozwój kobiecości [akceptacja kontroli urodzin] musi poprzedzić macierzyństwo u każdej kobiety" („Kobieta i nowa rasa", 1920). „Chcę, aby w świat poszła wieść, że chcemy eksterminacji murzyńskiej populacji" („List do doktora Clarence'a J. Gamble'a", 1939). „Przyjęłam zaproszenie, by przemówić do kobiecego oddziału Ku Klux Klanu [...]. Zaprowadzono mnie na podium, przedstawiono i zaczęłam przemawiać" („Autobiografia", 1938).

Kliniki aborcyjne Planned Parenthood w większości są rozmieszczone na obrzeżach dzielnic amerykańskiej czarnej biedoty.

Margaret Sanger walczyła z dobroczynnością: „Zorganizowana dobroczynność jest sama w sobie symptomem złośliwej choroby społecznej" („Oś cywilizacji", 1922). „Największym przejawem litości, jaki duża rodzina może okazać jednemu ze swoich niemowlęcych członków, to zabić go" („Niegodziwość tworzenia dużych rodzin", 1920). „Sądzę, że nie powinno być więcej dzieci" (wywiad z Johnem Parsonsem, 1947).

Na początku lat 60. Margaret Sanger nawiązała kontakt z Gregorym Pincusem, który za jej namową skutecznie zajął się stworzeniem doustnego środka antykoncepcyjnego, którego powszechne używanie zmieniło zbiorową świadomość Zachodu. Dziecko zaczęło być traktowane jako intruz, przed którym należy się zabezpieczyć na wszelkie sposoby. To doustny środek antykoncepcyjny doprowadził do dzisiejszego wymierania społeczeństw zachodnich.

Sagner nienawidziła dzieci, rodzicielstwa, małżeństwa oraz Kościoła katolickiego.

Polecam lekturę biogramu aborcjonistki, zamieszczonego w Wikipedii, „wolnej encyklopedii". Jest on polemiką z prawdą, polemiką przedstawiającą Margaret Sanger jako świetlaną postać zatroskaną o los ludzkości. Wikipedia to podstawowe źródło wiedzy dla młodego pokolenia. Ktoś się dziwi, że stało się ono lewicowe? Globalne korporacje, monopolizujące kanały komunikacyjne współczesnego świata, ukrywają zbrodniczy charakter różnych nurtów współczesnej rewolucji, walczącej z cywilizacją wywiedzioną z Objawienia. Poglądy Margaret Sanger, współtwórczyni ideologii feministycznej, dają wgląd w obraz świata, który jest budowany przez neomarksistów.

I jeszcze kilka słów o innych ważnych dla feminizmu postaciach.

Urodzona w 1942 r. Alison Jagger w broszurze używanej na kursach dla kobiet pokazuje, jaki powinien być pożądany rezultat rewolucji klas płciowych: „Zniesienie rodziny biologicznej wyeliminuje także potrzebę opresji seksualnej. Męski i żeński homoseksualizm oraz pozamałżeńskie stosunki płciowe nie będą już postrzegane w optyce liberalnej jako opcje alternatywne. Sama »instytucja« współżycia płciowego, gdzie kobieta i mężczyzna odgrywają określone role, zniknie". A ludzkość będzie mogła wreszcie powrócić do swej naturalnej, wielopostaciowej i perwersyjnej seksualności.

Shulamith Firestone w swej książce „The Dialectic of Sex" („Dialektyka płci"), opublikowanej w 1970 r., modyfikuje ideę walki klas i wzywa do „rewolucji klas płciowych" (sex-class revolution): „aby wyeliminować klasy płciowe, klasa podrzędna (kobiety) musi się zbuntować i przejąć kontrolę nad reprodukcją". To oznacza, że celem rewolucji jest wyeliminowanie różnicy między płciami. Według Firestone kobiety są zniewolone przez macierzyństwo i wychowywanie dzieci, a warunkami koniecznymi do wyzwolenia kobiet są: aborcja na żądanie, antykoncepcja, całkowita wolność seksualna, masowe zatrudnienie kobiet i utrzymywane przez państwo żłobki.

Urodzona w 1956 r. Judith Butler, amerykańska profesor literaturoznawstwa i aktywna lesbijka, w swojej książce pt. „Gender Trouble: Feminism and The Subversion of Identity" (1990), ogłasza koncepcję performatywności płci oraz tworzy „queer theory". Samo istnienie płci biologicznej uznaje za dyskursywne i kulturowe. Mamy mieć do czynienia jedynie z iluzją jej naturalności, organiczności i pierwotności. Według Judith Butler zarówno płeć kulturowa, jak i sposób rozumienia płci biologicznej są konstruktami społecznymi.

Rok temu niemiecka feministka Bini Adamczak w rozmowie o „niesamowitym wydarzeniu w historii ludzkości", czyli o rewolucji październikowej, tak mówiła w „Bez dogmatu": „Nowe [sowieckie] prawo dotyczące małżeństwa było najbardziej postępowe na świecie [...] pozwalało na ślub lub rozwód za pomocą zaledwie jednej kartki papieru". Bolszewicy „nie chcieli uczynić mężczyzn i kobiet równymi i dać im pełne uznanie. Chcieli całkowicie znieść system podziału na płeć".

Kilka lat temu oglądałem film z Chile, na którym wyjące, szczekające, obnażające się feministki pluły w twarze i ocierały o trzymających się pod ręce, modlących się na różańcu młodych mężczyzn, chroniących własnymi ciałami katolicką katedrę przed profanacją.

I na koniec coś, czego nie potrafię skomentować. Lisa Williams i Anniki Somerville z brytyjskiego kolektywu HotBed powiedziały: „Feminizm dąży do równości kobiet i mężczyzn. Ale kobiety nadal są na straconej pozycji. Obok różnicy w wynagrodzeniu, o czym wiele się mówi, jest ogromna luka w orgazmie, który to problem jest rzadziej podnoszony". Cóż, feministkom wypada życzyć zapełnienia tej luki.

Feminizm – poprzez forsowanie swoich najważniejszych haseł, w tym aborcji na życzenie – przyczynił się do demograficznej zapaści Zachodu. W obliczu mającego dziś miejsce starcia z islamem feministki kładą wielkie zasługi w trwającym właśnie zamykaniu rozdziału historii pt. cywilizacja chrześcijańska.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 8eeaf69eb0

OGNIEM NA WPROST

Kijowski bardak cz. 1



Andrzej Rafał Potocki

Na nic zdało się zaklinanie rzeczywistości przez krawaciarzy w Kijowie i odrdzewianie upowskiej bandyterki. Sondaże prezydenta Zełenskiego dołują, a na kijowskich salonach w ogóle zaczęła się niezła jazda. O ile armia ukraińska trzyma się nieźle, a lokalnie odnosi nawet spore sukcesy (choć ofensywa dronowa nie przełożyła się na jakieś duże przełamanie), o tyle państwo ukraińskie trzeszczy. Głównie z powodu postępującego upadku autorytetu prezydenta i rozpadu dotychczasowego systemu „zgody narodowej", z której wyłamywały się tylko jednostki, szybko pacyfikowane przez ogół publiki. Tym razem jednak jest inaczej, a prezydent Zełenski jest zmuszany do kolejnych politycznych odwrotów. Słabnąca pozycja głowy państwa z jednej strony ośmiela tych, którzy chętnie go dopadną – jak służby antykorupcyjne NABU i SAPO, z drugiej – prowokuje służby specjalne do walki o dostęp do funduszy, szczególnie do półlegalnych interesów. Niewątpliwe sukcesy na polu tworzenia i produkcji coraz lepszych broni typu drony i rakiety (w tym rakiety balistyczne) nie zmieniają sytuacji samego prezydenta. Nie zmieniają jej nawet sukcesy 3. Korpusu „Azow". Nie zmieniają, bo Ukraińcy widzą większe zagrożenie w korupcji niż w wojnie. Mniej nienawidzą Moskala niż własnego polityka (a Moskali nienawidzą serdecznie).

Rozpętana przez prezydenta Zełenskiego antypolska i probanderowska histeria wypaliła się dość szybko. Przez dwa miesiące w ukraińskich mediach można było przeczytać tony bełkotu, łącznie z tym, że Polska to taki sam okupant jak Kacapia. A w czerwcu znaczna część Ukraińców stwierdziła, że sprawy sporne z Polską należy załatwić polubownie. W ślad za porażką antypolskiej narracji Kijów zaczął lansować postać Iwana Mazepy, którego pomniki mają zastąpić obalone posągi Lenina. Jest to oczywiście gest bardziej antyrosyjski niż antypolski, ale liczący się z polskim stanowiskiem. Zełenski odpuścił, bo już w czerwcu było widać, że po chwilowym niewielkim skoku jego popularność znowu spada.

Oczywiście wpływ na to miała również afera z ministrem obrony Ukrainy Mychajłem Fedorowem, który został usunięty z urzędu, a potem wymuszona na prezydencie dymisja Naczelnego Wodza SZU Ołeksandra Syrskiego, ksywa „Rzeźnik" (nareszcie). Oba te wydarzenia miały jednak miejsce w lipcu, a trend spadkowy pojawił się już w czerwcu. W ramach poprawiania pogarszających się nastrojów prezydent Zełenski postanowił zmienić rząd. Bo kiedy agencja towarzyska przynosi straty, wymienia się firanki. Premier Julija Swyrydenko, która wynegocjowała umowę surowcową z USA i eksport broni dla wybranych partnerów (własne fundusze dla Ukrainy), dostała propozycję objęcia posady ambasadora w USA. Przy okazji prezydent Zełenski chciał dyskretnie odwołać z placówki w Ameryce umoczoną w korupcję Olhę Stefaniszynę. Swyrydenko jednak odmówiła i 14 lipca rzuciła kwitem wobec Werhownej Rady. Razem z nią poleciał cały rząd. Dwa dni później Zełenski powołał nowy gabinet, w którym nie było już Fedorowa, a na czele Ministerstwa Obrony stał – jako pełniący obowiązki – Jewhenij Chmara, wywodzący się z jednostki specjalnej Alfa podległej SBU. To z kolei policzek dla wywiadu wojskowego (HUR), którym do niedawna kierował gen. Kyryło Budanow, obecny szef Urzędu Prezydenta. Decyzja głowy państwa, szczególnie zrealizowana w tak głupi sposób, wywołała masowe protesty ulicy, a część wojskowych – w tym gen. Mychajło Drapaty, a szczególnie jednostki liniowe – zaprotestowała. Płk Pawło Jelizarow, zastępca dowódcy Sił Powietrznych Ukrainy, złożył rezygnację. Gen. Syrski, wspierany przez sztabowy beton, początkowo się puszył, ale kiedy ulica dała Zełenskiemu ultimatum, że do 24 lipca generał ma zostać odwołany, prezydent potulnie zdjął „Rzeźnika" trzy dni przed upływem terminu. Na jego miejsce został powołany Drapaty, dobrze przyjmowany w społeczeństwie i utrzymujący relacje z Fedorowem. To druga – po zadymie wokół NABU i SAPO – sytuacja, kiedy prezydent Ukrainy ugina się pod presją ulicy.

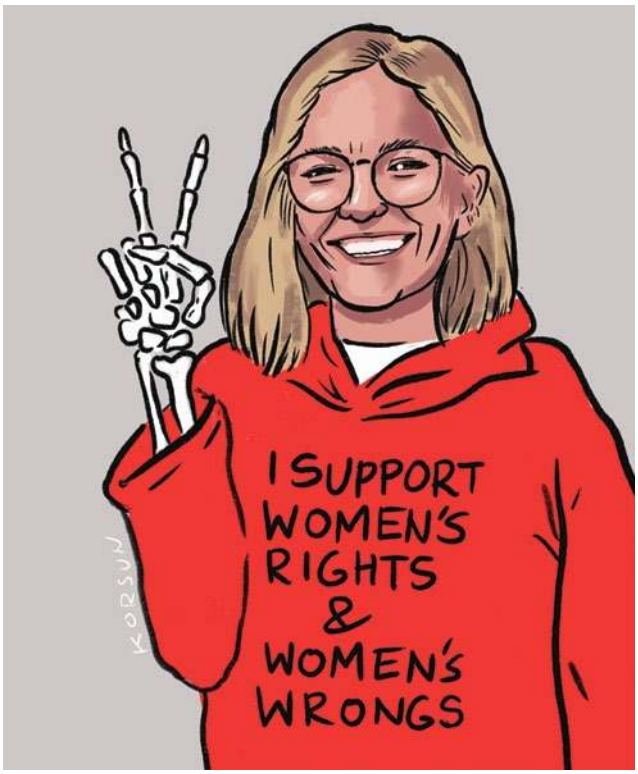
Ale to dopiero początek kijowskiego horroru. W nocy z 1 na 2 września w mieszkaniu przy ul. Szumskiego w Kijowie doszło do strzelaniny. Szybko się okazało, że strzelali do siebie żołnierze jednostek specjalnych: członkowie Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego podległego HUR oraz Alfy, podległej SBU. Do wymiany ognia doszło w mieszkaniu jednego z dowódców RKO (ruska jednostka walcząca dla Kijowa) podczas próby przeszukania go przez SBU. Sam oficer został wcześniej pojmany przez bezpiekę. W wyniku strzelaniny trzech żołnierzy HUR zostało rannych. Ciąg dalszy meandrów kijowskiej polityki za tydzień, bo teraz nie starczyło miejsca.

Współpraca: ***„Skipper"***

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8eeaf69eb0

***Michał Korsun** prezentuje:*
Magda Biejat, czyli aborcja z uśmiechem



Wycinki z przeszłości

31 sierpnia 1939 r., dzień przed wybuchem wojny, w polskich mediach i społeczeństwie narastało poczucie grozy. „Kurjer Warszawski" informował o niemieckich strzałach na polskiej granicy. W rejonie Rybnika bojówki ostrzeliwały m.in. urząd celny w Krywałdzie i fabrykę Lignoza, zabudowania w Wilczy Dolnej. W powiecie przasnyskim zaatakowano placówkę straży granicznej. Ataki odparto, a według gazety nie było ofiar.

(sp)


Cena 10 gr
Czwartek
Dnia 31 sierpnia 1939 r.
№ 240
KURJER WARSZAWSKI
Wydanie po
GWAŁT ZADAWANY SIŁĄ MUSI BYĆ SIŁĄ ODPARTY
Niemieckie agresje nadgraniczne
P. A. T. donosi:
Onegdajszej nocy bandy niemieckie ostrzeliwały z terenu niemieckiego w czasie od godz. 24-ej do godz. 1.20 odcinek graniczny koło Szczygłowiec w pow. rybnickim na przestrzeni około 1 km. Szczególnie silnie ostrzeliwano urząd celny w Krywałdzie oraz fabrykę „Lignoza". Poza tym ogniem z karabinów maszynowych, rzucono około 12 granatów ręcznych.
Tej samej nocy bojówki niemieckie ostrzeliwały od godz. 23 do 1-ej zabudowania, położone w odległości ok. 400 m. od urzędu celnego w Wilczy Dolnej, pow. rybnicki. W obu wypadkach napady zostały odparte przez straż obywatelską. Strat w ludziach nie było.
Dnia 29-go b. m. około godziny 21 placówka straży granicznej Kwasiły, pow. przasnyskiego, została ostrzelana kilkoma seriami z karabinu maszynowego ze strony niemieckiej. Strzały nie wyrządziły żadnych szkód.
OD ADMINISTRACJI

Z WOLEJA

Antypolskie numery przy zielonym (żużlowym) stoliku



Ryszard Czarnecki

Bartosz Zmarzlik nie obronił tytułu żużlowego mistrza globu i nie zdobył – jako jedyny jeździec w tej dyscyplinie – siódmego złotego medalu Speedway Grand Prix (SGP), czyli dawnych indywidualnych mistrzostw świata (IMŚ). Po raz trzeci zdobył tytuł wicemistrza, a w sumie ma 10 medali. Oczywiście mowa o triumfach indywidualnych, bo przecież ma jeszcze trzy złota w drużynowych MŚ, cztery srebra i jeden brąz. Nasz multimedalista przegrał jednak poza torem.

Oto bowiem – powiedzmy to wreszcie wprost – władze światowego żużla oraz organizatorzy zawodów zrobili wszystko, by Polak (i szerzej – Polska) nie zdobywał tytułów seryjnie. Zaczęło się od tego, że ponieważ Biało-Czerwoni zdominowali rywalizację drużynową, zmieniono zasady rozgrywania finałów! Wcześniej w drużynie było czterech zawodników, ale wymyślono formułę, która dawała większą szansę pozostałym nacjom i tradycyjną „drużynówkę" zamieniono na Speedway of Nations, gdzie startuje już tylko dwóch jeźdźców, co pomogło innym reprezentacjom, które nie były w stanie wystawić czwórki bardzo dobrych zawodników, ale dwójkę już tak.

Brytyjscy i amerykańscy promotorzy indywidualnych mistrzostw świata również majstrowali przy tej formule, starając się zwiększyć szansę innych, byleby przełamać monopol Zmarzlika. Jego dominacja bolała Anglosasów i nie tylko: w siedmiu ostatnich mistrzostwach świata Polak wygrał sześciokrotnie, tylko raz ustępując Artiomowi Łagucie, Rosjaninowi z polskim obywatelstwem, mieszkającemu wraz z rodziną w Bydgoszczy, który nie chce już jeździć dla Federacji Rosyjskiej. Władze światowego żużla wymyśliły więc utrudnienie dla Zmarzlika. Zmieniono formułę mistrzostw, dodając punkty za tzw. sprinty przed rozpoczęciem właściwej rywalizacji. Uważano, że skoro Zmarzlik objeżdża rywali podczas czterech okrążeń toru, to może zgubi punkty w czasie rozgrywania jednego okrążenia na czas. Przez dwa lata Bartosz sobie z tym radził, ale w tym roku Anglik Robert Lambert zdobył za sprinty 8 pkt, a Polak tylko 3 i właśnie ta punktacja, nie zaś bezpośrednia rywalizacja na torze, zadecydowała o tytule mistrza świata dla Brytyjczyka, a nie Polaka. Dodajmy do tego, że na ostatnich zawodach w Toruniu Anglik, szef zawodów, szantażował karami innych polskich zawodników, aby nie pomagali rodakowi na torze, ale wobec licznych Anglosasów nie stosował takich chwytów, czyli teoretycznie mogli „podkładać się" głównym rywalom Polaka – Anglikowi i Australijczykowi. Jak widać, nie tylko gospodarka, lecz także sport ma narodowość.

eprasa.pl 8eeaf69eb0



OD A DO ZYBERTOWICZ

Trzy w jednym

Gdy popatrzymy na ludzkie dzieje, nie brakuje kobiet, których ambicje prowadziły do upadku nawet najpotężniejszych imperiów

To kobiety odpowiadają za zło tego świata? Dlaczego ta kwestia nasuwa mi się akurat teraz... Przecież Biblię znam od dziecka.

Zaczęło się od Ewy. Sięgnęła po wiedzę i władzę – i wygnała nas z raju. Wina za nasz ziemski trud i bolesne przemijanie ciąży na niej do dziś. Czyż nie od tamtego momentu historia świata stała się kroniką nieustannego zmagania się ludzkości z naturą (także swoją własną), która przestała być łaskawa? A kobieta – czyż nie zaczęła być postrzegana jako istota zwodniczo niebezpieczna?

Gdy popatrzymy na ludzkie dzieje, nie brakuje kobiet, których ambicje prowadziły do upadku nawet najpotężniejszych imperiów – tak, to fakt. Ale nawet w całkiem małych wspólnotach – powiedzmy sobie szczerze – ileż razy to właśnie kobieca zazdrość czy niechęć staje się zapalnikiem konfliktów i destrukcji?

Szybko przewińmy teraz taśmę do naszego polskiego tu i teraz.

BABA JAGA Z NADANIA

„Kim pani jest, pani rzecznik!? Kim pani jest, że stawia pani na nogi pół policji w Warszawie, co? Kim pani jest? Strach przed panią iść z dzieckiem, na Boga! [...] Odbiera pani dzieciom płeć! [...] Kobieto! Pani rzecznik, jest tyle kontrowersji wokół pani..." – wprost krzyczał redaktor Grzegorz Jankowski w Polsacie (cyt. za YouTube) w reakcji na jeden z ostatnich wyczynów Rzecznik Praw Dziecka, którą od prawie trzech lat jest Monika Horna-Cieślak. Wiadomo, z czyjego nadania.

Już w 2023 r. na przesłuchaniu sejmowym Horna-Cieślak zapowiadała: „Tęczowe piątki będę wspierać tak jak obchody Święta Zmarłych, które organizują dzieci katolickie" (cyt. za OKO.press). Wspieranie świąt jako zadanie Rzecznika Praw Dziecka?

Nawet wśród krytyków tej wypowiedzi mało kto przewidywał, że za niecałe trzy lata Horna-Cieślak okaże się – nie, nie Kleopatrą – istną Babą Jagą! Ponurą. Groźną. Sąd wprost powiedział o działaniach pani rzecznik, że mogły mieć znamiona „przemocy instytucjonalnej" i być próbą wykorzystania autorytetu urzędu w sprawie odebrania dzieci (informacja za „Rzeczpospolitą").

Jak na czarownicę z urzędu przystało, na zarzut podejmowania nazbyt pospiesznych czynności, które w konsekwencji doprowadziły do niepotrzebnego umieszczenia małych dzieci w placówce opiekuńczo-wychowawczej, rzecznik odpowiedziała: „Mówię bardzo jasno, że kwestionuję to, co mówi sąd w zakresie tego, jak wyglądała ta historia" (za PolsatNews.pl).

Ciekawe, co kwestionowała Ewa, jej biblijny prototyp.

DRUGA I TRZECIA...

Krzysztof Stanowski zauważył, że Horna-Cieślak łudząco przypomina Gizelę Jagielską. Zasugerował zjadliwie, że to może być jedna i ta sama osoba „z zamiłowaniem do gmerania przy dzieciach". Rzeczywiście, jedna i druga są jak wiedźmy z tej samej paczki. Lekarka Jagielska przeprowadziła aborcję w dziewiątym miesiącu ciąży.

Ale to przede wszystkim bajka jest ta sama. Ginekolog Jagielska została w 2025 r. „Superbohaterką Wysokich Obcasów". Jej zasługa? Zakwestionowanie człowieczeństwa dziewięciomiesięcznego płodu.

Trzecia wiedźma? Proszę bardzo. Obywatelka, która sędziów powołanych po 2018 r. niczym klątwą obrzucała mianem „neosędziów", by ich wykluczyć w świecie prawniczym. Teraz srodze marszczy czoło jako Rzecznik Praw Obywatelskich. Sylwia Gregorczyk-Abram, kolejna nominatka KO, ongiś chwaliła się prowadzeniem sprawy z powództwa dążącego do ograniczenia wolności ocen historycznych. (Przyznaję, jestem w konflikcie interesów, bo Gregorczyk-Abram reprezentowała ponadtrzydziestoosobową grupę osób, które pozwały mego męża za słowa o okrągłym stole, kwestionując tym samym jego prawo do interpretacji historii naszego kraju. Ale, przyznajcie – pasuje tu, jak ulał).

PS Życie nie zamyka się w tryptyku kontrowersji. Jeśli myślicie, że z perspektywy polskiej racji stanu faktyczny koszt pożyczki SAFE jest istotny, to się mylicie. Wiceminister MON Magdalena Sobkowiak-Czarnecka przyznała, że nawet tego nie sprawdziła, „pochłonięta" wyjazdem do Stanów Zjednoczonych.

Cóż, Ewa też nie sprawdziła, co będzie dalej. Historia lubi się rymować.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 8eeaf69eb0

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze
– fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 8eeaf69eb0

wPolsce24

BUDZIMY SIĘ

CODZIENNIE O 6:40

Wstań prawą nogą i dowiedz się, co przyniesie dzień!

Dostarczamy najciekawsze tematy i rozmowy,
a także najświeższą prognozę pogody.

Budzimy się – Twój niezawodny poranny rytuał.



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 8eeaf69eb0